Repet w 2

Redakcja
Waldemar Brenda
Mieczysław Kulęgowski — redaktor naczelny
Marek Misiński
Ryszard W. Pawlicki — sekretarz Redakcji
Dietmar Serafin

Projekt okładki
Mieczysław Kulęgowski

Korekta
Łucja Suchocka

Reprodukcje zdjęć
Zakład FOTO-Śniardwy
ul. Kościuszki 8, 12-200 Pisz

ISSN 1427-9940

Na pierwszej stronie okładki
Jarmark w Piszu w latach trzydziestych obecnego stulecia.
(fot. archiw.)

Adres Redakcji „ZNAD PISY"
Muzeum Ziemi Piskiej
Pl. Daszyńskiego 8
12-200 Pisz, tel. (0-87) 23 22 64

Redakcja techniczna, fotoskład, diapozytywy i przygotowalnia offsetowa
Studio Poligrafii Komputerowej „SQL", ul. Polna 16, 10-059 Olsztyn, tel. (0-89) 523-59-41.
Druk — Spółdzielnia „GRAFPISZ", ul. Warszawska 51, 12-200 Pisz, tel. (0-87) 232-406

ZNAD PISY

WYDAWNICTWO POŚWIĘCONE ZIEMI PISKIEJ
Nr 6 1997

MUZEUM
Ziemi Piskiej
Pl. Daszyńskiego 8
12-200 PISZ
tel. 322-64
Nr inw. 475/98

SPIS TREŚCI

I. KRONIKA WYDARZEŃ 3
II. Z ARCHIWUM 7
III. HISTORIA
Grzegorz Białuński: *Rozwój Kwiku do początku XVIII wieku* 11
Mieczysław Kulęgowski: *Jeże* 19
Marek Truszkowski: *Kancjonał Mazurski i jego rola w kształtowaniu świadomości językowej wśród Mazurów w XIX wieku* 24
Włodzimierz Nowakowski: *Z dziejów Kościoła ewangelicko-augsburskiego na Ziemi Piskiej* 40
Krzysztof Jan Rej: *Losy parafii ewangelicko-augsburskiej w Łomży* . . . 57
Ryszard Wojciech Pawlicki: *Plebiscyt w powiecie piskim w 1920 roku* . 66
Waldemar Brenda, Tadeusz Frączak: *Między Puszczą Piską a Puszczą Kurpiowską. Z dziejów NZW* 82
IV. WSPOMNIENIA
Jadwiga Rogińska: *Ziemia Piska w moich wspomnieniach* 96
Czesław Hołub: *Wśród lasów i trzęsawisk* 104
V. FOLKLOR
Günter Schiwy: *Mazurska wieś Krzyże w dawnych bajkach i sagach ludowych* 119
VI. PRZYRODA
Mirosław Chrzanowski: *Puszczańskie notatki* 133
VII. SYLWETKI
Waldemar Brenda: *Marcin Glossa* 140
VIII. MATERIAŁY
Materiały do bibliografii Ziemi Piskiej, część trzecia 142
IX. LISTY DO REDAKCJI 147

Od Redakcji

W bieżącym numerze „Znad Pisy" proponujemy Czytelnikom bogaty materiał wspomnieniowy, wśród którego na szczególną uwagę zasługują dawne bajki i podania ludowe opracowane przez Güntera Schiwego. Godny polecenia jest również artykuł dr. Grzegorza Białuńskiego, stanowiący kolejną część cyklu poświęconego dziejom wsi Ziemi Piskiej.

Dziękujemy za liczne listy napływające do Redakcji. Część z nich staramy się publikować. Składamy podziękowania dr. inż. Stanisławowi Ramotowskiemu z Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Suwałkach za pomoc w wydaniu niniejszego numeru.

MECENASI „ZNAD PISY"

Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Suwałkach
Ryszard Podkaura — Zakład Usług Leśnych w Piszu
Zakład „Foto-Śniardwy" w Piszu

Redakcja *Znad Pisy* zachęca do publikowania artykułów związanych tematycznie z tradycją, kulturą i przyrodą Ziemi Piskiej. Prosimy o maszynopisy lub zapisy na dyskietkach odpowiadające wymogom redakcyjnym. Tekstów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów nie zamówionych.

KRONIKA WYDARZEŃ

Maj – październik 1997

- W maju **Magdalena Dąbrowska** z ZSO w Piszu została finalistką etapu centralnego Olimpiady Biologicznej, który odbył się w Warszawie (opiekun mgr **Stanisława Neumann**).
- 8 maja Muzeum Ziemi Piskiej odwiedziła rodzina **Georga Gottheinera**, przedwojennego landrata (starosty) Pisza. W 1938 r. landrat **Gottheiner** z przyczyn politycznych wyemigrował do Brazylii, gdzie do dziś mieszka jego rodzina.
- 9 maja z władzami Pisza spotkał się **von Scholz** — dyrektor szkoły średniej (Kurt Tucholsky — Schule) z Flensburga (Niemcy). Następnie niemiecki gość odwiedził Zespół Szkół Ogólnokształcących i Zespół Szkół nr 1 w Piszu, gdzie spotkał się z dyrekcjami szkół i młodzieżą. Wizyta dyrektora **von Scholza** miała na celu omówienie zasad dalszej współpracy, a zwłaszcza zasad przyznawania stypendiów naukowych w tamtejszej szkole dla piskich licealistów.
- 14 maja w Hejdyku miały miejsce uroczystości 50-lecia tamtejszej Szkoły Podstawowej z udziałem biskupa ełckiego ks. **Edwarda Samsela** i burmistrza Pisza **Janusza Puchalskiego**. Gospodarzem uroczystości był dyrektor szkoły **Józef Uhryn**.
- W dniach 17–18 maja **Dagmara Grzeszczak** uczestniczyła w ośmiomeczu pływackim w stylu zmiennym w Esbojerg (Dania).
- 25 maja odbyło się referendum konstytucyjne, którego wyniki w poszczególnych gminach regionu piskiego były następujące: Biała Piska: Tak — 62%, Nie — 38%; Orzysz: Tak — 60%, Nie — 40%; Pisz: Tak — 52%, Nie — 48%; Ruciane Nida: Tak — 49%, Nie — 51%.
- 27 maja odbył się w Orzyszu konkurs międzyszkolny ph. „Poezja u Gałczyńskiego", stanowiący eliminacje do udziału w „XVI Spotkaniach z Poezją u Gałczyńskiego" w Rucianem-Nidzie. Komisja wytypowała dwa zespoły teatralne: „Na niby", grupę mieszaną z SP nr 1 i LO w Orzyszu pod kierunkiem **Mirosława Rostkowskiego** oraz grupę „Z motyką na słońce" z SP w Dąbrówce pod kierunkiem **Aleksandry Madej**.
- 28 maja odbyło się walne zgromadzenie Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Sołtysów województwa suwalskiego, któremu przewodniczy **Zdzisław Ruchała**, sołtys wsi Rakowo Małe.
- 31 maja w Legionowie w finale Ogólnopolskiego Turnieju Motoryzacyjnego oraz Wiedzy o Bezpieczeństwie Ruchu Drogowego drużyna ZSZ w Piszu zajęła trzynaste miejsce.
- Na początku czerwca nastąpiło podsumowanie Międzynarodowego Konkursu Matematycznego „Kangur 97", w którym bardzo dobre wyniki osiągnęli uczniowie ZSO w Piszu. Jednym z jego laureatów został **Marek Łatuszko**, który wyjechał w lipcu na zagraniczną wycieczkę do Pragi, Bratysławy, Wiednia i Budapesztu. Dyplom za bardzo dobre wyniki w „Kangurze" otrzymał **Cezary Samełko**, zaś dyplomy za dobre wyniki **Małgorzata Mysiorska** i **Agata Czaplicka**. Ww. uczniowie przygotowywani byli przez mgr. **Barbarę Rukojć** i mgr. **Jacka Sobczaka**.
- W dniach 7–8 czerwca Uczniowski Klub Sportowy „Jedynka" działający przy SP nr 1 w Orzyszu zajął drugie miejsce w kategorii dzieci w IV Międzynarodowym Festiwalu Unihoca w Elblągu. Natomiast zespół występujący w kategorii młodzików zajął XII miejsce.
- 8 czerwca odbyła się uroczysta Msza św. z okazji 25-lecia kapłaństwa ks. **Stanisława Borowieckiego**, który w latach 1972–1982 przebywał w Piszu. Był organizatorem Ruchu „Światło - Życie".
- 11 czerwca w Suwałkach odbyło się podsumowanie III Wojewódzkiego Konkursu Gazetek Szkolnych. „Fanzin" wydawany przez Klub Turystyczny „Tramp" przy ZSO w Piszu zajął pierwsze miejsce. Redakcja gazetki otrzymała nagrodę redaktora naczelnego „Gazety Współczesnej". Obecnie redak

ktorem naczelnym „Fanzina" jest **Rafał Dębowski**.

- 17 czerwca ekipa telewizyjna z Ośrodka Telewizyjnego TVP w Białymstoku przygotowywała relację filmową w siedzibie Piskiego Stowarzyszenia Niemieckiego Miasta i Regionu Pisz „Roś". Z tutejszą mniejszością niemiecką spotkała się delegacja z partnerskiego powiatu Schleswig-Flensburg (Niemcy), na czele której stał kreisprezydent **Johannes Petersen**. W wywiadzie telewizyjnym **J. Petersen** wypowiadał się o dotychczasowej współpracy między Piszem a Schleswigiem-Flensburgiem, w tym o wymianie młodzieżowej.
- 19 czerwca w obiekcie „Galindia" odbył się koncert z cyklu „Ognisko Muzyczne swojemu miastu". W części pierwszej wystąpili soliści i zespoły artystyczne Społecznego Ogniska Muzycznego w Piszu, zaś części drugiej — „Big Band" Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Olsztynie. Koncert sponsorowała „Galindia".
- 20 czerwca w Piszu i okolicy gościli: mgr inż. **Jacek Szymański** — rzeczoznawca z Ministerstwa Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa oraz **Zbyszko Pisarski** — z Ośrodka Informacji o Ochronie Środowiska. Celem ich wizyty było opracowanie ekspertyzy ewentualnych skutków wywołanych wybudowaniem hotelu w okolicy Zdor nad jeziorem Śniardwy.
- 20 czerwca w Muzeum Ziemi Piskiej nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy łowieckiej. Przecięcia tradycyjnej wstęgi dokonali: **Janusz Puchalski** — burmistrz Pisza i **Jan Goździewski** — przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Związku Łowieckiego w Suwałkach. Wystawa łowiecka trwała do 3 listopada.
- 21 czerwca ukazał się 5. numer wydawnictwa „Znad Pisy".
- 21 czerwca odbyło się widowisko obrzędowe w wykonaniu zespołu „Orzyszanki" z okazji nocy świętojańskiej w ogródku jordanowskim w Orzyszu.
- W dniach 21–22 czerwca odbyły się uroczystości związane z obchodami 50-lecia istnienia GS „Samopomoc Chłopska" w Orzyszu. W kawiarni „Anna" na terenie wojskowego ośrodka wczasowego miał miejsce bal, w którym uczestniczył poseł **Andrzej Śmietanko**. Odznaczono 6 osób pamiątkowymi medalami.
- W dniach 23–24 czerwca odbył się w Białej Piskiej cykl imprez ph. „Noc świętojańska" (ognisko, zabawa, konkurs wianków).
- W dniach 23–24 czerwca miały miejsce tradycyjne Dni Pisza, w ramach których odbyły się m.in.: pokaz jazdy konnej na stadionie OSiR; występy: orkiestry dętej z Flensburga (Niemcy), zespołu „Formacja Nieżywych Schabuff" i „Panorama" oraz **Wojciecha Kordy**; pokaz sztucznych ogni przy muzyce **Sławomira Sikory**. 24 czerwca podczas uroczystości odpustowych w kościele pw. św. Jana Chrzciciela biskup ełcki ks. **Wojciech Ziemba** dokonał poświęcenia nowych dzwonów.
- Rozpoczął się proces prywatyzacyjny Piskich Zakładów Przemysłu Sklejek, którymi zainteresowany jest „Exbud" — jedna z najpoważniejszych polskich firm giełdowych.
- W dniach 25–28 czerwca odbyły się w leśniczówce Pranie i Rucianem-Nidzie XVI Spotkania „Poezja u Gałczyńskiego". Przesłuchania konkursowe odbywały się w trzech kategoriach: poezji śpiewanej, teatru jednego aktora i małych form teatralnych. W tym roku imprezę uświetnili: grupa „Pod Budą", Kabaret Moralnego Niepokoju i **Antonina Krzysztoń**.
- W dniach 27–29 czerwca miały miejsce Dni Mikołajek, w ramach których odbyły się: uroczysta sesja Rady Miejskiej i otwarcie oczyszczalni ścieków, regaty o Puchar Burmistrza Mikołajek, I Turniej Gmin Mazurskich (Mikołajki, Ryn, Ruciane-Nida), II Mikołajski Turniej Burmistrzów i Wójtów oraz koncerty (m.in.: „Skaldowie", „Kazik i Żeglarze", „Elektryczne Gitary").
- W czerwcu ewangelicy z Pisza wystąpili o zwrot nieruchomości w Łomży, należącej przed wojną do Kościoła ewangelickiego. Chodzi tu o tzw. domek pastora przy ulicy Krzywe Koło. W budynku tym mieści się obecnie Muzeum Okręgowe.
- 4 lipca odbył się na przystani żeglarskiej „U Faryja" w Rucianem-Nidzie pierwszy koncert piosenki szantowej z cyklu „Press gang". Do portu wpłynął ogromny jacht „Smuga Cienia", patronujący tej imprezie. Hostessy rozdawały wśród publiczności specjalne kupony konkursowe, które uprawniały do otrzymania nagrody za uczestnictwo w imprezie „Press gang" podczas V Festiwalu Piosenki Żeglarskiej i Morskiej w Giżycku.
- 6 lipca **Mira Kreska** — przewodnicząca Piskiego Stowarzyszenia Niemieckiego, została odznaczona złotą odznaką Joannitów za pomoc w założeniu, a następnie sprawne funkcjonowanie stacji socjalnej tego zakonu w Piszu. Natomiast **Janusz Puchalski** — burmistrz Pisza otrzymał honorową odznakę Joannitów za wspieranie wysiłków na rzecz utworzenia tutejszej placówki.

- 6 lipca mieszkańcy miasta i gminy Ruciane-Nida wybierali nową radę. Do głosowania w wyborach przedterminowych uprawnionych było 6.527 osób. O 20 mandatów ubiegało się 55 kandydatów. Najwięcej (sześciu) kandydatów startowało w okręgu wyborczym obejmującym Wejsuny, Głodowo, Niedźwiedzi Róg, Leśniczówkę Lipnik. W głosowaniu udział wzięło 1.611 osób (około 25 %). 71 głosów uznano za nieważne. Z poprzedniej rady kandydowały 3 osoby, wybrany ponownie został tylko jeden — **Bogdan Słabek**. Pozostałe 19 mandatów zdobyli: **Romuald Osiecki, Remigiusz G. Drzewiecki, Władysław Gosk, Bogdan Rybak, Mieczysław Kumiak, Roman Gwiazda, Kamil A. Sitarz, Antoni Wróblewski, Janina Nadolna, Krystyna Selwanowicz, Marek Szmigiel, Janusz Osiecki, Dariusz Vogel, Jadwiga S. Binder, Antoni Kalinowski, Piotr Ksepka, Tadeusz Duda, Marian Fura, Leszek Z. Łukasik**. Koszt wyborów wyniósł około 15.500 zł.
- W dniach 11–13 lipca odbył się cykl imprez ph. Dni Orzysza. Zostały one zainaugurowane recitalem piosenki autorskiej orzyskiego poety **Tomasza Sulimy**. Ponadto wystąpiły zespoły: „Mazurski Rejs", „Universe", „Kazik i Przyjaciele", „Zejman i Garkumpel". Na jeziorze Tyrkło rozegrano regaty żeglarskie o Puchar Burmistrza Miasta i Gminy Orzysz. Odbyło się również wiele imprez sportowo-rekreacyjnych.
- W dniach 15–26 lipca **Magdalena Syta** z Pisza i **Małgorzata Grycmacher** z Białej Piskiej przebywały w Bonn i Bad Pyrmont w Niemczech na międzynarodowym seminarium językowym.
- W dniach 15–31 lipca na międzynarodowym obozie młodzieżowym w Kolonii (Niemcy), mającym na celu ratowanie cmentarzy wojennych, przebywały po dwie osoby z Pisza i Suwałk. Przedstawicieli Pisza (**Jerzy Leymańczyk** i **Magdalena Zadroga**) wytypowało tutejsze Stowarzyszenie Niemieckie. W pierwszym tygodniu młodzież z różnych krajów Europy porządkowała cmentarz wojenny, natomiast drugi tydzień organizatorzy przeznaczyli na zwiedzanie Niemiec.
- 20 lipca zespół „Orzyszanki" wystąpił ze swoim programem artystycznym na masowej imprezie plenerowej ph. „Niedziela w skansenie", zorganizowanej przez Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu (woj. płockie).
- W dniach 26–27 lipca odbył się I Plener Fotografii Przyrodniczej ph. „Dopóki są" na terenie projektowanego Orzyskiego Parku Krajobrazowego. Organizatorem imprezy był Harcerski Ruch Ochrony Środowiska przy współpracy Regionalnego Ośrodki Kultury i Sztuki w Suwałkach. Zgromadzono około 1.000 zdjęć. Wystawa poplenerowa odbyła się we wrześniu w Suwałkach i Ublik u.
- Od 1 do 15 sierpnia z inicjatywy Niemieckiego Związku Ochrony Grobów Żołnierskich (Volksbund Deutsche Kriegergräberfürsorge) i przy poparciu lokalnych władz trwał młodzieżowy obóz wakacyjny. Przebywająca na nim młodzież polska i niemiecka (po 10 osób) w pierwszym tygodniu porządkowała stary cmentarz komunalny w Piszu, zaś w drugim zorganizowano dla niej program rekreacyjny (m.in. wycieczkę autokarową do Świętej Lipki i Gierłoży, wycieczkę statkiem z Rucianego Nidy do Mikołajek, ognisko w Łupkach). 12 sierpnia z młodzieżą spotkał się burmistrz Pisza **Janusz Puchalski**. Opiekunami ze strony niemieckiej byli: **Heinz Albertsmeier** i **Helga Anders**. Natomiast młodzieżą polską opiekowała się **Ewa Janułajtys**. Noclegi dla młodzieży zorganizowano w internacie ZSZ w Piszu.
- **Anna Dzikowska** (ZSO w Piszu) i **Małgorzata Kempczyńska** (ZS nr 1 w Piszu) otrzymały roczne stypendia naukowe ufundowane przez władze partnerskiego powiatu Schleswig-Flensburg (Niemcy).
- W dniach 8–10 sierpnia odbył się w Piszu Zlot Elektronicznych Fanatyków, ZEF 97. Koncerty i imprezy towarzyszące odbywały się w MGOK i obiekcie „Galindia".
- W dniach 9–10 sierpnia na przystani „U Faryja" w Rucianem Nidzie odbył się festyn „Lato z Radiem Zet".
- 10 sierpnia na II Augustowskich Nocach z Balladą **Tomasz Sulima** z Orzysza zdobył wyróżnienie za najlepsze teksty.
- Ukazała się książka piskiego lekarza dr. n. med. **Stanisława Rumińskiego** pt. „Vademecum profilaktyki naturalnej". Praca jest wynikiem zainteresowania autora medycyną naturalną, a zwłaszcza irydologią i homeopatią.

- W dniach 14–16 sierpnia w Wiartlu odbył się festyn zorganizowany przez MGOK w Piszu i Dom Kultury w Wiartlu. W programie m.in.: imprezy sportowo-rekreacyjne i występ zespołu ludowego.
- 23 sierpnia **Tomasz Sulima** z Orzysza został laureatem imprezy ph. „Zamkowe nastroje nocą". Była to już piąta edycja przeglądu poezji śpiewanej, który tradycyjnie odbywa się na zamku w Węgorzewie.
- W lipcu i sierpniu w leśniczówce Pranie zorganizowano XIV Koncerty Poetycko-Muzyczne „Muzyka u Gałczyńskiego", z udziałem **Wojciecha Siemiona** (recytacje) oraz Chóru Kameralnego Suwalskiego Towarzystwa Muzycznego im. **Emila Młynarskiego**, Trio Suwalskiego, Zespołu Fletów Prostych Hochschule für Musik (Wiedeń) i Trio Con Bravura.
- Podczas I Ogólnopolskich Igrzysk LZS i Mieszkańców Wsi w Siedlcach bardzo dobrze zaprezentowali się sportowcy z Białej Piskiej (LZS „Derby"). **Marek Banach** zajął pierwsze miejsce w podnoszeniu ciężarów (kat. 64 kg — wynik 187,5 kg). Natomiast **Arkadiusz Kowalczuk** trenowany przez **Aleksandra Kozłowskiego** zajął szóste miejsce w podnoszeniu ciężarów w kat. 76 kg.
- 29 sierpnia została podpisana umowa o sprzedaży Fabryki Płyt Drewnopochodnych w Rucianem Nidzie, która była w stanie upadłości. Nabywcą zakładu jest włoska firma Rubens Ballota.
- Na początku września byłe Centrum Szkolenia Specjalistów Wojsk Rakietowych w Bemowie Piskim weszło w skład Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych z Orzysza. Obowiązki komendanta ośrodka pełni ppłk **Andrzej Pokuliński**. Tym samym zmienia się podległość garnizonu Bemowo Piskie. Poprzednio podlegał dowództwu Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej, a teraz Warszawskiemu Okręgowi Wojskowemu. Uroczyste podpisanie przekazania garnizonu odbyło się w asyście gen. bryg. **Franciszka Żygisa** i gen. bryg. **Krzysztofa Jońca**.
- Dyrekcja Zespołu Szkół Zawodowych podpisała umowę z Daewoo — FSO Motor i Centrum Daewoo. Firma Daewoo Motor wyposaży w najbliższym czasie szkolną stację obsługi samochodów w nowoczesne urządzenia i umożliwi odbywanie praktyk uczniowskich w fabryce samochodów na Żeraniu w Warszawie. Ponadto firma ta już przekazała samochód „Polonez" do prowadzenia nauki jazdy. Przy podpisaniu umowy o współpracy obecni byli m.in.: **Andrzej Śmietanko** — wiceminister skarbu państwa, **Janusz Woźniak** — prezes Centrum Daewoo, **Stanisław Twardowski** — prezes Daewoo, **Mieczysław Jurewicz** — kurator oświaty w Suwałkach i **Wiesław Tykocki** — dyrektor ZSZ w Piszu.
- 20 września bardzo uroczyście świętowano 50-lecie Koła Łowieckiego nr 1 „Puszcza" w Piszu. Podczas Mszy św. w kościele pw. Matki Miłosierdzia Ostrobramskiej (osiedle „Wschód") dokonano poświęcenia sztandaru. Część oficjalna uroczystości odbyła się w klubie „Galindia" w Piszu, podczas której udekorowano sztandar medalem, wręczono dyplomy i medale okolicznościowe i odbył się pokaz programu artystycznego przygotowanego przez młodzież szkolną. Od godziny 16. rozpoczął się bal myśliwski na terenie Ośrodka Wczasowego Służby Zdrowia w Rybitwach.
- 21 września odbyły się wybory parlamentarne. Najwięcej głosów otrzymali: w Białej Piskiej **Jerzy Krajewski** — UW (Sejm) i **Wiesław Pietrzak** — SLD (Senat), w Orzyszu **Jerzy Dziewulski** — SLD (Sejm) i **Wiesław Pietrzak** — SLD (Senat), w Piszu **Andrzej Górski** — AWS (Sejm) i **Zygmunt Ropelewski** — AWS (Senat), w Rucianem-Nidzie **Andrzej Górski** — AWS (Sejm) i **Zygmunt Ropelewski** — AWS (Senat).
- 3 października odbyła się uroczystość przecięcia wstęgi w nowym gmachu Sądu Rejonowego przy ulicy Warszawskiej w Piszu z udziałem **Włodzimierza Kędzierskiego** — prezesa Sądu Wojewódzkiego w Suwałkach i **Leszka Kubickiego** — ministra sprawiedliwości. Do tej pory sąd mieścił się w trzech różnych miejscach. Trzy lata temu resort sprawiedliwości odkupił budynek od „Budopolu" do kapitalnego remontu.
- W dniach 10–11 października podczas Ogólnopolskiego Turnieju Unihokeja w Elblągu II zespół UKS „Jedynka" ze SP nr 1 w Orzyszu zajął czwarte miejsce, zaś I zespół z tej samej szkoły — siódme miejsce.
- 12 października zespół „Orzyszanki" z Orzysza wystąpił gościnnie w Zarnowie podczas imprezy folklorystycznej ph. „Święto pól" z obrzędem „Darcie piór".

Oprac. Waldemar Brenda
Ryszard Wojciech Pawlicki

Z ARCHIWUM

W obliczu zbliżającej się ofensywy Armii Czerwonej, 19 stycznia 1945 r. starosta (landrat) Herbert Ziemer[1] otrzymał od kierownictwa powiatowego NSDAP[2] jeden z ostatnich rozkazów, dotyczący powszechnej ewakuacji ludności cywilnej i dóbr materialnych z powiatu piskiego.

Gauleiter i Komisarz Obrony Rzeszy

Królewiec, dnia 19 stycznia 1945 r., godzina 6.30

Do kierownictw powiatu nidzickiego, szczycieńskiego, ostródzkiego, olsztyńskiego, piskiego, ełckiego, giżyckiego, węgorzewskiego, gierdawskiego[3], wystruckiego[4]:

Rozwój sytuacji militarnej wymaga zapobiegawczego przekwaterowania i gospodarczego rozśrodkowania na południe od linii Ostróda, Stawiguda, Spychowo, Ruciane, Pisz, Biała Piska (łącznie z miejscowościami) i w kierunku wschodnim od linii Ruciane, zachodnia granica powiatu piskiego, zachodnia granica łańcucha Wielkich Jezior Mazurskich na zachód od Giżycka, zachodnia granica powiatu węgorzewskiego — szosa Nordenbork[5] — Mołdzie[6], łącznie z zachodnią granicą powiatu wystruckiego.

---

[1] Herbert Ziemer urodził się 9 sierpnia 1888 r. w Prusach Wschodnich. 1 lutego 1930 r. objął stanowisko starosty piskiego. Poprzednim starostą był Georg Gottheiner (1914–1930), który, jak twierdzi jego rodzina, z przyczyn politycznych musiał wyemigrować do Brazylii. Rodzina Gottheinera do dziś mieszka w tym kraju. Powiat piski był w 1930 r. w trudnej sytuacji ekonomicznej, co było wynikiem złego zarządzania gospodarczego w latach 1928–1931. Problemy te H. Ziemerowi udało się przezwyciężyć poprzez udzielanie pomocy rolnictwu, uruchomienie robót publicznych (m.in. prace melioracyjne i budowa dróg) oraz wspieranie spółdzielczości. Przyczynił się do rozwoju kulturalnego i socjalnego powiatu piskiego. Za jego kadencji nastąpiła rozbudowa szpitala powiatowego i wzniesienie nowego gmachu starostwa (obecnie siedziba Urzędu Miasta i Gminy). Przez 15 lat sprawował patronat nad kościołem ewangelickim w Piszu, był członkiem kościelnej korporacji. Po ewakuacji w styczniu 1945 r. starosta H. Ziemer osiedlił się w powiecie Schleswig-Flensburg na północy Niemiec, gdzie dalej pracował jako urzędnik państwowy.

[2] NSDAP — Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei (Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza). Na jej czele stał führer — wódz, Adolf Hitler.

[3] Gierdawy (niem. Gerdauen, obecnie Żeleznodorożnyj w obwodzie kaliningradzkim) — miasto powiatowe i stacja kolejowa w rejencji królewieckiej, na północny zachód od Węgorzewa.

[4] Wystruć (niem. Insterburg, obecnie Czerniachowsk w obwodzie kaliningradzkim) — miasto powiatowe i stacja kolejowa w rejencji gąbińskiej.

[5] Nordenbork (niem. Nordenburg, obecnie Kryłowo w obwodzie kaliningradzkim) — miasto i stacja kolejowa w powiecie gierdawskim.

[6] Mołdzie (niem. Mulden).

Ludność wiejska zostanie odtransportowana w formie kolumn ewakuacyjnych do Okręgu Gdańsk — Prusy Zachodnie. Ludność nie ewakuowana w kolumnach — koleją do Okręgu Sachsen (Saksonia). Odpowiedzialność za to zleca się kierownikowi Urzędu Okręgowego NSV — Post. Cały obszar ewakuacji podzielono ze względu na ważność na trzy strefy:

Pierwsza grupa ważności: cały powiat nidzicki, południowa część powiatu szczycieńskiego, na południe od szosy Szczytno — Rozogi, brzegiem Dąbrówna w powiecie ostródzkim;

Druga grupa ważności: południowa część powiatu ostródzkiego — z Ostródą włącznie, południowa część powiatu olsztyńskiego — na południe od Stawigudy, powiat szczycieński — na południe od Pasymia i Spychowa, południowa część powiatu piskiego na południe od szosy Ruciane — Skarżyn;

Trzecia grupa ważności: reszta powiatu piskiego, zachodnia część powiatu ełckiego, zachodnia część powiatu węgorzewskiego, wschodnia część powiatu gierdawskiego, zachodnia część powiatu wystruckiego.

Te grupy ważności odnoszą się do kolejności podstawianych pociągów. Ruch kolumnowy we wszystkich powiatach musi zostać natychmiast i jednocześnie rozwiązany, o ile drogi są przejezdne. Całkowita ewakuacja ma zakończyć się w ciągu pięciu dni. Do transportu kolejowego podstawia się wagony towarowe, które zabezpieczone są przed zimnem. Kolej Państwowa[7] może zaopatrzyć tylko część wagonów w piece (na każdy pociąg po pięć). Pozostałe zaopatrzone są w piece przenośne, a we wszystkich wagonach znajduje się wystarczająca ilość słomy i opału. Pociągi będą stały godzinę przed odjazdem na dworcu i zaopatrzone są na trzydniową podróż. Należy zaopatrzyć się w żywność. Urządzić ubikacje.

Kolumny przejeżdżać będą przez obszar Iławy i Elbląga do Okręgu Rzeszy, Gdańsk — Prusy Zachodnie. Ewakuacja drogowa objęta zostanie rozkazem specjalnym. Przed rozpoczęciem przekwaterowania cały Volkssturm[8] ewakuowanego obszaru będzie ze wszystkim zapowiedziami zwołany i ustanowiony. Do przekwaterowania w ewakuowanych powiatach zostają powołani mężczyźni jako kierownicy transportu i dowódcy kolumny, którym Volkssturm udzielił urlopu i którzy po zakończeniu swojego zadania muszą bezzwłocznie stawić się ponownie w swoich batalionach. Kto bez pozwolenia dowódcy batalionu odjedzie, zostanie ukarany za dezercję.

Ewakuacja rolnictwa i rzemiosła podlega specjalnym rozkazom. Istniejące tekstylia, wyroby obuwnicze, łatwo psujące się artykuły żywnościowe mają być rozdzielone przez właścicieli sklepów między ewakuowaną ludność. Kierownicy wszystkich powiatów urządzają według dyrektyw kierownika Urzędu Okręgowego NSV punkty żywienia oraz obrokowania koni wzdłuż tras ewa-

[7] W oryginale — Reichsbahn.

[8] Volkssturm — oddziały terytorialne (obrony cywilnej) III Rzeszy, tworzone od września 1944 r. na obszarze Niemiec dla wzmocnienia sił Wehrmachtu. Do oddziałów tych powoływano mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat, nie służących w Wehrmachcie.

kuacyjnych. Należy przy nich zapewnić obsługę. Burmistrzowie[9] poszczególnych miejscowości są odpowiedzialni za wystarczające zakwaterowanie.

Podpisał: Koch[10]

Późnym wieczorem 19 stycznia 1945 r. starosta H. Ziemer otrzymał jeszcze jeden rozkaz o następującej treści:

Królewiec, dnia 19 stycznia 1945 r., godzina 18.30

Dotyczy: Gospodarcze rozwiązania i ewakuacja linii Ostróda, Pasym, Ruciane, Giżycko, Nordenbork, Welawa[11], Labiawa[12].

Na wyżej określonych obszarach, z których niemieckie kobiety i dzieci zostały już odtransportowane, odbywa się gospodarcza ewakuacja. Tekstylia, buty, szybko psujące się artykuły żywnościowe ze sklepów handlu detalicznego będą oddane do pociągów ewakuacyjnych i kolumnom. Pozostałe dobra drobnego rzemiosła zostają odtransportowane według specjalnych rozkazów, o ile ewakuacja kobiet i dzieci została zakończona. Komisarze ewakuacji otrzymają specjalne dyrektywy. Należy stosować rozporządzenie z dnia 3 listopada.

Rolnicza ewakuacja

Przewodniczący powiatowych związków rolników mają natychmiast zlecone, aby poprzez swoich kierowników w poszczególnych miejscowościach dokonać przeglądu przepędzanych stad bydła przy pomocy obcokrajowej siły roboczej[13]. Stada zwierząt, które nie są koniecznie potrzebne zaopatrzeniu Wehrmachtu[14], zostają dołączone do kolumn i po odjeździe ostatniego wozu

[9] W administracji niemieckiej burmistrz (Bürgermeister) był odpowiednikiem sołtysa.

[10] Erich Koch (1896–1987), jeden z wyższych funkcjonariuszy hitlerowskich. Od 1928 r. był gauleiterem Prus Wschodnich, w 1933 r. został nadprezydentem prowincji, a w październiku 1941 r. komisarzem Rzeszy na Ukrainę oraz szefem zarządu cywilnego okręgu Białystok. W 1959 r. skazany w Polsce za zbrodnie hitlerowskie na karę śmierci. Jednakże wyroku nie wykonano ze względu na chorobę.

[11] Welawa (niem. Wehlau, obecnie Znamiensk w obwodzie kaliningradzkim), miasto powiatowe i stacja kolejowa w rejencji gąbińskiej, w pobliżu Tapiawy (niem. Tapiau, ros. Gwardiejsk).

[12] Labiawa (niem. Labiau, obecnie Polessk w obwodzie kaliningradzkim), miasto powiatowe i stacja kolejowa w rejencji gąbińskiej, na północny wschód od Królewca.

[13] Chodzi tu o przymusowych robotników wywożonych z okupowanych krajów do Rzeszy Niemieckiej.

[14] Wehrmacht — siły zbrojne, powstał w 1935 r., po przemianowaniu Reichswehry. Wodzem naczelnym Wehrmachtu był Adolf Hitler.

przesiedleńczego będą poruszały się o własnych siłach. Tymczasowym obszarem ewakuacyjnym jest strefa 10-kilometrowa na południe i wschód od zarządzonych linii ewakuacyjnych według rozkazu ewakuacyjnego z dnia 19 stycznia 1945 r. Rozkaz wymarszu wydaje przewodniczący związku rolników, o ile obszar ewakuacji opuszczą ostatnie wozy przesiedleńców. Ostateczna ewakuacja 10-kilometrowej strefy nastąpi wskutek bieżącego przejmowania przez Kwatermistrzostwo Wehrmachtu, jak też wycofanie wszystkich rzeźni naszej prowincji.

Podpisał: *Koch, Gauleiter*
Przyjęte: *Henseleit*

Tłumaczenie z języka niemieckiego: **Krzysztof Dzikowski**
Oprac. **Ryszard Wojciech Pawlicki**

Źródło: Guttzeit E.J.: *Der Kreis Johannisburg. Ein ostpreussisches Heimatbuch.* Holzner Verlag, 1964 Würzburg, s. 101–103.

Historia

ROZWÓJ KWIKU DO POCZĄTKU XVIII WIEKU

Do tej pory w kolejnych numerach „Znad Pisy" omówiłem dzieje Nowych Gut oraz Łysoni. Tym razem przedstawię losy osady położonej w niedalekim ich sąsiedztwie, mianowicie Kwiku (Quick). Nie będę powtarzał omówienia sytuacji administracyjnej, które zamieściłem już w poprzednich pracach. Podkreślę tylko, że przez cały interesujący mnie okres osada urzędowo związana była z ośrodkiem ryńskim i parafią w Okartowie.

Nazwa

Pojawiła się w przywileju lokacyjnym z 1434 r. jako „Quike", w 1497 r. podano brzmienie „Quick", zaś w 1517 i 1519 „Quicke". Potem kolejno: w 1535 „Quick", 1540, 1597, 1624 i 1632 „Quicke", natomiast w 1632, 1664, 1673 „Quicka", zaś w 1700 „Quicken". Nazwa była więc dosyć stabilna, z małymi jedynie wahaniami końcówki.

Nazwa Kwiku bywa najczęściej wywodzona od pruskiego określenia *quike* oznaczającego 'wody'[1], co oczywiście dobrze koresponduje z położeniem wsi. Polskie pochodzenie od słowa „kwik" (tak jak niemieckie „quieck") należy uznać za mało uzasadnione. Ewentualnie można zastanawiać się nad pochodzeniem od niemieckiego słowa „quick" — 'świeży, żwawy', co jednak w świetle istnienia nazwy przed lokacją powinno się również odrzucić. W sumie więc nazwa była najpewniej pruskiego pochodzenia i wywodziła się od fizjograficznych właściwości okolic.

Czasy pruskie

Przetrwanie pruskiej nazwy pozwala doszukiwać się śladów osadnictwa pruskiego w tej okolicy. Rzeczywiście na północny zachód od dzisiejszej wsi przy jeziorze Śniardwy leży pagórek zwany Zimnochą (Schanze Zimmochen), na którym — jak przypuszczano — mieściła się staropruska strażnica obronna[2]. Niestety, dotychczas brakuje badań tego obiektu, zaś wstępna weryfikacja przyniosła negatywny wynik, gdyż brak było jakiejkolwiek warstwy kulturowej. Jerzy Antoniewicz uznał obiekt za naturalny wytwór, jedynie o charakterystycznym kształcie w terenie[3].

W tej chwili więc najpewniejszy argument mogą stanowić jedynie źródła pisane, ale i one nie dostarczają, jak się okazuje, jednoznacznego obrazu.

[1] *Pisz. Z dziejów miasta i powiatu*, Olsztyn 1970, s. 54.
[2] Ibidem, s. 45.
[3] J. Antoniewicz, *Józef Naroński, polski inwentaryzator grodzisk w XVII w. w Prusach*, Wiadomości Archeologiczne, 1950/1951, s. 15 i nn.

Argumentem pozytywnym, z pozoru, za przetrwaniem ludności pruskiej do czasów kolonizacji może być fakt, że w 1434 r. osada została lokowana już „przy Kwiku" („bei der Quike"). Od razu można jednak poczynić zastrzeżenie, że przywilej lokacyjny mógł być wystawiony z pewnym opóźnieniem a nazwa w tym czasie weszła w powszechne użycie. Brak wolnizny także wskazuje na wcześniejsze istnienie osady, ale w żadnym razie nie ułatwia nam poznania etniczności mieszkańców. W sumie więc, poza nazwą, nie ma pewniejszych śladów osadnictwa pruskiego przed okresem kolonizacji krzyżackiej. Nazwa natomiast mogła funkcjonować wcześniej jako fizjograficzne określenie tego obszaru (według H.L. Hoffmanna-Bagienskiego tak nazywało się malutkie jezioro, nad którym lokowano wieś) i została przeniesiona przez okoliczną ludność pruską, np. z Gut na nową osadę. Tym niemniej, jak w dalszej części wykażę, najprawdopodobniej Prusowie w Kwiku mogli być już w czasie lokacji lub wkrótce potem.

Lokacja i charakter osady

Przywilej lokacyjny dla Kwiku został wystawiony 16 czerwca 1434 r. w Rastemborku (Kętrzynie). Wystawcą dokumentu był Gerlach Mertz, prokurator rastemborski, ale uczynił to na rozkaz wielkiego mistrza Pawła von Russdorffa. Odbiorcą dokumentu, czyli nowym właścicielem, był niejaki Sandek („Sandeken"). On oraz jego prawni dziedzice i następcy otrzymali 30 łanów położonych przy Kwiku, w granicach bliżej w dokumencie nie opisanych, ale znanych obu stronom. Ziemie te otrzymali w wieczyste i dziedziczne nadanie na prawie chełmińskim, wolne od szarwarku i chłopskich uciążliwości.

W zamian za to powinni byli wystawiać dwie „uczciwe" służby zbrojne z ogierem i zbroją oraz budować nowe, a naprawiać i burzyć stare zabudowania krzyżackie. Musieli też od każdej służby dawać corocznie na św. Marcina (11 listopada) czynsz rekognicyjny, w dowód uznania zwierzchniej władzy zakonnej, w postaci 1 funta wosku i 1 kolońskiego lub 5 pruskich fenigów. Następnie od każdego pługa mieli oddawać 1 korzec pszenicy i tyleż żyta oraz to samo od każdego radła, jako daninę zwaną płużnym.

Dalej pojawiły się dwa zastrzeżenia. Pierwsze dotyczyło obsadzenia na łanach jakichś ludzi („Leute"), którzy powinni być zobowiązani do takich czynności jak inni lemani („Undersassen") u wolnych i rycerzy („Erbarleute"). Owi lemani powinni byli zachować takie same prawa jak gdzie indziej. Drugie zastrzeżenie dotyczyło opuszczenia dóbr przez Sandeka i jego prawnych następców. Nie mogli oni opuścić granic państwa zakonnego bez zgody zakonu, w przeciwnym razie dobra wracały we władanie krzyżackie.

Następnie nadano wolnym prawo niższego sądownictwa oraz prawo wolnego połowu ryb w jeziorze Śniardwy małymi sieciami i wędkami na potrzeby własnego stołu. Prawa takiego nie otrzymali jednak lemani[4].

[4] Ostpreussische Folianten (cyt. Ostpr. F.) 332, 36, w: Geheimes Staatsarchiv Preussischer Kulturbesitz Berlin-Dahlem (cyt. GSPK); por. Ostpr. F. 333, 38. Ostpr. F. nr 332, 333 i 334 są

Przywilej ten wymaga krótkiego komentarza. Zróżnicowanie świadczeń od pługa i radła miało swoje głębsze społeczne, a być może nawet etniczne uzasadnienie. Od pługa świadczenia składali w tym przypadku właściciele dóbr, czyli poszczególni wolni (Sandek, jego potomkowie i następcy), zaś od radła osadzeni przez nich na łanach lemani. W obu przypadkach terminy te (pług i radło) oznaczały jednostkę gospodarczą. Jednak pług obejmował zwykle większy obszar niż radło i takie samo obciążenie (korzec żyta i tyleż pszenicy) z gospodarstwa, w rzeczywistości było dla właścicieli radeł znacznie większe, bo dostarczone z mniejszej powierzchni uprawnej). W Kwiku więc siedziały przynajmniej dwie grupy społeczne. Pierwszą stanowił Sandek i jego następcy, których zaliczyć można właściwie do klasy niższego rycerstwa (tzw. Erbarleute). Wkrótce jednak ich status społeczny uległ pogorszeniu i stali się tzw. wolnymi (Freie). Drugą grupę stanowili obsadzeni przez nich na łanach tzw. lemani. Pojawienie się tej grupy wiąże się z powiększonymi nadaniami dla wolnych, którzy dla zagospodarowania swoich ziem musieli znajdować najemników. Właśnie lemani stanowili grupę takich najemców, nie posiadających samodzielnych dóbr, a jedynie wyodrębnione przez wolnych łany (a poszczególne ich gospodarstwa to radła). Lemani nie tworzyli własnych osad, ale mieszkali przy dworze wolnego. Podlegali sądownictwu wolnych, choć w przypadku Kwiku dotyczyło to tylko niższego sądownictwa, bowiem wyższe sprawowali urzędnicy krzyżaccy. Lemani byli jednak związani też z zakonem, np. płacili mu daninę płużną ze swoich gospodarstw. Nie zezwolono im jednak na wolne rybołówstwo. Prócz lemanów mogli być w osadzie jeszcze zagrodnicy, którzy także stanowili najemnych pomocników w gospodarstwie, z możliwością wybudowania własnego zabudowania oraz otrzymania kawałka ziemi (ogrodu). Przy dworze wolnych znajdowała się zapewne służba (czeladź).

Wydaje się, że lemanów można łączyć z Prusami i choć sama wzmianka w dokumencie o ich obsadzeniu ma charakter warunkowy, to nie można wykluczyć ich wcześniejszej tam obecności, tym bardziej że osadę lokowano już „przy Kwiku". Wiemy jednak z pozostałego obszaru państwa krzyżackiego, że opłaty od radła wnosili właśnie Prusowie. To zróżnicowanie świadczeń na radło i pług mogło więc mieć również etniczne uzasadnienie, tym bardziej że nie występowało u wszystkich lemanów. Jest to jednak na razie tylko hipoteza wymagająca dodatkowych badań porównawczych[5].

Niejednoznacznie w dotychczasowej historiografii przedstawia się pochodzenie Sandeka. Według H.L. Hoffmanna-Bagienskiego był on Prusem, o czym mogłyby świadczyć zbliżone staropruskie imiona (Sander, Santke, Santaps)[6], natomiast W. Kętrzyński uznał go za Polaka — Sędka. Rzeczywiście polskie pochodzenie wydaje się najpewniejsze. Warto bowiem zwrócić

wydane w: *Altpreussische Geschlechterkunde. Neue Folge* (cyt. APG), t. 15–17, 1984–1986, za tym wydawnictwem podaję numery dokumentów.

[5] Szerzej na ten temat zob. G. Białuński, *Osadnictwo regionu Wielkich Jezior Mazurskich od XIV do początku XVIII wieku — starostwo leckie (giżyckie) i ryńskie*, Olsztyn 1996, ss. 52–54.

[6] H.L. Hoffmann-Bagienski, *Die Dienstgüter des Amtes Johannisburg*, Hamburg 1992, s. 274 i n.

uwagę na fragment przywileju lokacyjnego mówiący o zakazie opuszczenia przez Sandeka granic państwa zakonnego, który niewątpliwie wskazuje na jego polskie pochodzenie, bo byłoby niezrozumiałe, gdyby zakaz taki dotyczył Prusa czy nawet Niemca. Innym argumentem za polskim pochodzeniem Sandeka jest występowanie tego imienia wśród szlachty mazowieckiej, np. w 1432 r. u podkomorzego ciechanowskiego (Sandek de Krubin)[7].

Nadanie dla Sandeka było typowym w ówczesnym czasie nadaniem dla drobnego rycerstwa, z prawem wieczystego i dziedzicznego dzierżenia ziemi na prawie chełmińskim. Wówczas prawo to było korzystne dla nowych osadników, gwarantowało przetrwanie dóbr w rodzinie — czy to w linii męskiej, czy żeńskiej. Ograniczało więc możliwość prawa kaduka, czyli przejścia ziemi ponownie we władanie władzy zwierzchniej. Przechodzenie praw spadkowych na kobiety często prowadziło jednak do rozdrobnienia dóbr. Zwraca też uwagę nadanie tylko niższego sądownictwa, co stawia te dobra w mniej korzystnym położeniu niż inne dobra wolnych nadane w tym samym czasie. Pozostałe przywileje jak też obowiązki nie odbiegały niczym szczególnym od innych tego typu majątków. Sandek był zaliczany, jak wspomniałem, do grupy drobnego rycerstwa, tzw. Erbarleute. Wkrótce jednak sytuacja tej grupy uległa pewnemu zróżnicowaniu, pojawiła się mianowicie szlachta oraz tzw. wolni. Podział wynikał głównie ze zróżnicowania prawnego i ekonomicznego poszczególnych dóbr. Te dobra, które zwolnione były od szarwarku (oraz budowy i naprawy zabudowań krzyżackich, który to obowiązek stał się z czasem równoważny z szarwarkiem) oraz te, które nie ulegały rozdrobnieniom wśród rozrodzonego potomstwa, a więc utrzymywały silną pozycję ekonomiczną, awansowały do rangi dóbr szlacheckich. Pozostałe spadły do rangi dóbr wolnych, a w następnych wiekach właściwie do pozycji wolnego chłopstwa. Kwik spotkał ten gorszy los i ich właściciele stali się tzw. wolnymi. Stało się tak w związku z obowiązkiem budowy i naprawy zamków, czyli powinnością szarwarku, mimo że w myśl przywileju mieli być z niego zwolnieni, oraz w wyniku rozdrobnienia dóbr.

W czasach krzyżackich

W czasie wojny trzynastoletniej (1454–1466) najprawdopodobniej również mieszkańcy Kwiku stanęli po stronie Związku Pruskiego i Mazowszan. Dopiero w początkach 1456 r., pod wrażeniem klęski z Krzyżakami pod Rynem, ludność całej gminy okartowskiej skruszona powróciła pod władztwo krzyżackie[8]. Cały region został jednak w wyniku działań wojennych poważnie zniszczony, o czym donosiły liczne dokumenty krzyżackie[9], ale nie wiemy, w jakim stopniu dotyczyło to naszej osady.

Kolejna konkretna informacja dotycząca Kwiku zachowała się z 1497 r. Wówczas to (23 kwietnia) została zawarta następująca transakcja: komtur

[7] A. Wolff, *Mazowieckie zapiski herbowe z XV i XVI w.*, Kraków 1937, s. 298.
[8] Ordensbriefarchiv (cyt. OBA) 14294, w: GSPK.
[9] OBA 14035, 14036, 14094.

ryński Rudolf von Tippelskirchen sprzedał niejakiemu Mikołajowi Jegerowi 1,5 łana i 5 morgów w osadzie Kwik oraz tyleż samo przy granicy z Mikoszami. Dobra miały być na takim prawie jak główny przywilej, czyli chełmińskim, oraz z takimi samymi uprawnieniami i obowiązkami. Wcześniej owe, w sumie, 3 łany i 10 morgów należały do niejakiego Maza Schordacha z Ełku, ale ten wymienił je na inne dobra położone w Ełku[10]. Mikołaj Jeger był mieszkańcem pobliskich Grzegorzy, dwa lata przed nabyciem dóbr w Kwiku zakupił również 1 łan między Mikoszami, Grzegorzami a Gutami. W tym miejscu powstała następnie osada Szwejkówko. Najprawdopodobniej Mikołaj był przodkiem pastora okartowskiego Fryderyka Jegera. Można domyślać się jego niemieckiego pochodzenia.

Przy opisie Gut wspomniałem o nadaniu niejakiemu Maciejowi Wigrinnckowi z tejże wsi w 1516 r. Otóż 5 października tegoż roku Rudolf von Tippelskirchen nadał skromnemu (tj. chłopskiego pochodzenia) Mattiesowi Wigrinnckowi (też Wiginncken) za jego wieloraką wierną służbę 2-łanowy nadmiar na moczarach. Owe 2 łany były nadane na prawie magdeburskim w wieczyste i dziedziczne, bez żadnych obciążeń, władanie[11]. W poprzedniej pracy umiejscowiłem te dobra pomiędzy Gutami a Mikoszami, teraz mogę uściślić, że leżały one na pewno między Gutami a Kwikiem, bowiem w dokumencie wspomniano oprócz nazwy pierwszej osady również „Pantzker grentze", czyli granice dóbr Pęskich z Kwiku (zob. niżej). Niejasna jest natomiast następna granica tych dóbr, bowiem w trzech kopiach znajdujemy różne określenia: *Milkosche*, *Wilkosche* i *Wildt Kaschte*, które raczej jednak nie można łączyć z Mikoszami, zresztą to wyklucza nawet położenie tych trzech miejscowości. W każdym bądź razie w późniejszych źródłach, zwłaszcza XVII-wiecznych, dobra owe zaliczano do Kwiku[12].

W 1517 r. w wykazie wszystkich osad starostwa ryńskiego Kwik został ujęty wśród dóbr wolnych dających daninę płużną (Pflugkorn) z obowiązkiem służb rycerskich. W osadzie wykazano następujących wolnych (zapis według brzmienia źródłowego): *Jan Gordlein son, Mathis Gelin, Raphael, Steickwitz, Nicolasche Jeger, Mathis Pantzke, Paul Alde Gordlen, Paul Zezda, Jacob Bottiger, Mikołaj Jeger* miał jeszcze 7 lat wolnizny[13]. W sumie trudno stwierdzić, którzy to ewentualnie byli potomkowie Sandeka, a którzy weszli do dóbr poprzez małżeństwa z córkami kolejnych właścicieli. W każdym bądź razie dobra uległy rozdrobnieniu pomiędzy 9 wolnych. Owe spisy nie wykazywały już lemanów, najpewniej po prostu z racji rozdrobnienia dóbr nie było potrzeby ich dalszego wynajmowania.

Zwraca uwagę obecność szlacheckiego rodu mazowieckiego Pęskich (*Pantzke*) z Pęsów herbu Bujno, którzy siedzieli już wcześniej w Mikoszach, jak też w Ełku. W popisie wojskowym z 1619 r. to właśnie Pęski (*Pantzky von der Quicke*) występuje jako ten, który miał wystawiać 2 służby rycerskie na

[10] Ostpr. F. 332, 46; Ostpr. F. 333, 40.
[11] Ostpr. F. 332, 37; Ostpr. F. 333, 39; Ostpr. F. 334, 132.
[12] Por. np. Ostpr. F. 452.
[13] Ordensfolianten 184, w: GSPK.

2 koniach[14]. W czasie działań ostatniej wojny polsko-krzyżackiej (1519–1521) musiał on i inni wolni wesprzeć stronę krzyżacką, gdyż nic nie słychać o ewentualnych późniejszych karach władz zwierzchnich, które dotykały wszystkich oponentów. Okolice Kwiku były natomiast dotknięte poważnymi zniszczeniami (np. Orzysz). Nie mamy jednak bezpośrednich informacji o zniszczeniach w samym Kwiku.

Dalsze losy

W 1535 r. Kwik liczył nadal 30 łanów (bez dodatkowych nadań), z których wolni zobowiązani byli do 2 służb konnych[15]. Pięć lat potem w osadzie żyło 12 wolnych (*Pawell Pansky, Jörg Panksy, Mattis, Jann, Striach, Jelynn, Staneck, Climeck, Peterka, Mletzko, Lorentz, Lucass*) oraz 12 zagrodników (*Jan Voit, Mareck, Pennćka Jan, Matzko, Piffa, Rzeznick, Patrun, Gulick, Materna, Baba, Jacub, Riback*)[16]. Najbogatszy we wsi był Paweł Pęski, dobrze sytuowani byli też Mleczko i Striach.

O Pęskich w Kwiku dowiadujemy się więcej z dokumentów z końca XVI stulecia. Wówczas Jan Pęski pełnił funkcję podsędka w starostwie ryńskim. Był to ważny urząd w sądownictwie ziemskim pełniony przez miejscową, w danej ziemi, szlachtę, rozpatrujący sprawy cywilne. Miejsce obrad znajdowało się prawdopodobnie już wówczas w Orzyszu[17]. Jan Pęski z Kwiku („alte Jan Penßki") w 1596 r. donosił, że pochodzi z mazowieckiej szlachty, a do Prus przybyli jego rodzice. To trochę komplikuje nasze rozważania, bowiem albo Jan Pęski był rzeczywiście wówczas bardzo wiekowy (bo przecież Maciej Pęski siedział tutaj już przynajmniej w 1517 r.), albo nastąpiła druga jeszcze migracja Pęskich do Prus. Co więcej kontakty Pęskich z Rzeczpospolitą nie ustały, bowiem syn Jana Melchior zamierzał służyć w wojsku polskim[18].

W sumie wiek XVI należał do czasów względnego dobrobytu osady. Choć ranga społeczna wolnych ciągle spadała, to pojedyńcze jednostki mogły odgrywać jeszcze rolę znaczącą w skali regionu, czego przykładem właśnie Jan Pęski z Kwiku. Największą uciążliwością wolnych były liczne szarwarki i obowiązki ciągle powiększane przez miejscowe władze. Opór wolnych nie na wiele się zdawał w związku ze spadkiem znaczenia służby rycerskiej na rzecz wojska zaciężnego, a przecież służba wojskowa była istotą wyodrębnienia tych drobnych, wolnych posiadaczy ziemskich.

Wydaje się wszakże, że już w początkach XVII w. osada zaczęła przeżywać trudności gospodarcze, które pogorszyły przygotowanie wojskowe wolnych. Tak należy bowiem rozumieć nadanie 10 lutego 1616 r. całej osadzie przez księcia pruskiego i elektora brandenburskiego Jana Zygmunta 7 łanów

[14] OBA 22935.
[15] Etats Ministerium 122 k 12, w: GSPK.
[16] Ostpr. F. 911a 29.
[17] Por. M. Toeppen, *Historia Mazur*, Olsztyn 1995, s. 200.
[18] Adelsarchiv 888, 1–6, w: GSPK.

nadmiaru „na pomoc" ich służbie. Owych 7 łanów w wieczyste i dziedziczne władanie na prawie chełmińskim zostało sprzedanych na rozkaz księcia przez starostę ryńskiego za 200 grzywien[19]. Główną rolę we wsi nadal odgrywali Pęscy. Wówczas głową rodziny był Maciej Pęski, sędek ryński. 7 września 1617 r. wspomniany powyżej książę potwierdził mu nadanie poczynione już przez księcia Albrechta jego przodkom na 4 łany wolne od czynszu w wieczyste, na prawie chełmińskim, dzierżenie[20].

W 1622 r. hołd dziedziczny nowemu władcy pruskiemu Jerzemu Wilhelmowi składali następujący mieszkańcy Kwiku: *Jorge Fridrißzigk* jako starszy wsi w Brandenburgu, pozostali w Orzyszu — *Mattiß Penßki, Jendris Weißzigk, Bartosch Paprotka, Thomaß Kowall, Valten Daschke, Jendriß Raphalzigk, Michel Friedrichoiz, Barteg Moimuzigk, Lorenz Mlezki, Jann Drab, Sigmundt Mitka, Marzin Zurkoiz, Tiz Mazkoiz, Tiz Plazko, Mattiß Paulleoiz, Jann Silla, Marzin Daschk*[21]. W sumie więc 18 wolnych, z których tylko nielicznych daje się utożsamić z mieszkańcami w XVI w. (Pęski, Mlezki).

Według księgi rachunkowej z 1624 r. Kwik miał, prócz 30 łanów ziemi oraz wspomnianych 7 łanów nadmiaru, jeszcze 10 łanów dodatkowych nadwyżek. W osadzie mieszkało już 19 wolnych[22]. Proces rozdrobnienia majątków więc ciągle postępował, niewątpliwie przyczyniając się do upadku pozycji wolnych nie tylko społecznej, ale przede wszystkim ekonomicznej. O pogłębiającym się kryzysie gospodarczym mieszkańców świadczy następujący fakt. W 1638 r. mieszkańcy Kwiku i Grzegorzy zwrócili się do władz z prośbą o zmianę świadczeń, zamiast od pługa proponując oddawanie danin od łana. W odpowiedzi starostwo udzieliło zgody, ale płużne miało być oddawane od 2 łanów w wysokości 1 korca płużnego zboża. Nie była to zapewne decyzja w pełni satysfakcjonująca, gdyż niektóre gospodarstwa mogły być mniejsze niż 2 łany (były około 20 właścicieli). Korzystne było natomiast zmniejszenie świadczeń tylko do jednego korca (dotychczas było po 1 korcu żyta i pszenicy). Powodem tych kłopotów ekonomicznych według komisji rozstrzygającej ten problem była zła gleba[23]. Prawdopodobnie doszło do erozji ziemi uprawianej ekstensywnie, w sposób niezmienny od dwóch stuleci.

W drugiej połowie XVII w. (1656 r.) doszło do słynnego najazdu tatarskiego, który na szczęście dla mieszkańców Kwiku nie dotarł nad jezioro Białoławki. Mieszkańcy więc spokojniej niż inne, nawet pobliskie, osady mogli gospodarzyć na swoich łącznie 49 łanach (z nadmiarami i dodatkowymi nadaniami)[24]. Były to łany uznawane za szarwarkowe, z wyjątkiem owych 2 łanów nadanych w 1516 r. Po najeździe tatarskim mieszkańcy Kwiku posiadali też 3-łanowy ostrów między ich dobrami a Gutami, który wcześniej (od 1559) należał do von Kröstenów, właścicieli Ruskiej Wsi, Miedz i Pistek.

[19] Ostpr. F. 333, 42; Ostpr. F. 334, 57.
[20] Ostpr. F. 332, 62; Ostpr. F. 333, 40.
[21] *Erbhuldigungskaten des Herzogtums Preussen* (cyt. EHP), Hamburg 1980, t. I, s. 98 i n.
[22] Zbiór szczątków amtów pruskich, w: Archiwum Państwowe w Olsztynie, sygn. XIX/4.
[23] Ostpr. F. 334, 6.
[24] Ostpr. F. 9712.

MUZEUM Ziemi Piskiej
Nr. inw. 475/88

Spowodowało to dłuższy spór z tym rodem szlacheckim[25], a choć brakuje źródeł, to wydaje się, że formalnie przez jakiś czas ostrów nadal wliczano w obszar posiadłości Kröstenów (przynajmniej w 1672 r., natomiast brak tych łanów w wykazach posiadłości Kwiku).

Wolni z Kwiku musieli wystawić dwóch zbrojnych, wtenczas już tzw. dragonów (w 1639 r. do służby wyznaczono *Sigmunda Mitkę* oraz *Michela Friedrißika*). W 1663 r. hołd dziedziczny „wielkiemu elektorowi" Fryderykowi Wilhelmowi złożyło 12 wolnych: *Daniel Sylla, Balzer Friederißzigk* w Królewcu, zaś w Rynie — *Matteß Lylluck* (też w wersji *Mazk Syllick*), *Szczepan Kratz (Stephan Traz), Peter Jendrzeitzigk, Michell Friedrißzigk, Valtien Mittzigk (Valtin Mitka), Mareck Mittzigk, Jan Koppetzsch, Jendriß Scheida, Jan Morata, Woytek Drentzk (Woyteck Dronschk)*[26]. Nie byli to jednak wszyscy mieszkańcy wsi, bowiem w 1667 r. uzupełniający hołd złożyli ponadto *Jendriß Mletzko, Peter Raphalzick, Woyteck Drost*. W spisach nie wykazano Pęskich, którzy jednak nadal siedzieli w Kwiku, co wiadomo z późniejszych danych. Ciekawy i charakterystyczny przykład dla trudnego ekonomicznie czasu stanowił *Wojtek Dronschk*, który był tylko bezpośrednim poddanym księcia pruskiego, czyli najpewniej chłopem czynszowym, ale osiedlił się w Kwiku, a następnie wykupił się, tj. przeszedł w szeregi wolnych. Możliwe to było ze względu na ogólny brak ludzi do zagospodarowywania licznych pustek. W 1690 r. hołd ze wsi złożyło 17 wolnych: *Jan Pensky, Andreas Pensky, Andreasz Fridriszik, Matz Silig, Jan Wissowotto, Baltzer Friedrißzigk, Andres Salomonzik, Nikoley Moneta, Grosch Faltinzik, Jan Marzik, Woytek Kopel, Jacob Trazeck, Michel Silla, Jacob Danielzigk, Stephan Scheyda, Marczin Drost, Woytek Droncz*[27]. Nazewnictwo osobowe wyraźnie wskazuje, tak jak w poprzednio omówionych wsiach, na polskie pochodzenie osadników.

Kwik i jego mieszkańcy w tym czasie mieli w ogóle wiele szczęścia, bowiem szalejąca w w 1710 r. w całych Prusach zaraza dżumy do tej wsi nie dotarła. Sprawiało to chyba położenie Kwiku na uboczu wszelkich traktów. Nie było więc żadnych ugorów, a w 1719 r. siedziało we wsi 20 wolnych, z których tylko 4 posiadało 2 i więcej łanów ziemi (dwóch Pęskich i dwóch Zielinskich), tymczasem aż 5 wolnych miało nawet poniżej 1 łana[28]. Te dane najlepiej mogą zobrazować sytuację ekonomiczną większości owych wolnych, którzy zrównali się po prostu gospodarczo z warstwą chłopów czynszowych. Pozostało jedynie społeczne poczucie wyższości i wspomnienie dawnej świetności lub nawet pochodzenia szlacheckiego.

Grzegorz Białuński

Dr Grzegorz Białuński jest pracownikiem naukowym Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie, kustoszem Archiwum Mazurskiego w Giżycku, autorem licznych publikacji poświęconych historii Mazur.

[25] Ostpr. F. 454, s. 16, w: APG, t. 19, 1989.
[26] EHP, Hamburg 1983, t. II, s. 155, 158–159.
[27] EHP, Hamburg 1992, t. III, s. 133.
[28] *Die Extracte der Protokolle über den Generalhufenschoss 1719 in den Ämter Rhein, Seehesten, Lötzen, Angerburg*; w: APG, t. 15, 1984, s. 231 i n.

JEŻE

Jeże — jedna z największych wsi w byłym powiecie piskim, położona w odległości 16 km na południe od Pisza, po lewej stronie Pisy, przy trakcie Pisz – Kolno – Warszawa. Nazwy wsi były różne: Geschen, Jeschen, Jessien, Geshssen, Szerhesen. W roku 1945 powrócono do starej nazwy Jeże od nazwiska Stańka Jeżka, który wraz z braćmi Mikołajem i Czernkiem założył ją na prawie brandenburskim, dzieląc na trzy majątki służebne, w 1445 roku.

Nadanie wsi Jeżkom zostało po wojnie 13-letniej potwierdzone przez Zakon Krzyżacki: „[...] naszemu wiernemu Stańko Jeżko, jego prawym braciom Mikołajowi i Czernko 30 włók przez nas i naszych Braci się poświadcza. Granica jedna nad Pisą, druga nad Wincentą, trzecia nad polem Tomka w Turowie, czwarta nad polem Lota w Dłutowie [...] wolne są od dziesięciny i robót, na prawie magdeburskim wraz ze zwyczajowymi świadczeniami, jak wolne rybołówstwo, pozyskiwanie kopalin".

Bracia Jeżko, szlachcice mazowieccy, pieczętujący się herbem Drzewica, znani byli w okolicach Łomży już w 1420 roku. Ich nazwisko na przestrzeni lat spotyka się w różnych dokumentach i z biegiem czasu ulega wielu deformacjom w języku niemieckim — Jess, Jeoske, Jesch, Jesseschy lub Jedewsky powtarzają się w źródłach z lat 1599–1600 jako ławnicy jańsborskiego sądu. W Jeżach powtarzają się osoby o innych nazwiskach. 11 włók i 12 morgów posiadał Szymon Cwalina, współzałożyciel majątku Cwaliny (wieś już nieistniejąca). Obok niego występuje Straubitz, Grabowski, 5 włók posiadał Jan Dlottowski (Dłutowski) według spisu z lat 1662/1663 wcześniej żyjący w Dłutowie. W 1690 roku pojawia się Jan Turowski. Ze spisu miejscowości i mieszkańców z roku 1540 wynika, że wolni chłopi byli tylko dzierżawcami, z wyjątkiem trzech o nazwisku Schwentz (Świącz): Jan Józef i Jakub, którzy prawdopodobnie wywodzili się z Prusów.

Spis miejscowości z lat 1579–1581 wymienia Jeże (Jeschonen) należące wraz z 37 włókami do parafii Kumielsk, natomiast w spisie Goldbecka z 1786 roku pisze się o Jeżach jako o wsi na prawie chełmińskim leżącej przy granicy z Polską nad Pischą (Pisą), z 29 komornikami.

W XVI w. powstała w Jeżach kuźnica. Najstarsze posiadane dokumenty tej kuźnicy to rachunki pochodzące z 1540 roku. Dzierżawca jej płacił wówczas 28 grzywien czynszu rocznie i miał dostarczać część swych wyrobów na potrzeby księcia Prus Książęcych. W latach 1555, 1567, 1574 nadano dzierżawcy kuźnicy 11 włók i 6 morgów ziemi. Kuźnica uległa likwidacji po 1601 roku.

Ryc. 1. Ołtarz główny w kościele w Jeżach. Fot. archiw.

W roku 1846 powstała w Jeżach parafia (wcześniej wieś należała do parafii Kumielsk). Kościół drewniany wybudowano w 1866 roku ze środków króla Fryderyka Wilhelma, ówczesnego króla Prus, który na jego budowę ofiarował 2.700 talarów, a w latach 1907–1908 wybudowano na jego miejscu kościół murowany. Organy zostały poświęcone 4 listopada 1871 roku, miały one jeden pedał i 6 rejestrów.

W kościele znajdowały się dzwony odlane w dawnej hucie żelaza w Wądołku (7 km na zachód od Jeży), które w 1945 roku przewieziono do Lachowa

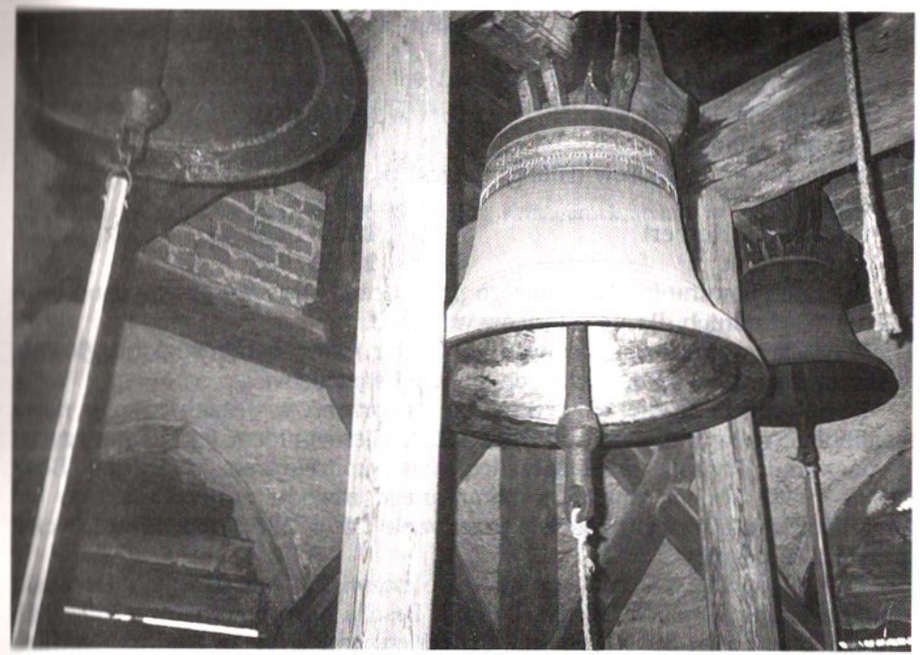

Ryc. 2. Dzwony odlane w hucie żelaza w Wądołku, które od 1945 r. znajdują się w kościele w Lachowie k. Kolna.

Fot. W. Szczech

w byłym powiecie kolneńskim, gdzie znajdują się na dzwonnicy przykościelnej do dziś[1].

Według „Encyklopedii gmin państwa pruskiego" stan ludności gminy na dzień 1 września 1931 roku wynosił 2.757 mieszkańców, z czego do kościoła ewangelickiego należały 2.654 osoby, co stanowiło 96,3% ogólnej liczby mieszkańców gminy. Reszta to prawdopodobnie katolicy.

Według spisu z 1865 roku do parafii Jeże należało 1.900 Polaków i 1.100 Niemców, a według spisu z 1901 roku — 2.000 Polaków i 310 Niemców. W 1913 roku wieś liczyła 600 osób.

Pastorami w zborze ewangelickim w Jeżach byli:

Czypulowski Leopold	1846–1858
Hassenstein Joh.D.Her.	1858–1865
Hensel Heinrich, Rudolf	1865–1874
Teschner Ernst, Teodor	1874–1878
Nikolaiski, Karl, Oskar, August	1878–1882
Bogdan Karl, August	1884–1885
Bolz Johann, Herman	1886–1893
Hensel, Paul, Viktor, Karl	1893–1907

[1] Inf. ustna — W. Szczech.

Dignath, Otto, Artur	1907–1912
Stern Ernst	1913–1922
Zachau Johs. Carl, Julius	1922–1935
Friedriszek Herbert	1938–1939
Strasdas Hans	1941–1945

Pomocnikami pastorów (Hilfstprediges) byli:

Grigo Robert	1901
Friedriszek Herbert	1936–1938
Sturm Horst	1939–1942

W czasie powstania styczniowego przez Jeże i Dłutowo przemycano broń z Prus Wschodnich dla powstańców w Polsce.

W czasie I wojny światowej (w lutym 1915 r.) wieś została spalona, głównie wskutek zażartych walk toczących się w jej sąsiedztwie.

Po reformie szkolnej w 1736 roku utworzono w Jeżach szkołę, nową ośmioklasową wybudowano w roku 1929. Kierownikiem jej był nauczyciel o nazwisku Proboll, współzarządcą, tzw. konrektorem, Friedrich Bosk (1933–1937). Proboll oprócz wykonywanego zawodu nauczycielskiego był organistą w miejscowym kościele przez wiele lat. W 1935 roku 5 nauczycieli uczyło 270 uczniów.

W XVII wieku występowały tu takie nazwiska, jak: Gottlieb Drensek, Johann Fallak, Gustaw Gorski, Johann Pesara (jego potomkowie mieszkali w Jeżach aż do lat 80. XX wieku), Fritz Plenkora, Wilhelm Rudnik, Gottlieb Segarrek, Gustaw Strupek i Rudolf Synowzik.

Walter Zielasko (obecnie mieszkający w Niemczech w Wolfsburgu) podaje, że gminę Jeże w 1938 roku zamieszkiwało 2413 mieszkańców. Do gminy tej, położonej nad południową granicą polsko-niemiecką, należały miejscowości: Jeże, Dziadowo, Turowo, Rakówko, Lipniki, Wolisko, Dłutowo i Ruda. Centralnym punktem gospodarczym były Jeże. Tu mieszkało w owym czasie 630 mieszkańców zajmujących się przeważnie rolnictwem. Wieś miała przystanek kolejowy, piekarnię, masarnię, młyn (wiatrak już nieistniejący), pocztę, jak też dwie gospody — Polkowskiego i Szybulki.

W dniach 2–4 września 1939 roku kompania kolarzy 33 pułku piechoty z Łomży dokonała w rejonie Jeży wypadu rozpoznawczego. Zwłoki poległych żołnierzy polskich ekshumowano po wojnie, początkowo na cmentarz przy ulicy Dworcowej, później na cmentarz komunalny przy ulicy Warszawskiej.

Po wojnie wieś została zasiedlona głównie przez ludność z okolic Kolna. Dziś Jeże liczą około 500 mieszkańców. Znajduje się tam szkoła podstawowa, sklep, przystanek PKS, parafia katolicka. Do stycznia 1945 roku Jeże miały połączenie kolejowe z Piszem. W 1945 roku linia kolejowa została rozebrana przez żołnierzy Armii Radzieckiej, a szyny i inne urządzenia kolejowe wywieziono do ZSRR. Należy przy okazji przypomnieć o projektach połączenia linią kolejową Pisza z Łomżą przez Niemców w czasie okupacji (nasyp pod tory kolejowe był już usypany aż do wsi Czerwone), jak i później przez władze PRL. Byłaby to najkrótsza droga z Mazur do Warszawy.

Mieczysław Kulęgowski

Bibliografia

1. Hoffmann-Bagienski H.L.: *Die Dienstgüter des Amtes Johannisburg. Sonderschriften des Vereins für Familienforschung in Ost- und Westpreussen e.V. nr 67*, Hamburg 1992, s. 144–146.
2. *Johannisburger Heimatbrief 1989*. Verlag Kreisgemeinschaft in der Landsmannschaft e.V., s. 161–162.
3. *Johannisburger Heimatbrief 1996*. Verlag Kreisgemeinschaft in der Landsmannschaft e.V., s. 118–120.

KANCJONAŁ MAZURSKI I JEGO ROLA W KSZTAŁTOWANIU POLSKIEJ ŚWIADOMOŚCI JĘZYKOWEJ WŚRÓD MAZURÓW W XIX WIEKU

Wstęp

Wielu ludzi zamieszkujących tereny Mazur żyje w głębokim przekonaniu, że otaczająca ich rzeczywistość powstała głównie na fundamentach kultury niemieckiej. Przypisywanie budynkom, ulicom, różnego rodzaju sprzętom i tradycjom określenia „poniemieckie" jest zjawiskiem powszechnie przyjętym, a istniejącym od czasów powojennych. Wkraczając jednak głębiej w problematykę tego zagadnienia, natrafiamy na wiele niejasności i dowodów, które nie pozwalają nam na bezkrytyczne przyjęcie tego typu stwierdzeń.

Już pierwszym niepodważalnym dowodem jest sprawa języka polskiego, jakim posługiwała się społeczność mazurska. Jest to rzecz bardzo istotna, jeżeli przyjmie się za fakt, iż decydującą rolę w kształtowaniu się wszelkich społeczeństw, ich kultury oraz tradycji duchowej i materialnej, odgrywał właśnie język.

W artykule tym autor zajął się niewielkim fragmentem tego zjawiska, a mianowicie funkcją, jaką pełnił w procesie kształtowania polskiej świadomości językowej Mazurów „Nowo wydany Kancyonał Pruski Zawierający w sobie wybór Pieśni Starych, Nowych, W ziemi Pruskiey i Brandenburskiey zwyczaynych, Z Sentencyą albo wierszem Pisma S. nad każdą Pieśnią, Z gorliwymi modlitwami Kościelnymi pospolitymi i osobliwymi, wszystkim w obec służącymi, A oraz też Z potrzebnym Reiestrem, Y Przedmową nauczaiącą, Jakim sposobem tego Koncyonału każdy ku zbudowaniu swemu zażywać ma. Cum. Gratia et Privil. S.R.M. Borussiae. W Królewcu, Drukował kosztem swoim Jan Henryk Hartung, Roku 1898", zwany potocznie „Kancjonałem Mazurskim" (ryc. 1). Bezpośrednią inspiracją do powstania artykułu był sam kancjonał, w którego posiadanie autor wszedł przypadkowo. Podczas zbierania informacji i opracowań na temat owej pozycji literackiej nie natrafiono na żadne opracowanie podejmujące bezpośrednio temat, jakim opatrzona jest poniższa praca. Zaznaczyć należy, że nie wyczerpuje ona w pełni zagadnienia, jak się okazało bardzo szerokiego. Artykuł stanowi jedynie próbę zasygnalizowania i popularyzacji tego problemu.

Samym kancjonałem szczegółowo zajmował się Andrzej Staniszewski, a jego zainteresowania skupiły się głównie na powiązaniach polskich poetów renesansowych z tym dziełem. Krzysztof Dariusz Szatrawski natomiast szczegółowo przeanalizował kancjonał pod względem przestrzeni sakralnej w nim zawartej. Problematyką języka polskiego na Prusach Wschodnich zajmowali się: Alodia Kawecka-Gryczowa, Władysław Chojnacki, Grzegorz Jasiński oraz Emilia Sukertowa-Biedrawina. Na szczególną uwagę zasługuje tu wybór

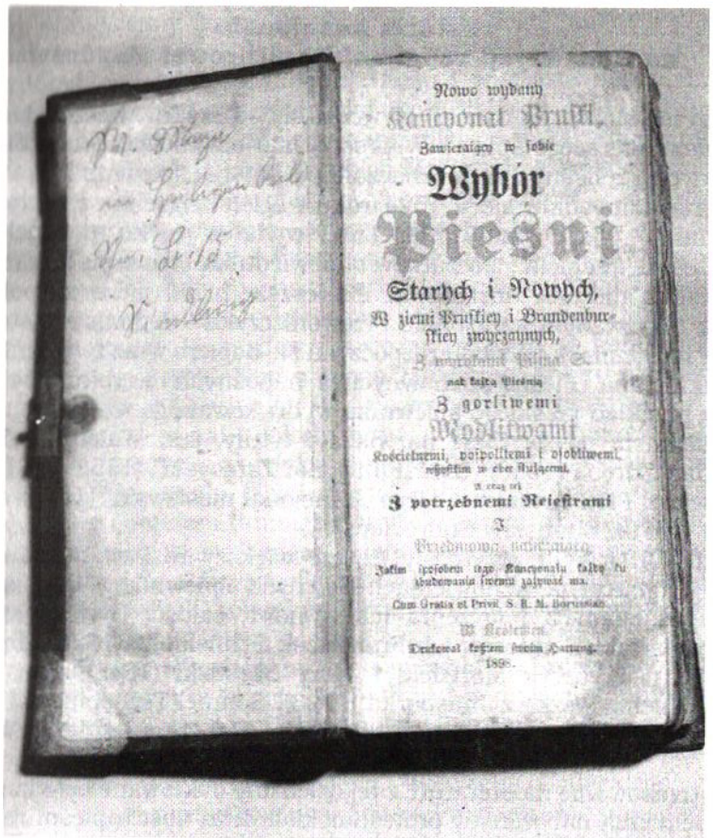
Nowo wydany
Kancyonał Pruski,
Zawierający w sobie
Wybór
Pieśni
Starych i Nowych,
W ziemi Pruskiey i Brandenburskiey zwyczaynych,
z gorliwemi
Modlitwami
Kościelnemi, pospolitemi i osobliwemi,
z potrzebnemi Reiestrami

Ryc. 1. Strona tytułowa Kancjonału z 1898 r. Fot. M. Truszkowski

źródeł pt. „Mazury i Warmia (1800–1870)" opracowany przez Władysława Chojnackiego, ponieważ w pracy tej znalazły się liczne fragmenty artykułów i sprawozdań z tego dzieła. Artykuł swoim zakresem obejmuje teren Prus Wschodnich na tle wydarzeń w latach 1799–1914, uznawanych przez historyków za „cały" wiek XIX. Naczelnym zadaniem artykułu jest udowodnienie, iż „Kancjonał Mazurski" w sposób znamienny kształtował społeczność mazurską, odciskając na niej trwały ślad zawarty w słowie mówionym i pisanym.

Rozdział pierwszy zapoznaje nas z krótkim rysem historycznym powstania „Kancjonału Mazurskiego" na tle stosunków społecznych i politycznych. Kolejny rozdział podejmuje próbę ukazania miejsca i roli, jaką odgrywał język polski wśród Mazurów. Zaś celem rozdziału trzeciego było ukazanie już konkretnej roli kancjonału jako śpiewnika polskiego, a zwłaszcza roli, jaką odegrał w podtrzymywaniu i umacnianiu polskości na Mazurach. Przeprowadzone badania ukazują spostrzeżenia i obserwacje z omawianego okresu i odnoszą je do dzisiejszego stanu wiedzy na ten temat.

Historia kancjonału na tle tradycji religijnej i kulturowej Mazurów

Znaczenie słowa „kancjonał" wywodzi się od średniowieczno-łacińskiego *cantionale*, znaczącego śpiew[1]. W prostej linii obejmowało ono zbiór pieśni liturgicznych i religijnych lub oznaczało po prostu „śpiewnik".

Historia kancjonału sięga 1524 roku i ściśle wiąże się z ruchem reformatorskim. W tymże roku Marcin Luter wydał w języku niemieckim zbiór pieśni „Gesangbüchlein". Początków odpowiednika tego typu literatury w języku polskim możemy doszukiwać się jeszcze przed pierwszą połową XVI wieku, w tak zwanym kancjonale Przeworszczyka[2]. Jednakże historia kancjonałów na ziemiach polskich rozpoczyna się dopiero wraz z wydaniem przez Jana Seklucjana „Pieśni duchownych a nabożnych" w roku 1547. Był to pierwszy przekład polskiego śpiewnika wydrukowanego w Królewcu. W ślad za Seklucjanem poszły takie nazwiska i tytuły, jak: Walenty z Brzozowa (1554), Jan Zaręba (1558), tzw. „Kancjonał Zamoyski" (1558–1561), Michał Hey Stawicki, Piotr Artomiusz i jego „Kancjonał niesiewski" (1563), Krzysztof Kraiński (1579), Stanisław Sudrovieus[3].

Wieki XVII i XVIII przyniosły jeszcze większy rozkwit literatury kancjonałowej, oparty na wznowieniach dawnych śpiewników oraz składaniu tekstów już znanych i łączeniu ich w nową całość. Były to najczęściej opracowania takich autorów jak Franciszek Schnelboltz (1683), Jan Malina (1671–1701), Fryderyk Mortzfeld i Jerzy Skrodzki (1648), Jan Wadecke (1696), Wilhelm Tyszka z Jańsborka (1723), Samuel Tschepius (1732, 1735 i 1743), ks. Andrzej Schönflisgus, Krzysztof Haberkant i Jerzy Wasiański (1741)[4].

Zapotrzebowanie na literaturę z tej dziedziny dyktowane było koniecznością uzupełnienia nabożeństw protestanckich dużą ilością pieśni religijnych. Miały one charakter radosny i zaliczane były przez Marcina Lutra do jednego z głównych oręży krzewienia ruchu reformacyjnego. Bowiem kolektywny śpiew licznych zborów miał służyć za wyraz społecznej wiary zakorzenionej w narodowym charakterze kościołów protestanckich[5]. Odbiciem takiej polityki była „normująca formy nabożeństwa „Ustawa [...] w Kościelech Księstwa Pruskiego" i już w roku 1544 dokładnie wyznaczała, kiedy i jakie pieśni winny być śpiewane"[6].

Wszystkie te okoliczności przyczyniły się do rozpowszechnienia literatury kancjonałowej zaspokajającej potrzeby protestanckiej części Królestwa Polskiego i Prus Książęcych. Na szczególną uwagę w tym procesie zasługuje

[1] *Słownik wyrazów obcych*. PWN, Warszawa 1980, s. 335.
[2] Lichański J.Z.: *Kancjonał Mazurski*. Borussia nr 12, 1996, s. 67.
[3] Tamże, s. 67–68.
[4] Kawecka-Gryczowa A.: *Zarys dziejów piśmiennictwa polskiego w Prusach Wschodnich*. Warszawa 1946, s. 46–52.
[5] Kotula K.: *Narodowy charakter Kościołów reformacji*, [w:] *Kalendarz Ewangelicki*. Warszawa 1959, s. 107–114.
[6] Kawecka-Gryczowa A.: dz. cyt., s. 19.

kancjonał opracowany przez Jerzego Wasiańskiego, nazywany potocznie „Kancjonałem Mazurskim". Przyjęcie tej nazwy pokrywa się z terenem, na którym zdobył on największą popularność i w czasie blisko dwustu lat figurował jako najpoczytniejsza książka obok Biblii, postylli i polskiego katechizmu. Tym samym miał on szczególne miejsce w kształtowaniu polskiej świadomości narodowej na ewangelickich Mazurach, zaś teksty w nim zawarte na trwałe weszły do potocznego języka mieszkańców tego specyficznego regionu. Jak już wspomniano, powszechnie przyjmuje się, że „Kancjonał Mazurski" opracowany został przez ks. Wasiańskiego — proboszcza ewangelickiego zboru w Nidzicy, pochodzącego z Leszcza pod Dąbrównem. Pomocy w opracowaniu kancjonału udzielił mu proboszcz owego Dąbrówna — ks. Krzysztof Haberkant[7]. Do niedawna uważano jeszcze, że kancjonał Wasiańskiego jest polskim przekładem najpopularniejszego zbioru niemieckich pieśni protestanckich pt. „Kern alter und neuer Lieder" autorstwa G.F. Rogalli[8]. Pogląd ten obecnie został obalony przez Andrzeja Staniszewskiego, który w swojej pracy „Tradycja czarnoleska na Mazurach" — wskazuje na szeroki krąg twórców „Kancjonału Mazurskiego" i na dominującą rolę ks. Jerzego Wasiańskiego w doborze i tłumaczeniu wielu pieśni, cytując za Krzysztofem Szatrawskim: „Obok Wasiańskiego i Haberkanta nad tłumaczeniami pracowali także pastor z Działdowa i wydawca »Doskonałego Kancjonału Pruskiego Królewieckiego« Samuel Tschepius, Wikary z Działdowa, Andrzej Mayer oraz pastor z Nidzicy Franz Ernest Cassius"[9].

Pieśni zawarte w omawianym dziele w około 50 procentach składają się z utworów powstałych w latach 1587–1732 i w dużym stopniu zasilane są przez psalmy Jana Kochanowskiego i zbiory kancjonałowe Artomiusza. Obok głównych tłumaczy i twórców kancjonału już wymienionych pojawiają się jeszcze nazwiska: Jana Barwkowiusa, Wojciecha Białeckiego, Krzysztofa Braenera, Franza Ernesta Cassiusa, Adama Freytaga, Johanna Jacoba Graebera, Michała Grockiego, Wojciecha Hentschela, Jana Harbiniusa, Jana Koszny, Jana Maliny, Jana Maneta, Fryderyka Mortzfelda, Michała Pilchowskiego, Szczepana Wennowskiego i Andrzeja Wedecke[10]. Wymienione osoby podjęły się tłumaczenia pieśni i psalmów niemieckich twórców: Heinricha Alberta, Paula Gerhardta, Martina Schellinga, Valeriusa Herbergera, Johannesa Majora, Jana Herbiniusa oraz Johanna Heermanna. Teksty ich współistniały w zbiorze z twórczością Jana Kochanowskiego, Andrzeja Trzecieskiego, Jakuba Lubelczyka i Mikołaja Reja. Znaczna część pieśni w „Kancjonale Mazurskim" jest anonimowego pochodzenia i tłumaczenia. Ogółem na 904 utwory — 261 to oryginalne pieśni staropolskie wywodzące się z rodzimej tradycji literackiej i religijnej, co stanowi 28 procent wszystkich pieśni i psalmów zawartych w kancjonale[11]. Aby bliżej zapoznać się z zagadnieniami

[7] Szatrawski K.D.: *Przestrzeń sakralna w Kancjonale Mazurskim*. Olsztyn 1996, s. 29.
[8] Estreicher K.: *Bibliografia polska*. T. 19, Kraków 1951, s. 89.
[9] Szatrawski K.D.: dz. cyt, s. 30.
[10] Tamże, s. 32.
[11] Staniszewski A.: *Obecność tradycji czarnoleskiej w tłumaczeniach pieśni niemieckich poetów (XV–XVI w.), zamieszczonych w Kancjonale Mazurskim*. Wrocław 1984, s. 33.

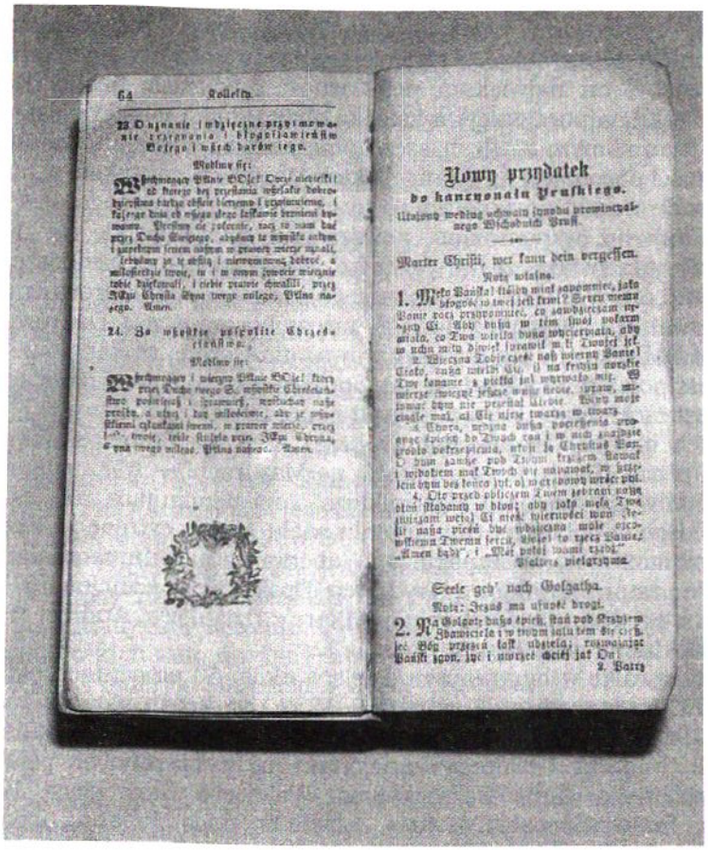

Ryc. 2. Nowy „Przydatek" dołączony do Kancjonału z 1899 r.
Fot. M. Truszkowski

ujmującymi szczegółowo te problemy, proponuje się sięgnięcie do opracowań Andrzeja Staniszewskiego i Krzysztofa Dariusza Szatrawskiego.

Okoliczności, w jakich wydany został po raz pierwszy „Kancjonał Wasiańskiego", związane są nieprzypadkowo z postacią króla Prus Fryderyka Wilhelma I (1688–1740). Uchodził on za przeciwnika żywiołu polskiego, co jednak początkowo przejawiało się tylko w dziedzinie polityki i gospodarki, pozostawiając na uboczu kulturę, a zwłaszcza religię. Nim prześladowania zdołały dotknąć słowa i druku, wyraził on zgodę na wydawanie kancjonału. Na mocy przywileju z dnia 17 maja 1738 roku (ryc. 3, 4), królewiecka drukarnia Jana Hartunga rozpoczęła długi cykl wydawniczy „Kancjonału Mazurskiego" oraz polskiej Biblii Nowego Testamentu, które w przyszłości przysporzyć miały wielu kłopotów pruskim zaborcom[12].

Pierwsze wydanie miało miejsce w roku 1741. W tym samym roku zmarł ks. Jerzy Wasiański. Wydanie to zawierało upamiętniające to wydarzenie

[12] Kawecka-Gryczowa A.: dz. cyt. s. 46.

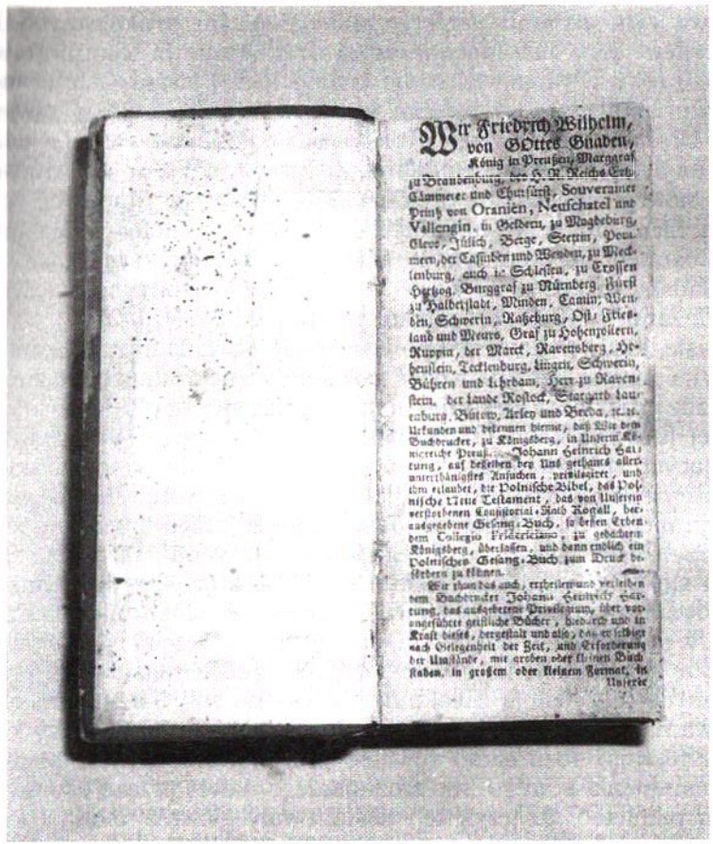

Ryc. 3. Przedruk treści przywileju z 17. maja 1738 r., na mocy którego królewiecka drukarnia J. Hartunga mogła wydawać Kancjonał.
Fot. M. Truszkowski

epitafium zamieszczone na tytułowej stronie kancjonału: „Chrześcijaninie Miły. Za pilne około tego Kancyonału staranie chor wiernych Pańskich z większey części ma Przewielebnemu w Bogu YMCI X. Jerzemu Wasiańskiemu, Kaznodziei i Vice — Proboszczowi Nidborskiemu, z pod ktorego Direkcyi Swiatu Chrześcijańskiemu przez druk dopiero się wydaie być wdzięcznym, Ktora praca, że się Bogu podobała do niebieskiego oraz Przybytku otworzyła mu Fortę, kiedyć godzina po zakończonej pracy, dnia 15 Septembra, roku 1741, ktory był ostatny 49 wieku iego, z godziną trzecią poranną, wieczny się zbliżył odpoczynek. Gdyż pewna iest wiernych sług Bożych nagroda ktorą im pan Jehowah obficie przed wieki sporządzić raczył"[13]. Epitafium owo zwracało szczególną uwagę na wysiłek i ogrom pracy włożony w powstanie dzieła, zapewniając mu jednocześnie od samego już początku mistyczną rolę, jaką miał w przyszłości spełniać.

[13] Szatrawski K.D.: dz. cyt. s. 29–30.

W pierwszym wydaniu zamieszczono 735 pieśni, drukowanych „krakowskim szryftem" (tzw. szwabachą), którą drukowano do ostatniego wydania. Następne, z roku 1744, powiększone zostało do 901 pieśni. Ostateczny kształt kancjonału ustalił się po trzecim wydaniu w roku 1746 i zawierał 904 pieśni[14]. Drobne zmiany w zawartości treści nastąpiły jeszcze po roku 1899, kiedy to na synodzie prowincjonalnym w Królewcu wysunięto wniosek opracowania nowego śpiewnika dla Mazurów. Miało to umożliwić śpiewanie pięknych, niemieckich pieśni, których zabrakło w „Kancjonale Mazurskim"[15]. Próba ta ostatecznie skończyła się na uzupełnieniu śpiewnika tzw. przydatkiem składającym się z 25 nowych pieśni tłumaczonych na język polski. Przydatek zamieszczony został jako ostatni rozdział (ryc. 2).

W czasie, kiedy wydawany był „Kancjonał Wasiańskiego", zaczęła nasilać się polityka germanizacyjna wobec polskojęzycznej ludności Mazur. Jednak plany władz pruskich w kierunku ograniczenia żywiołu polskiego, a następnie całkowitej jego likwidacji, napotykały na wiele przeszkód. Wielu autorów interesujących się tym tematem wskazuje na neutralność mazurskiej ludności i położenie geograficzne krainy, jako czynniki powstrzymujące germanizację. Przyjmuje się za Grzegorzem Jasińskim, że praca opiera się na pojęciu — Mazurzy — we „właściwym" tego słowa znaczeniu. Są to ci, którzy posługiwali się tylko językiem polskim, bądź ci, którzy język niemiecki traktowali jedynie jako urzędowy — w celu łatwiejszego komunikowania się[16]. Na co dzień, w domu i życiu religijnym, posługiwali się jedynie językiem polskim. Czynniki te składają się na osobliwy obraz ludności mazurskiej, przez wielu traktowanych jako ostoja zacofania przesycona zabobonami, niechętną do przyjmowania wszystkiego co związane jest z rozwojem[17]. Przy czym pod pojęciem rozwoju rozumiano również przyjmowanie języka niemieckiego, w celu zastąpienia starego „nie zrozumiałego nawet przez Polaków". Należy przy tym pamiętać, że język ten kształtowały głównie Biblia i kancjonał, a które na Mazurach nazywano zawsze polskimi. W obronie polskiego kancjonału, a tym samym polskojęzycznych wiernych, niejednokrotnie występował niemiecki Kościół ewangelicki, publicznie potępiając germanizację.

Pod względem wiary ludność mazurska była głęboko religijna i przywiązana do Kościoła. Ze sprawozdania generalnego superintendenta C.B. Molla z wizytacji po Mazurach w dniu 29 stycznia 1861 roku wynika, iż kościoły były przepełnione i była duża liczba komunikantów. Najbardziej widoczne zaś to muzykalność Mazurów, którzy zebrani w świątyniach przed nabożeństwami śpiewali pieśni z kancjonału[18]. Od niemieckojęzycznych ewangelików odróżniał ich przede wszystkim brak niechęci do katolików, a także częste przenikanie się tych wyznań. Życie kulturalne skupione było wokół Kościoła,

[14] Tamże, s. 31.
[15] Jasiński G.: *Mazury w drugiej połowie XIX wieku*. Olsztyn 1984, s. 166–167.
[16] Tamże, s. 183.
[17] Toeppen M.: *Historia Mazur. Przyczynek do dziejów krainy i kultury pruskiej*. Wspólnota Kulturowa „Borussia", Olsztyn 1995, s. 387–390.
[18] Narzyński J.: *Z dziejów żywiołu polsko-ewangelickiego na Mazurach*. [w:] *Rocznik Teologiczny Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej*. Warszawa 1963, s. 154.

zaś nade wszystko lud ten umiłował pieśni i przy każdej okazji dawał temu upust. Oprócz utworów zawartych w kancjonale śpiewano także pieśni ludowe.

W tym krótkim rysie obejmującym stosunek Mazurów do religii i języka zawartego w tekstach biblijnych i kancjonałowych należy wskazać na nierozłączność poczucia tożsamości wyznaniowej z mową polską, która owo poczucie utwierdzała i przekazywała z pokolenia na pokolenie. Inną sprawą też jest, że najczęściej Mazurzy prawdy swojej wiary rozumieli tylko w języku polskim, co powodowało, że nie podejmowano prób ich przekazu w języku niemieckim. Obawa przed zburzeniem stałości Mazurów w pojmowaniu i przekazywaniu porządku świata przekształciła się w granicę, przez którą trudno było przedostać się wszelkiemu postępowi. Jednym z bardzo ważnych elementów tego muru był „Kancjonał Mazurski".

Miejsce języka polskiego w tożsamości narodowej Mazurów

Jeszcze nie tak dawno, zadając pytanie rdzennemu mieszkańcowi Mazur — czy jest Polakiem czy Niemcem? — otrzymywano odpowiedź unikającą zaszeregowania w którejkolwiek z tych narodowości, a określaną jako Mazur. Taka odpowiedź znajduje uzasadnienie zarówno w historii jak i w tradycji tej grupy ludności. Toteż określenie jej przynależności narodowej od samego początku budziło wiele wątpliwości. Łączyło się to przede wszystkim z położeniem geograficznym i stosunkami politycznymi, które w sposób bezpośredni lub pośredni wiązały wielonarodowościową ludności tego rejonu[19]. Przede wszystkim ekspansywna polityka pruska wyznaczyła granice etniczne, które wpływały na ukształtowanie się charakterystycznej grupy pogranicza polsko-niemieckiego. Przysparzało to wiele trudności samym Mazurom, dlatego nie zadziwiały odpowiedzi nie stwierdzające konkretnej przynależności Mazurów do jednej z dwóch grup narodowych. Określanie się jako „Mazurzy" przyjęło się stosunkowo nie tak dawno, bo dopiero w połowie XIX wieku. Nim to nastąpiło, istniało kilka równolegle występujących nazw: Polacy, pruscy Polacy, polscy Prusacy i wreszcie Mazurzy[20]. Nazw tych używała południowa część starych Prus, czyli dawne Prusy Książęce, z których w II połowie XVIII wieku na 39 starostw za polskie uważano: Miłomłyn, Ostródę, Olsztynek, Dąbrówno, Nidzicę, Szczytno, Szestno, Pisz, Ryn, Ełk, Olecko, Zelki, Giżycko i Węgorzewo[21]. Mieszkańcy tych terenów do dzisiaj wykazują charakterystyczne cechy i mocne powiązania między Polską i Niemcami a ich „małą ojczyzną — engere Heimat" — Mazurami. Zaś stosunek do jednej jak i do drugiej strony ustalały pewne zasady. Z Prusami łączyła Mazurów lojalność obywatelska, z Polską zaś tradycja, język wiary i religii, odróżniający ich od niemieckiego Kościoła ewangelickiego.

Takie pojmowanie rzeczywistości stawiało Polaków pruskich przed częstymi i trudnymi wyborami, te zaś przez cały wiek XIX przechylały szalę na

[19] Jasiński G.: dz. cyt., s. 11.
[20] Tamże, s. 141.
[21] Tamże, s. 11.

stronę zwyczajów i tradycji religijnych wyniesionych z domu i tam pielęgnowanych. Toteż na tym polu odgrywała się największa walka. Walka w celu ograniczenia, a następnie zlikwidowania języka polskiego. Pełnię tego oddają słowa: „Biblia, podręczniki szkolne i kancjonały występują tam tylko w języku polskim. Przed sądem mazursko-polski wieśniak składa swoje oświadczenia tylko po polsku, po czym dopiero ulegają one przełożeniu przez innych na niemiecki, często w dość przekręconej postaci. Na targach i na zgromadzeniach słyszy się w tamtych stronach tylko polszczyznę; swoje umowy prywatne Mazurzy pruscy spisują — choćby umieli pisać inaczej — tylko po polsku"[22].

Istnieje jednak problem odróżnienia „czystej polszczyzny" od „zepsutego języka mazurskiego", opartego na archaicznym słownictwie i składni zawartej w pozycjach, o których artykuł już wspomina. Język mazurski używany był przez ludność głównie wiejską, posługującą się dialektem połączonego języka polskiego z łatwo wpadającymi w ucho germanizmami. Stąd też często określano mowę Mazurów jako zepsutą gwarę polską, żałosną mieszaninę, czy wręcz żargon[23]. Należy przy tym dodać, że do połowy XIX wieku, a zwłaszcza w latach trzydziestych i czterdziestych, podczas trwającej tzw. wojny językowej, ludność Mazur określała siebie jako Polaków, posługujących się językiem polskim. Dopiero pod koniec XIX wieku próbowano wyodrębnić „język mazurski" jako samodzielny, co spotkało się z szeroką krytyką[24]. Między innymi Augusta Haxthausena, który pisał: „Mazur [...] jest uparcie przywiązany do swej mowy i nawet jeżeli rozumie po niemiecku, mówi tym językiem tylko w razie konieczności. Odnosi się też nieprzychylnie do obcego, który doń zwraca się po niemiecku, udaje, że nie rozumie, i nie udziela żądanych objaśnień [...]"[25]. W zgodzie z powyższymi wnioskami, praca zakłada więc, że główną i najobszerniejszą częścią mowy mazurskiej, był język polski.

Rola kancjonału w powstrzymywaniu polityki germanizacyjnej na Mazurach

Rolę, jaką spełniał w tradycji językowej Mazurów „Kancjonał Wasiańskiego" trafnie dostrzegł Andrzej Staniszewski: „Kancjonał narzucał styl wypowiedzi, gotowe frazy, rymy, wartości melodyczne. Ta wydawana w pięćdziesięciotysięcznych nakładach święta księga Mazurów miała wartość reliktu, który jednakże inspirował, stał się bowiem skarbnicą gotowych formuł poetyckich dla drugo- i trzeciorzędnych poetów ludowych w latach 1842–1939"[26]. Czy twórcy kancjonału podczas prac nad nim mogli przewidzieć, jakie znaczenie miał on spełniać w przyszłości? Na to pytanie trudno

[22] *Mazury i Warmia (1800–1870)*. Wybór źródeł. Red. W. Chojnacki, s. 405.
[23] Jasiński G.: dz. cyt., s. 25.
[24] Tamże, s. 26.
[25] *Mazury i Warmia...*, s. 406.
[26] Staniszewski A.: *Tradycja czarnoleska na Mazurach*. Olsztyn 1986, s. 29.

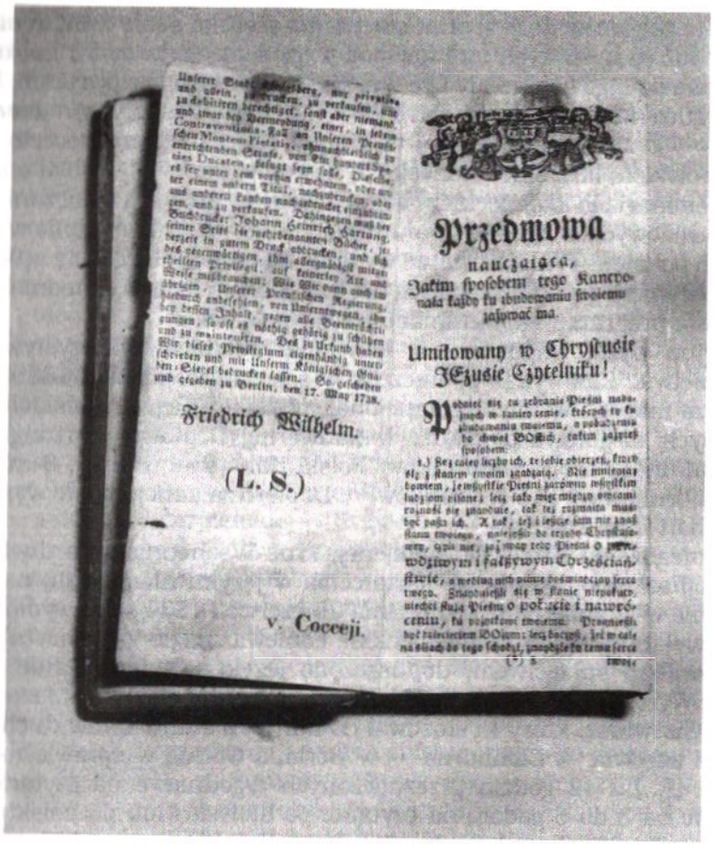
Przedmowa
nauczająca,
Jakim sposobem tego Kancyonała każdy ku budowaniu swoiemu zażywać ma.
Umiłowany w Chrystusie
Jezusie Czytelniku!
Friedrich Wilhelm.
(L. S.)
v. Coceji.

Ryc. 4. Przedruk końcowej części przywileju z 17. maja 1738 r.
Fot. M. Truszkowski

uzyskać odpowiedź. Pozostaje więc jedynie zadowolić się licznymi przykładami, które świadczą o priorytatywnej pozycji tego dzieła w kształceniu polskości Mazur. Jak podawał Wojciech Kętrzyński: „Literatury właściwie Mazurzy nie mają, bo wszystko co u nich się pojawiło, jest treści religijnej i pisownią polską pisane. Cały zapas więc, który zwykle w ręku Mazura się znajduje, składa się z Biblii, która jest tylko przedrukiem edycji gdańskiej z roku 1632, z kancjonału i kalendarzyka, który p. Giersz, radca miejski z miasteczka Leca [Giżycka], od ni[e]jakiego czasu drukiem wydaje"[27]. Z tych pozycji czerpano główną wiedzę. Kancjonał służył do nauki czytania, pisania i śpiewania po polsku, dlatego obok kościołów, szerokie miał zastosowanie także w domu i szkole.

Kiedy po trzecim rozbiorze Polski okazało się, że na terenach włączonych do Prus praktycznie nie istniało szkolnictwo elementarne, zaczęto przypuszczać, iż nauka języka polskiego opierała się przede wszystkim na kancjonale.

[27] *Mazury i Warmia...*, s. 453.

Skłoniło to zaborców do przeprowadzenia na szeroką skalę działań mających zasymilować ludność tych terenów pod względem językowym i kulturowym. Narzędziem do tego celu miały być wybitne siły pedagogów pruskich. Plany te zawarł radca konsystorza w Berlinie — Zöllner w pracy pt. „Ideen über National — Erzienkung" (1804) i wykluczył rolę — w tym procesie — nauczycieli polskich, litewskich, łużyckich, nawet wówczas gdyby byli oni kształceni w seminariach niemieckich. Proponował on program nauczania mniejszości narodowych w sposób gwarantujący całkowite zniemczenie w przeciągu dwóch pokoleń. Tym bardziej że wydanie tej pozycji zbiegło się z pierwszym rozporządzeniem germanizacyjnym dla ówczesnych Prus Wschodnich i wprowadzeniem programu eksterminacji języka polskiego[28].

Jak już wyżej wspominano, kancjonał szeroko wykorzystywany był w szkolnictwie. Zaś wykaz podręczników szkół mazurskich z 1825 roku na pierwszym miejscu wymieniał kancjonał, podając: „Rejestr polskich książek przedajnych za gotowe pieniądze w Nadwornej Drukarni Hartunga: Polski Kancjonał, in 12-mo, 9 srebrników. Polski Kancjonał, in maj. 8-ro, duzemi głoskami drukowany, 15 srebrników"[29]. Dopiero za kancjonałem wymieniona była Biblia i inne książki.

Rozporządzenia Królewskiej Rejencji Prus Wschodnich dla duchownych i reputacji szkolnej w sprawie kształcenia w języku niemieckim nasiliły się szczególnie w latach 1811–1865. Dnia 25 czerwca 1834 roku wydano nakaz uczenia wyłącznie w języku niemieckim. Ponieważ rozporządzenie to spotkało się z szerokim sprzeciwem, dopuszczono język polski do nauki czytania i religii. Wyróżniającym się bojownikiem o język polski na Mazurach był Gustaw Gizewiusz, który wystosował do ministra stanu spraw duchownych, oświaty i zdrowia — Eichhorna — w Berlinie wyciąg w sprawie nauczania czytania: „[...] z 12 godzin przeznaczonych tygodniowo na czytanie wolno poświęcać od 3 do 6 godzin na czytanie po litewsku lub po polsku [...]. Na czytanie po niemiecku rezerwuje się przeto dla pierwszego oddziału od 6 do 9 godzin tygodniowo. Do czytania po litewsku lub po polsku posługiwać się należy Biblią lub kancjonałem, które i tak stanowią niemal całą literaturę Litwinów i Mazurów"[30] oraz wyciąg w sprawie nauczania religii: „[...] Jeżeli w zrzeszeniu występują dzieci o różnym języku ojczystym, wówczas na każdej lekcji religii nauczać należy najpierw w języku ojczystym większość, a bezpośrednio potem w języku ojczystym mniejszej liczby uczniów. Podobnie każdy uczeń powinien wyuczyć się ustępów z Biblii, rozdziałów Katechizmu i tekstów pieśni Kościelnych"[31]. Zarządzenie germanizacyjne z roku 1865 zawierało wskazówki, w jaki sposób należy przygotowywać dzieci do nauki języka niemieckiego. Wynikało z niego, że należy w pierwszym roku nauki tak szybko jak jest to możliwie nauczyć dzieci pisać i czytać po polsku, aby już w drugim roku można było rozpocząć czytanie i pisanie po niemiecku[32]. Tak więc

[28] Tamże, s. XLI.
[29] Tamże, s. 548.
[30] Tamże, s. 574.
[31] Tamże, s. 573–574.
[32] Tamże, s. 578.

w oddziale drugim „na miejsce polsko-niemieckiego elementarza przychodzą niemieckie czytanki. Natomiast polskie czytanie katechizmu, historii biblijnej i kancjonału należy prowadzić dalej, aż dzieci będą w stanie czytać tę książkę ze zrozumieniem"[33]. Dawało to dzieciom możliwość opanowania języka niemieckiego, nie ujmując przy tym nauce języka polskiego. I choć postępy w nauce niemieckiego były znaczne, to poza szkołą przeważał jednak polski. „Z małymi wyjątkami, uczniowie poza szkołą mówią tylko po polsku" — napisano w tomie generalnych wizytacji, więc ci, którzy nie mieli ciągłego kontaktu z językiem niemieckim, „szybko zapominali, czego nauczyli się w szkole. W sklepach, na rynku wystarczyło kilka słów w łamanej niemczyźnie, z sołtysem i przedstawicielami lokalnej władzy mogli nadal porozumieć się po polsku"[34]. Podczas jednej z wizytacji we wsi Krukowo dzieci nie nauczone w szkole żadnej polskiej pieśni, znały je lepiej niż niemieckie. Był to wynik nauki w domu. Odśpiewały one piękną polszczyzną pieśń Bernarda Rostkowskiego „Pola już białe", której tekst znajduje się w kancjonale[35].

W wypowiedziach pastorów przeciwko germanizacji spotykamy się z ostrym potępieniem nauki pieśni kancjonałowych w języku niemieckim. W sprawozdaniu pastora diecezji ełckiej — Kriegera — z dnia 20 września 1837 roku znajdujemy stwierdzenie: „[...] Można uznać tylko za okropność, że najwspanialsze pieśni z kancjonału śpiewają dzieci po niemiecku, wyuczywszy się ich dzięki długiemu i częstemu powtarzaniu słów przez nauczyciela, lecz nie wiedząc, co śpiewają"[36]. Trzy lata wcześniej ten sam pastor podaje rzeczywistą liczbę Niemców w diecezji ełckiej. Na ogólną sumę 28.461 mieszkańców przypada ich tylko 1.527. „Pozostali mówią tak zwanym językiem mazurskim, który nie jest bynajmniej jakimś „żargonem", jak sądzą ci, którzy go nie znają, lecz rzeczywistym językiem polskim, jak tego dowodzi wspaniały polski przekład Biblii, zrozumiały również dla największego mazurskiego prostaka, a napisany polskim językiem literackim jego kancjonał, katechizm itd."[37]. Zaś w roku 1836 w obronie kancjonału i zawartego w nim języka wystąpił synod oleckich pastorów. „W rękach zamożniejszej części naszego ludu znajduje się oprócz Biblii również polski kancjonał, napisany podniosłym językiem [....]"[38]. Doskonale ujmował znaczenie kancjonału radca konsystorza, dyrektor polskiego seminarium w Królewcu, odpowiedzialny za polską literaturę — Hermann Pelke. Dzięki niemu nie podejmowano szerszej akcji wypierania języka polskiego z ukazujących się drukiem czasopism i literatury religijnej. Wstrzymywałoby to bowiem germanizację, która zdaniem Pelkego przebiegała w sposób zadowalający[39]. Znał on bowiem potrzeby językowe Mazurów, dla których jedyną zrozumiałą polszczyzną literacką były Biblia i kancjonał. Analizując wobec tego zagadnienie twórczości literackiej

[33] Tamże, s. 578–579.
[34] Jasiński G.: dz. cyt., s. 126.
[35] Tamże, s. 123.
[36] *Mazury i Warmia...*, s. 614–615.
[37] Tamże, s. 606–607.
[38] Tamże, s. 600.
[39] Jasiński G.: dz. cyt., s. 102.

dla Mazurów, Pelke pisał: „Mazurzy posiadają i znają, jak już wykazano wyżej, książki pisane literacką polszczyzną, a mianowicie swoją Biblię, kancjonał i zbiory kazań. Z konieczności przeto dochodzę do następującego wniosku i jeżeli ma się pisać dla ludu mazurskiego, to nawiązać trzeba do języka wymienionych książek"[40]. Bronił kancjonału przed wszelkimi zmianami, motywując to w ten sposób: „Mazurzy nie rozumieją w istocie często polskiej Biblii i polskiego kancjonału, jednakże z tych samych przyczyn, dla których niejeden Niemiec nie rozumie niemieckiej Biblii i niemieckiej pieśni kościelnej; winy nie ponosi zatem język [...]"[41].

Mimo tego nie uniknięto pomysłów zmiany kancjonału. Przyczynił się do tego Ernest Teschner, który w roku 1899 na synodzie w Królewcu wystąpił w imieniu synodu oleckiego z wnioskiem opracowania nowego śpiewnika. Pomysł ten ostro potępił Hermann Pelke, tłumacząc, że nie popchnęłoby to procesu germanizacji, a wręcz przeciwnie, mogłoby mu zaszkodzić[42]. Odejście od inicjatywy Teschnera świadczyło o wysokiej pozycji „Kancjonału Mazurskiego" w walce o język polski. Nie traktowano go jako zwykłej książki. Obchodzono się z nim w sposób delikatny i rezolutny. Ostatecznie sprawa skończyła się dołączeniem do kancjonału przydatku, o którym mowa była w drugim rozdziale artykułu.

Ciekawa jest sprawa poziomu czytelnictwa wśród Mazurów, na temat którego krążą różne opinie. Poziom ten nie wybiegał ponad przeciętność, ale nie był tak niski, jak donosił pastor Friedrich Ballnus z Cichów: „brak ludowego piśmiennictwa w ogóle bądź też chęci do nauki. Mazur czyta w niedzielę i święta kancjonał, Biblię, postyllę, ale rzadko inne budujące pisma, a takich nie brakuje"[43]. Faktem jest, że działalność wydawnicza nie zaważyła zbytnio na bilansie czytelnictwa mazurskiego. Tak na przykład Jan Jenczio z Markowskich, który był wydawcą dzieła Dawida Hollaza pt. „Zbawienny Łaski Ewangeliczny Porządek" (1861), miał problemy z jego sprzedażą. Na dwa tysiące egzemplarzy udało mu się sprzedać jedynie 540.Podobne problemy miał Jan Będzio ze Szczech Małych, wydawca anonimowego dzieła pt. „Czytania nabożne ku chwale Boga" (1852). Nie wynikało to jednak z braku zainteresowania Mazurów czytelnictwem. Popyt na owe wydania istniał, hamowany jednak nędzą, niewydolnością sieci kolportażu i nawykami Mazurów[44].

Sytuacja ta jednak nie wiązała się z kancjonałem. Zapotrzebowanie na niego rosło, a liczba wydań doszła do stu pięćdziesięciu. Wyraz temu dała w roku 1852 I Mazurska Konferencja Kaznodziejów, na której padła propozycja utworzenia Towarzystwa dla Upowszechnienia Polskich Biblii i Kancjonałów. W tym czasie kancjonał wydano 10 razy, a poszczególne wydania dochodziły nawet do 50 tysięcy egzemplarzy[45]. W latach 1851–1870 nastąpiło

[40] *Mazury i Warmia...*, s. 681.
[41] Tamże, s. 679.
[42] Jasiński G.: dz. cyt., s. 167.
[43] Tamże, s. 53.
[44] Tamże, s. 53–54.
[45] Tamże, s. 55.

kolejnych 16 wydań, a w latach 1896–1914 wznowiono go 13 razy. Od roku 1899 poszerzony został o przydatek.

Posiadanie przez Mazura kancjonału było rzeczą ogólnie przyjętą. Towarzyszył mu on od momentu urodzin, kiedy włożony był pod główkę dziecka, aż do śmierci. „Zmarły leży na wznak, ręce złożone trzymał jakby trzymał wetkniętą chusteczkę, kwiatek, jabłko lub modlitewnik, względnie kancjonał"[46]. Jego mały format sprawiał, że łatwo dawał się schować do kieszeni. To wszystko dopełniało jego najważniejsze znaczenie — miał służyć do duchowej pociechy podczas wspólnych śpiewów. Wspólne spotkania przy śpiewie odegrały poważną rolę w szerzeniu się, w XIX i pierwszej połowie XX wieku, ruchu gromadkarskiego. Był to ruch wyrażający opozycyjność ludności etnicznie polskiej przeciwko unizmowi i polityce germanizacyjnej wobec Kościoła ewangelickiego w Prusach. Wśród gromadkarzy przeważał żywioł polski. Zbierający się w chatach ludzie odprawiali nabożeństwa w języku polskim, próbując w ten sposób stworzyć polski narodowy Kościół ewangelicki. Pod wpływem tego ruchu wielu Niemców polonizowało się. Ze środowiskiem gromadkarzy związani byli już wcześniej wspomniani pisarze mazurscy, jak Jan Jenczio i Jan Będzio[47].

Swój ślad szeroko pozostawił kancjonał w wydawanej bardzo licznie prasie mazurskiej. Pieśni w nim zawarte chętnie przedrukowywano lub na ich wzór tworzono własne. Bardzo interesujące zdarzenie miało miejsce na łamach pierwszego numeru „Mazura" wydanego w Tylży. Zamieszczono w nim przeróbkę 814 psalmu z „Kancjonału Mazurskiego", a jako jego autor podpisał sie Fryderyk Quas. Zareagował na to wydawca „Kalendarza Królewsko-Pruskiego Ewangelickiego" i „Gazety Leckiej" Marcin Gerss, który swoją twórczość literacką często wzorował na „Psałterzu Dawidowym" Jana Kochanowskiego. Jego zaś prywatne nastawienie do języka polskiego było zdystansowane i niechętne. Jednak reakcja jego w tym wypadku była niespodziewanie ostra. „Czy to się podało, wiersze, które inny ułożył, sobie przywłaszczyć i ludziom powiadać, że on je zrobił? Takie postępowanie nazywają kradzieżą literacką i jest oszukaństwem ludzi i Pana Boga"[48]. I tak oto, jak zauważył Andrzej Staniszewski, „paszkwil na nasz naród przeplata się niespodziewanie z gloryfikacją rodzimych tradycji"[49].

Zakończenie

Tak jak istnieją dzisiaj Mazurzy ze swoją mową, tak w ich domach znaleźć można jeszcze „Kancjonał Wasiańskiego". Ta niepozornie wyglądająca książeczka przez cały czas swojego niemal dwustuletniego bytu towarzyszyła ludności ziemi mazurskiej w jej najtrudniejszych momentach. Od pierwszej chwili

[46] Jagucki A.: *Obrazy przeszłości*, [w:] *Kalendarz Ewangelicki*. Warszawa 1952, s. 145.
[47] Narzyński J., dz. cyt., s. 162–163.
[48] Staniszewski A.: *Obraz Polski i Polaków na łamach prasy i kalendarzy mazurskich (1842–1914)*. Przegląd Humanistyczny, nr 10, 1983, s. 130–131.
[49] Tamże, s. 130.

kancjonał przyjął na siebie „niesienie polskości" wyśpiewywanej w melodiach, dzięki którym mowa ta mocniej zapadała w pamięć. Jako śpiewnik nie znalazł sobie równych na tym polu i sprawił, że do dzisiaj słyszy się charakterystyczną mowę mazurską przesyconą epoką renesansu. O wartości tego dzieła świadczą liczne artykuły i opracowania na ten temat, które w znacznej mierze zostały w pracy wykorzystane. Ukazały one w dużym stopniu związki kancjonału z decyzjami władz pruskich, dotyczącymi zwalczania żywiołu polskiego na Mazurach w XIX wieku. Jednocześnie wskazują na szereg osób, zarówno przeciwników jak i gorących miłośników — obrońców języka polskiego, zawartego w tej świętej księdze Mazurów. Ludzie ci występowali samotnie, w grupach lub całej społeczności dowodząc, że problematyka omawiana miała poważne podstawy do jej przedmiotowego zbadania. Utwierdza to autora w trafnym wyborze tematu artykułu. Temat ten powinien doczekać się szerszego opracowania. W tym przypadku ograniczone to było możliwościami czasowymi, nie pozwalającymi na dotarcie do jeszcze większej ilości opracowań i artykułów. Znamienna podczas pisania artykułu była niemożność korzystania ze zbiorów Ośrodka Badań Naukowych w Olsztynie, w tym właśnie czasie remontowanym.

Na zakończenie autor pragnie podziękować uczennicy Szkoły Podstawowej nr 4 w Piszu — Ewelinie Burzyńskiej, która przekazując jedno z wcześniejszych wydań „Kancjonału Mazurskiego" do zbiorów pracowni historycznej, zainspirowała powstanie tego artykułu.

Marek Truszkowski

Marek Truszkowski mieszka w Piszu, jest studentem historii na WSP w Olsztynie.

Bibliografia

1. *Kancjonał Mazurski* (jedno z wcześniejszych wydań, rok nie ustalony).
2. *Kancjonał Mazurski.* Królewiec 1891.
3. *Kancjonał Mazurski.* Królewiec 1898.
4. *Kancjonał Mazurski.* Królewiec 1915.

Opracowania i artykuły

1. Estereicher K.: *Bibliografia polska.* T. 19, Kraków 1951.
2. Jagucki A.: *Obrazy przeszłości,* [w:] *Kalendarz Ewangelicki.* Warszawa 1952.
3. Jasiński G.: *Mazury w drugiej połowie XIX wieku.* Olsztyn 1984.
4. Kawecka-Gryczowa A.: *Zarys dziejów piśmiennictwa polskiego w Prusach Wschodnich.* Warszawa 1946.

5. Kotula K.: *Narodowy charakter Kościołów reformacji,* [w:] *Kalendarz Ewangelicki.* Warszawa 1959.
6. Kulęgowski M.: *Kancjonał.* Krajobrazy, nr 27, 1982.
7. Lichański J.: *Kancjonał Mazurski.* „Borussia", nr 12, 1996.
8. *Mazury i Warmia (1800–1870).* Wybór źródeł. Red. W. Chojnacki, Warszawa 1958.
9. Narzyński J.: *Z dziejów żywiołu polsko-ewangelickiego na Mazurach,* [w:] *Rocznik Teologiczny Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.* Warszawa 1963.
10. Sakson A.: *Mazurzy — społeczność pogranicza.* Instytut Zachodni, Poznań 1990.
11. *Słownik wyrazów obcych.* PWN. Warszawa 1990.
12. Staniszewski A.: *Tradycja czarnoleska na Mazurach.* Olsztyn 1986.
13. Staniszewski A.: *Obecność tradycji czarnoleskiej w tłumaczeniach pieśni (XV1XIX wiek) zamieszczonych w Kancjonale Mazurskim.* Wrocław 1987.
14. Staniszewski A.: *Obraz Polski i Polaków na łamach prasy i kalendarzy mazurskich (1842–1914).* Przegląd Humanistyczny, nr 10, 1983.
15. Szatrawski K.D.: *Przestrzeń sakralna w Kancjonale Mazurskim.* Olsztyn 1996.
16. Toeppen M.: *Historia Mazur. Przyczynek do dziejów krainy i kultury polskiej.* Wspólnota Kulturowa „Borussia", Olsztyn 1995.

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO NA ZIEMI PISKIEJ

Historia parafii Kościoła ewangelicko-augsburskiego (luterańskiego) w Piszu

Zakon Krzyżacki, zgodnie z intencją jego założycieli, utworzył w Prusach państwo kościelne. Zakładając miasta i wioski, troszczył się także o uregulowaną posługę duchową. Wspomagał więc budowę kościołów i mianował duchownych. Również mianowanie biskupów na tym terenie leżało w gestii Zakonu. Kolonizując nowe ziemie, Krzyżacy czerpali nieprzeciętne zyski. Wabiono ludność z Mazowsza przeróżnymi obietnicami, aby osiedlała się w Prusach.

Stały dochód duchownych składał się z części plonów danego właściciela ziemskiego oraz z bezpośredniej daniny. Przy zakładaniu miasta lub wsi z kościołem wyznaczano zawsze 4 nieoprocentowane włóki dla duchownych. Dziesięcina zaś wynosiła jeden korzec żyta i jeden owoc z każdej włóki[1].

Ponieważ działalność osiedleńcza na terenie późniejszego okręgu piskiego dokonywała się w pierwszej połowie XV wieku, dlatego właśnie w tym okresie powstawały pierwsze kościoły: Johannisburg (Pisz) — 1449, Drigelsdorf (Drygallen, Drygały) — 1438, Gehlenburg (Bialla, Biała Piska) — 1481, Eckersberg (Okartowo), Arys (Orzysz), Morgen (Kumilsko, Kumielsk) — około 1500 roku. Kroniki wspominają jednak o pierwszej kaplicy, która została zbudowana w Piszu w 1367 roku (po nadaniu praw bartnych) przez brata Urlyka Fricke — komtura bałdzkiego i wójta Natangii.

Wszystkie te kościoły należały do biskupstwa Warmii i należały w okresie sprawowania administracji przez Zakon Krzyżacki do dziekanatu w Reszlu (Rössel). Duchowni wymienionych kościołów byli dotowani 4 włókami ziemi, zaś ilość zboża (dziesięcina) była różna (w Drygałach — ciężar 22 korców, w Białej — 44 korce, w Kumielsku — 20 korców, w Okartowie wraz z filią w Orzyszu — 20 korców).

Pisz jest wymieniony w spisie kościołów warmińskich około 1500 roku (1487–1528) bez adnotacji o wysokości daniny na rzecz kościoła.

O duchownych z pierwszego okresu istnienia parafii niewiele wiadomo. Drygały miały już w 1432 roku jednego kapłana. 10 września 1488 roku powołano księdza Petrusa de Mieski z diecezji płockiej jako reprezentanta komtura z Bałgi — Siegfrieda Flacha na teren parafii w Drygałach. Również z diecezji płockiej pochodził ksiądz Petrus Swenteslai powołany 22 maja 1481 roku na reprezentanta komtura Erazma Reitzensteina w Białej. W parafii tej

[1] E.J. Guttzeit: *Der Kreis Johannisburg*, Würzburg 1964, s. 230 (tłum. własne).

chory proboszcz Nikolaus zrezygnował dobrowolnie ze stanowiska pod warunkiem otrzymania do końca życia emerytury. W roku 1513 ksiądz Kaspar opuszcza z powodu jakichś sporów parafię w Białej, a jego posada zostaje obiecana księdzu Paulowi.

W Piszu już w 1449 roku był zatrudniony jeden kapłan — Merton. Od 1491 roku istniał tutaj wikariat „Naszym Kochanym Kobietom" („Unserer Lieben Frauen"). Zaopatrywał go w ryby wielki mistrz zakonny Hans von Tiefen. W Piszu istniało także bractwo duchowe. W 1513 roku złożyło ono skargę, że komtur ryński od 8 lat defraudował rocznie pół tony nałożonych bractwu szczupaków.

Komtur ryński Rudolf von Diepoltskirchen poprosił w 1503 roku biskupa Lukasa o przekazanie zarządzania kościołem w Okartowie na rok próby jego synowi (także duchownemu). W 1513 roku mianowano księdza Georga proboszczem Okartowa.

W parafii Kumielsk biskup Lukas rozstrzygał skargę dotyczącą rodu Jana Scholina.

O życiu Kościoła w czasach panowania Zakonu Krzyżackiego niewiele wiadomo. Biskup Henryk III Sorbom (1373–1401) ustanowił dla mieszkańców Prus, również tych nowo nawróconych na wiarę katolicką, obowiązek uczęszczania do kościoła. Papież Marcin V nakazywał w swojej bulli z 14 stycznia 1428 roku, że w probostwach diecezji warmińskiej, gdzie mówiono w językach niemieckim i pruskim, mają być zatrudniani duchowni, którzy znają oba języki. Powyższe zarządzenie powtórzono w 1449 i 1497 roku. Obowiązywało ono także na terenie Mazur, gdzie żyli obok siebie Niemcy, Prusowie i Polacy (głównie Mazowszanie).

Gdy siostrzeniec króla polskiego Zygmunta Starego — Albrecht Hohenzollern przyjął naukę głoszoną przez Marcina Lutra — Prusy stały się ewangelickie zgodnie z zasadą („Cuius regio, eius religio" — „Czyje panowanie, tego religia")[2].

Po hołdzie pruskim w 1525 roku, gdy pruski książę Albrecht Hohenzollern klęknął na Rynku Krakowskim przed swoim wujem Zygmuntem — Prusy stały się lennem Polski. Od tej pory też przekształciły się z państwa kościelnego w państwo świeckie[3].

Już w roku 1523, a więc w sześć lat od chwili przybicia 95 Tez Lutra na drzwiach wittenberskiej katedry (31 października 1517 r.), były wygłaszane w Królewcu kazania ewangelicko-luterańskie, a w latach następnych rozszerzyła się reformacja w całych Prusach (z wyjątkiem Warmii).

W okresie reformacji budynek kościoła w Piszu przekazano protestantom, podobnie jak w innych parafiach. Początkowo pozostała przy katolicyzmie ludność korzystała z niego na równych prawach z protestantami, później jednak praktyki tej zakazano, a katolicy, których przydzielono do parafii w odległej o kilkadziesiąt kilometrów Świętej Lipce, odprawiali nabożeństwa

[2] A. Tokarczyk: *Marcin Luter*, Warszawa 1985, s. 118.

[3] Ks. A. Jagucki: *Z przeszłości i teraźniejszości Kościoła ewangelickiego na Mazurach*, Kalendarz Ewangelicki 1949, s. 80.

po domach prywatnych. Aż do końca XIX wieku, a właściwie do końca II wojny światowej, stanowili oni nikłą mniejszość[4].

Biskup Mauritius Ferber z Warmii (1523–1537) niszczył na podległym sobie terenie wszelkie pisma głoszące nauki Marcina Lutra. Z tego powodu książę Albrecht Hohenzollern zlecił inspekcję kościelną terenów należących dotychczas do diecezji warmińskiej biskupom z Samlandii (Samland) i Pomezanii (Pomesanien). Według zarządzenia z 10 marca 1528 roku kościoły okręgu piskiego przeszły pod jurysdykcję biskupa z Pomezanii, a od 1587 — konsystorza z Pomezanii. W 1751 roku zostały zaś połączone z biskupstwem Samlandii.

Piski pastor Tomasz Oningius został mianowany w 1579 roku arcykapłanem. Nominacji tej dokonał biskup D. Johanes Wigand. Pierwszym pastorem w Piszu był Bernard. Od 24 października do 3 listopada 1579 roku biskup Wigand przeprowadził wizytację kościołów okręgu piskiego.

Książę Albrecht Hohenzollern, gorący zwolennik reformacji, pracował usilnie nad szerzeniem wiary ewangelicko-luterańskiej w swoim kraju. Dbał o godziwe wynagrodzenie dla duchownych. Mazurskie urzędy stały się jednak mimo tego w pierwszych latach reformacji głównym punktem oparcia dla anabaptystów, co utrudniało szerzenie luteranizmu. Między innymi baron Friedrich von Heideck — starosta powiatu piskiego i ełckiego — był zwolennikiem tej sekty. Podróżując w 1529 roku po Niemczech w celu pozyskania duchownych ewangelickich do pracy w Prusach, sprowadził do powiatu piskiego dwóch duchownych ze Śląska reprezentujących anabaptyzm — Fabiana Eckela i Petera Zankera. Anabaptyzm był w tym czasie najbardziej radykalnym kierunkiem religijnym reformacji[5].

Baron Heideck wspierał anabaptystów i pomagał w szerzeniu ich nauk. Było to możliwe, ponieważ baron cieszył się wielkimi względami u księcia z powodu wielu zasług, których dla niego dokonał. Heideck próbował nawet pozyskać samego księcia dla anabaptyzmu.

W czerwcu 1531 roku pociągnięto wszakże heretyków do odpowiedzialności. Heideckowi udało się wyjednać zorganizowanie w Kętrzynie 30 i 31 grudnia 1531 roku dysputy między dwoma biskupami wraz z trzema duchownymi, a jego faworytami — Eckelem i Zankerem. Starosta Pisza obiecywał sobie najprawdopodobniej zwycięstwo w owej dyspucie. Nie doszło jednak do żadnego porozumienia.

Książę Albrecht i biskupi zdecydowali się za radą Lutra potępić anabaptyzm jako herezję (błędną naukę). Pastor Georg Landmesser z Białej zrezygnował ze stanowiska zaraz po otrzymaniu okólnika biskupiego z synodu w Kętrzynie. Pastorzy Eckel i Zanker opuścili Prusy, zaś pastor Marcin z Pasymia i pastor Bernard z Pisza zostali zwolnieni ze stanowisk za szerzenie anabaptyzmu. Później otrzymali jednak ponownie posady pastorów na Mazurach (w 1533 roku): Marcin w Piszu, zaś Bernard w Miłkach. W 1531 roku, przejściowo, stanowisko proboszcza piskiego piastował ksiądz Stanisław.

[4] *Pisz — z dziejów miasta i powiatu.* Red. W. Korycka, Olsztyn 1970, s. 134.
[5] E.J. Guttzeit: op. cit., s. 231.

Zbyt mała liczba pastorów i nabożeństwa nastawione głównie na formę zewnętrzną spowodowały, że położenie Kościoła ewangelickiego było daleko niezadowalające, co stwierdzili biskupi wraz z księciem podczas wizytacji parafii w latach 1542–1543. Uczęszczanie do kościoła nakazano więc pod groźbą kar pieniężnych i cielesnych.

Książę Albrecht sprowadził do Pisza Marcina Glossę — profesora uniwersytetu w Krakowie[6]. Piastował on stanowisko proboszcza tej parafii w latach 1547–1564. Glossa już w 1524 roku stał się gorliwym zwolennikiem reformy Kościoła w duchu luteranizmu. Od tego czasu wygłaszał wykłady teologiczne w Krakowie, które przyniosły mu wielkie powodzenie i rozgłos. W roku 1546 książę powołał go do Królewca, dając mu za zadanie rozpowszechnianie „czystego" luteranizmu w powiatach przygranicznych. W 1547 roku książę przekazał mu posadę pastora w Piszu, gdzie działał do roku 1564. Wówczas to zaczęto podejrzewać Marcina Glossę (najprawdopodobniej bezpodstawnie) o potajemne sprzyjanie kalwinizmowi, co przyczyniło się do przeniesienia go na emeryturę[7].

Około roku 1550 powstała w Rożyńsku Wielkim (Gross Rosen) nowa świątynia. Pierwszym ewangelickim duchownym był tam od roku 1575 pastor Stanisław Zabieliny (Zabielny). W połowie XVII wieku na Mazury przesiedlali się z Polski arianie (socynianie, unitariusze). Odrzucali oni dogmat Trójcy Świętej i boskości osoby Jezusa Chrystusa. Dobra Andreaswalde (Kosinowo, Koszinowen) weszły w 1666 roku w posiadanie Mikołaja Luchodoliusa i Mikołaja Przypkoviusa. Obaj byli arianami utrzymującymi kontakty ze współwyznawcami w Prusach i Siedmiogrodzie. 29 września 1665 roku odbył się w Kotle synod socynianów, w którym uczestniczyli wyznawcy z Mazur i Siedmiogrodu. Tymczasem teolodzy ewangeliccy i stany ziemiańskie opowiadały się przeciwko osiedlaniu arian na terenie Prus. Nawet książę wydał cały szereg reskryptów (zarządzeń najwyższej władzy) mówiących o przepędzeniu unitariuszy. Jednak duch tolerancji zwyciężył — reskrypty te nie weszły w życie. Dlatego gmina socynianów utrzymała się do XVIII wieku — w Kosinowie mieszkały rodziny ariańskie. W 1776 roku zbudowali tam nawet kościół. Ostatnim pastorem arian był von Kontski. Jednakże coraz więcej arian przyłączało się do gmin ewangelickich. Ariańska wspólnota z Kosinowa została wchłonięta przez parafię luterańską w Drygałach. Kościół ariański w Kosinowie przebudowano na dom mieszkalny — zburzono go w 1924 roku. Cmentarz arian został zniwelowany już w 1890 roku. Właścicielem Kosinowa w latach 1696–1711 był kaznodzieja ariański (działający również na terenie Pisza) Samuel von Arciszewski[8].

Przez dwa pierwsze wieki parafia piska podlegała superintendentowi w Ełku. Za czasów króla Fryderyka Wilhelma I w 1715 roku został wydzielony z inspektoratu ełckiego Urząd Główny w Piszu. Wyłączono również trzy kościoły z Urzędu Głównego w Rynie: Orzysz, Okartowo i Klusy. W ten sposób utworzono inspektorat w Piszu. Od tej chwili pastorowie sprawujący tzw.

[6] *Pisz — z dziejów...*, s. 135.
[7] E.J. Guttzeit: op. cit., s. 233.
[8] Ibidem, s. 233.

pierwszą posadę w Piszu byli jednocześnie arcykapłanami lub superintendentami[9].

W roku 1736 generalnym superintendentem kraju został mianowany pierwszy nadzwyczajny kaznodzieja Quandt. W tym czasie mało elastyczna nauka Kościoła nie wpływała zbytnio na rozwój religijności i moralności wiernych. Kazania straciły na sile oddziaływania, a zewnętrzny przymus uczęszczania na nabożeństwa przynosił niewielkie korzyści. Z uporczywym oporem spotykała się katechizacja, której obowiązek wprowadził Fryderyk Wilhelm I zaraz po swojej koronacji. Katechizm luterański miał być głoszony z reguły raz w tygodniu, w niedzielne przedpołudnie. Obok katechizmu wprowadzono również kazanie, na które trzeba było uczęszczać na równi z normalnymi nabożeństwami. O formie nabożeństw w Piszu w pierwszej połowie XVIII wieku informował na bieżąco i wyczerpująco Pisanski[10].

W każdą niedzielę i dni świąteczne w kościele odbywała się po polsku katechizacja, a potem kazanie, w czasie którego rozdawano komunię i ogłaszano zapowiedzi. Po południu odmawiano również w języku polskim nieszpory. W Nowy Rok oraz dni wielkanocnych świąt wygłaszano przed południem po dwa polskie kazania, obok kazań w języku niemieckim. Polskie nabożeństwa odprawiano nadto w poniedziałki i piątki. Śpiewano polskie pieśni religijne: „Narodził się nam Zbawiciel", „Chrystus się nam narodził", „Zmiłuj się Boże, zmiłuj nad nami". Odprawiano także nabożeństwa niemieckie, ale uroczystość komunii świętej w języku niemieckim odbywała się tylko sześć razy w roku, podczas gdy w języku polskim, w każdą niedzielę. Wystarczający to wskaźnik przewagi ludności polskiej i mazurskiej w okolicach Pisza[11].

W 1884 roku w roczniku „Evangelische Gemeindeblatt" odnośnie parafii piskiej zanotowano: „Parafia liczy 10.680 dusz w tym 7.734 Polaków. Kandydaci na pastorów muszą znać język polski"[12]. Natomiast stosunki narodowościowe na Warmii były zupełnie odmienne, jeśli chodzi o parafie ewangelickie (np. w Olsztynie w 1883 roku na 5.063 osoby należące do Kościoła ewangelickiego tylko 25 było Polakami)[13]. Stan taki powodowany był faktem, iż luteranami była tu głównie ludność napływowa z Niemiec, zaś rdzenni mieszkańcy tej ziemi pozostali przy katolicyzmie.

Na początku XIX wieku zmieniono formę nabożeństw. Od początku sprawowania rządów przez Fryderyka Wilhelma IV ponownie państwo zaczęło czynnie oddziaływać na życie Kościoła. Za panowania tego monarchy powstały w piskim okręgu dwa nowe kościoły: w Gehsen (Jeże) i Mittenheide (Turoschlen, Turośl) w 1846 roku. W końcu XIX wieku doszły następne nowe gminy kościelne. Zakładanie nowych parafii miało na celu odciążenie dużych

[9] Ibidem, s. 233.
[10] G.Ch. Pisanski: *Collectanea zu einer Beschreibung der Stadt Johannisburg in Preussen*, Masovia T. VIII, 1902, s. 59–108. Jerzy Krzysztof Pisanski był jednym z piskich pastorów (przyp. wł.).
[11] *Pisz — z dziejów...*, s. 136.
[12] *Evangelische Gemeindeblatt*, za Kalendarzem Ewangelickim, 1949.
[13] A. Jagucki: op. cit., s. 80–95.

ośrodków kościelnych i ułatwienie księżom „pracy u podstaw", wśród wiernych. W 1895 roku powstała zatem parafia w Kociołku Szlacheckim (Adlig Kessel), w 1898 — gmina kościelna Wejsuny (Gross Weissuhnen), w 1902 — w Skarżynie (Richtenberg, Skarzinnen) i w 1905 — w Karwicy (Kurwien)[14].

Wielu pastorów z parafii w Piszu było Polakami: Mikołaj Orłowski (1614–1624), Jerzy Grzegorzewski (Gregorovius) 1628–1670, Wojciech Bagiński (Albrecht Hoffmann) 1670–1690, Jan Gregorovius (1690–1692), Szymon Hoffmann (1692–1710), Wilhelm Tyszka (1710–1725) — współtwórca polskiego kancjonału luterańskiego, który ukazał się drukiem w Gdańsku w 1738 roku (w 1719 roku wydał w Królewcu polskie kazania), Jan Fryderyk Boretius Borecki (1726–1735), Michał Pisanski (1742–1780), Tymoteusz Gizewiusz (1781–1787). W XVII i XVIII wieku również prawie wszyscy diakoni piscy byli Polakami[15].

Z miejscowych zwyczajów religijnych z tego okresu warto wspomnieć tzw. *Jutrznię na Gody*, przypominającą w swojej formie i treści bożonarodzeniową szopkę i uważaną często za pozostałości po katolicyźmie. Zwyczaj ten, powszechny w XVIII stuleciu, zaginął w końcu XIX wieku[16].

W XIX wieku Kościół ewangelicki stał się jednym z narzędzi germanizacji zgodnie z bismarckowskimi hasłami Kulturkampfu. Z każdym dziesięcioleciem zwiększano liczbę nabożeństw niemieckich, likwidując polskie lub przenosząc je na godziny niedogodne dla parafian. Jednak dopiero w okresie międzywojennym ustały zupełnie msze odprawiane w języku polskim. Pomimo ciągłego stosowania bismarckowskiej polityki zniemczania Mazurów aż do 1945 roku wymagano znajomości języka polskiego od wszystkich trzech piskich duchownych ewangelickich. Roczniki niemieckie mówią do I wojny światowej o Polakach i o konieczności znajomości języka polskiego przez kandydatów na pastorów w Piszu. Później o Polakach pisano już tylko: „dusze mówiące po mazursku", a po 1933 roku brak zupełnie wszelkich danych na ten temat, tylko adnotacje: „znajomość języka mazurskiego pożądana"[17].

W okresie ostrej akcji germanizacyjnej dwaj pastorzy piscy prowadzili działalność wydawniczą w języku polskim, lecz niestety w duchu germanizacji. Gotfryd Schulz (1838–1867) wydał kilka polskich książek religijnych, redagował pismo „Polsko-ewangelicki Poseł Kościelny" i „lubił literaturę polską". Uważał jednakże, iż Mazury powinni powoli stopić się ze społeczeństwem niemieckim. Natomiast ksiądz Paul Hensel (1916–1929) redagował w latach 1912–1931 „Kalendarz Królewsko-Pruski"; nienawidził Polaków i był inicjatorem wielu antypolskich akcji, między innymi podczas plebiscytu[18].

Część ludności nie uczęszczała na nabożeństwa niemieckie. Zaczęto tworzyć tzw. gromadki. Starzy Mazurzy zbierali się po domach prywatnych, aby skrycie modlić się po polsku i śpiewać ze swojego kancjonału pieśni, słuchać kazań ludzi prostych, bez teologicznego przygotowania[19].

[14] E.J. Guttzeit: op. cit., s. 234.
[15] *Pisz — z dziejów...*, s. 136.
[16] Ibidem, s. 136.
[17] Ks. A. Jagucki: op. cit., s. 80–95.
[18] *Pisz — z dziejów...*, s. 136.
[19] *Światła i cienie życia Mazurów*, Kalendarz Ewangelicki 1947, s. 83–95.

Tragedią dla wielu Niemców była ogłoszona w styczniu 1945 roku ewakuacja z powodu zbliżania się wojsk radzieckich. Oprócz Niemców około pół miliona Mazurów musiało uciekać na zachód, a 30% z nich zginęło w drodze. Po rozbiciu frontu 80 tysięcy Mazurów znajdujących się jeszcze w drodze zawróciło. Część wróciła do swoich osiedli, część znalazła tylko zgliszcza. Napływający z Polski osadnicy zaczęli prześladować ich jako Niemców. Kościół ewangelicki pomagał im w tych trudnych chwilach, lecz pozostałych na terenie Prus pastorów było zaledwie kilku. Również sytuacja samego Kościoła była nie do pozazdroszczenia. W 1947 roku było na Mazurach tylko 8 księży obsługujących 53 parafie i 12 filiałów. Polityka władz Polski Ludowej była także nieprzychylna Mazurom. Starano się pokazać światu, że tzw. Ziemie Odzyskane są rdzennie polskie, a więc nie ma tu Niemców i Mazurów. Dlatego szykanowano na różne sposoby miejscową ludność, skłaniając ją do emigracji do Niemiec. Los taki nie ominął również mieszkańców piskiej parafii[20].

Po 1945 roku kościół ewangelicki w Piszu został zajęty przez napływową ludność katolicką. Nabożeństwa przez jakiś czas odbywały się w szkole (obecna Szkoła Podstawowa nr 1). Później przeniesiono je do kaplicy zorganizowanej na plebanii. W latach powojennych wierni podczas nabożeństw zajmowali nie tylko salę kaplicy, lecz także hol, kancelarię, pokoje prywatne proboszcza, ogród. Przykładem niech będzie uroczystość 30-lecia pracy duszpasterskiej księdza Bertolda Ruckerta, która miała miejsce 1 kwietnia 1951 roku. Ksiądz Ruckert w 1947 roku zgodnie z nominacją konsystorza objął administrację parafii w Piszu i przez następne lata organizował życie sąsiednich parafii docierając aż na Suwalszczyznę (zmarł 31 grudnia 1954 roku w Piszu)[21].

W latach 40. i 50. parafia piska brała udział w dystrybucji pomocy materialnej dla ludności (między innymi UNRRA). W latach 50. parafia zmalała liczebnie na skutek fali emigracji głównie do Niemiec. Ponowna fala wyjazdów dotknęła parafię w latach 70. W 1978 roku do RFN wyjechał między innymi proboszcz piski Henryk Sikora (obecnie mieszka w Kalbach). W minionym dziesięcioleciu parafię opuściło również kilka rodzin. Obecnie parafię piską tworzy około 200 osób. Dla porównania jeszcze w 1952 roku w Piszu było 550 osób wyznania ewangelickiego, w Wejsunach — 650, w Ukcie — 2.260[22].

Terytorialnie parafia w Piszu rozrosła się, wchłaniając dawne parafie powiatu piskiego. Parafia obejmuje obecnie: Pisz (siedziba), Drygały (nabożeństwo odprawiane w domu prywatnym), Białą Piską (stacja kaznodziejska), Wejsuny (kościół), Nidę (stacja kaznodziejska), Uktę (stacja kaznodziejska). W 1981 roku w Ukcie katolicy zagarnęli bezprawnie kościół ewangelicki (podobnie zresztą jak w Szestnie i Nawiadach)[23], mimo faktu, iż już w 1971

[20] Ibidem, s. 83–95.

[21] Pieśni chóralne, oprac. ks. Bertold Ruckert, Warszawa 1985, s. 2. Z polskiego Kościoła ewangelicko-augsburskiego — Pisz, Strażnica Ewangeliczna nr 10, 1951, s. 24.

[22] A. Sakson: *Działalność kościołów i wyznań protestanckich na Mazurach*, Euchemer nr 1, 1987, s. 99.

[23] A. Sakson: *Obrazki z Mazur*, Kalendarz Ewangelicki 1984.

roku Kościołowi ewangelickiemu — podobnie jak innym związkom religijnym — przekazane zostały na własność obiekty sakralne na Ziemiach Zachodnich i Północnych, będące w jego użytkowaniu[24].

Życie parafii toczy się dosyć prężnie. Być może dzięki niewielkiej grupie współwyznawców, a być może dzięki obecnemu proboszczowi, piastującemu tę godność w Piszu od 1978 roku Krzysztofowi Rejowi.

Raz w kwartale organizowane są „herbatki parafialne" mające charakter religijny. Czytane jest na tych spotkaniach Pismo Święte, prowadzone są rozmowy, rozważania, dyskusje, przeglądane są publikacje w kościelnej prasie, śpiewane pieśni. Funkcjonuje też szkółka niedzielna. Odbywają się tzw. godziny biblijne — śpiewane są pieśni, prowadzone prelekcje i medytacje nad tekstem biblijnym. Naturalnie odbywają się systematycznie cotygodniowe nabożeństwa.

Większość parafian stanowią rolnicy oraz pracownicy fizyczni. Około 20% to ludzie ze średnim i wyższym wykształceniem. Członkami wspólnoty są przeważnie osoby miejscowe, mieszkające tutaj od dłuższego czasu. Sporo młodzieży zmienia miejsce zamieszkania. Duży procent stanowią ludzie w podeszłym wieku, emeryci. Tylko 30% parafian jest zawodowo czynnych.

Kościół ewangelicko-augsburski w Piszu zajmuje się pomocą charytatywną — rozdziałem żywności, środków higieny, odzieży. Duże znaczenie miała pomoc udzielana wiernym w kryzysowym początku lat 80. Organizowane są gwiazdki bożonarodzeniowe dla dzieci.

Kościół organizuje też wypoczynek, szczególnie dzieciom i młodzieży. Każdego roku organizowane są letnie kolonie i obozy (np. w Sorkwitach, gdzie znajduje się kościelny ośrodek wczasowy i dom starców).

W parafii sporo jest mieszanych małżeństw (około 80%), głównie z katolikami. Brak jest jednak jakichkolwiek kontaktów parafii z Kościołem katolickim, mimo ekumenicznego charakteru współczesnych czasów.

Wśród starszych parafian utrzymuje się nieufność do władz spowodowana pamięcią o trudnych latach powojennych — o prześladowaniach ze strony Polaków, o obozach pracy, o zakazie śpiewania pieśni w języku niemieckim i mazurskim.

W powojennej historii parafii zapisali się m.in. pastorzy: Otton Hintz, Bertold Ruckert, Henryk Sikora. Od 1978 roku stanowisko proboszcza zajmuje Krzysztof Rej. Piska parafia należy do diecezji mazurskiej z siedzibą w Olsztynie, na której czele stoi obecnie ksiądz biskup Rudolf Bażanowski.

Charakterystyka parafii i kościołów ewangelickich funkcjonujących do końca II wojny światowej na terenie obecnej parafii w Piszu

W związku ze znacznym liczebnym zmniejszeniem się parafii w okręgu piskim oraz z kłopotami, związanymi z brakiem księży ewangelickich (w 1945

[24] A. Tokarczyk: *Trzydzieści wyznań*, Warszawa 1987, s. 72.

roku na każdego z 8 księży przypadało 12 tysięcy wiernych i przeciętnie 8 parafii lub filiałów), piska gmina ewangelicka rozszerzyła swoje granice wchłaniając dawne samodzielne parafie powiatu piskiego. Najdłużej samodzielność utrzymała Ukta. Oto krótka charakterystyka tych parafii:

Pisz (Johannisburg). Pierwsza kaplica w Piszu została zbudowana wkrótce po nadaniu praw bartnych w 1367 roku, przez brata zakonnego Ullricha Fricke — komtura bałgijskiego i wójta Natangii. Przed 1449 rokiem na jej miejscu wzniesiono kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, podległy diecezji warmińskiej. Około 1500 roku kroniki odnotowały, iż szlachcic polski zrabował dzwon z kościoła, zaś w 1502 roku dzwon zwróciła wdowa po nim[25].

W okresie reformacji kościół przekazano protestantom. Budynek spłonął 21 listopada 1694 roku. Odbudowano go po 2 latach w 1696 roku. Z trzech stopionych podczas pożaru dzwonów odlano w 1695 roku nowy, duży dzwon. W roku 1713 wykonano nową podłogę i prezbiterium. Dzwonnicę zbudowano dopiero w latach 1737–1739, a w 1748 roku umieszczono na wieży zegar.

28 października 1838 roku zamknięto kościół, gdyż budynek groził zawaleniem. Od tej pory, aż do 1843 roku, nabożeństwa dla mieszkańców Pisza odbywały się w Turośli (Mittenheide, Turoscheln) w zbudowanym awaryjnym kościele. Kościół ten był prostą budowlą, sala zdobiona skromnie. Kościół w Piszu rozebrano i w 1843 roku wzniesiono nowy, który z kolei został gruntownie odnowiony w 1933 roku nakładem 33 tysięcy marek. Ze średniowiecza pozostały w nim jedynie resztki fundamentów i sklepień piwnicznych. We wnętrzu świątyni drewniany sufit kasetonowy był bogato zdobiony malowidłami. Ołtarz został przeniesiony ze starego kościoła — pochodzi więc z początku XVIII wieku. Ambona ozdobiona rzeźbami przedstawiającymi figury różnych świętych została wykonana w formie ośmiokąta w 1701 roku. Jako podpory ambony służą figury Mojżesza i Jana Chrzciciela.

Wiszący przy suficie anioł chrzcielny został wykonany w końcu XVII wieku przez rzeźbiarza Isaaca Rigę. Także oba anioły Ostatniej Wieczerzy są dziełami sztuki.

W zakrystii było kilka malowideł na wypełnieniach empory, pochodzących z 1680 roku. Dwa stojące świeczniki wykonane zostały w Królewcu około 1820 roku techniką odlewu żeliwa. Pastor Meletius ufundował dla kościoła srebrny kielich Ostatniej Wieczerzy Pańskiej. Uczynił to z wdzięczności, że jego rodzina przeżyła panującą w Piszu dżumę. Na kielichu wygrawerowano podobiznę pastora, jego żony i syna.

W 1890 roku w Piszu na 11.175 ewangelickich mieszkańców parafii, 8.300 było Polakami i 2.875 było Niemcami[26].

[25] E.J. Guttzeit: op. cit., s. 249.

[26] Strażnica Ewangeliczna nr 4, 1953, s. 42; za: *Chronik und Statistik der evangelischen Kirchen in den Provinzen Ost- und Westpreussen.* Nach gedruckten und ungedruckten Quellen dargestellt von Agathon Warnoch, evangelischen Pfarrer zu Muschaken und geistlichen Beisitzer der Synode Neidenburg, Neidenburg 1890.

Ewangeliccy duchowni pojawili się w Piszu około 1530 roku. Druga posada dla duchownego została utworzona w połowie XVI wieku, a w roku 1895 utworzono trzecią posadę, która w latach 1895–1911 była obsadzana przez kaznodzieję pomocniczego (wikariusza). Pierwsza posada była związana od 1715 roku z nadzwyczajną intendenturą (superintendentura) przyznano Piszowi. Posadę tę zajmowani m.in.: Friedrich Julius Leopold Skierlo (1888–1916), Paul Viktor Karl Hensel (1916–1929), Ernst Link (1929–1945). Drugą posadę dla pastora m.in. piastowali: Gottlieb Heinrich August Rothe (1869–1907), Paul Viktor Karl Hensel (1907–1916), Otto Eichel (1917–1929), Waldemar Ambrosy (1932–1945). Trzecią posadę obejmowali: Otto Eichel (1911–1917), Karl Rosenhan (1919–1931), Albert Droysen (1933–1945).

Księgi kościelne (parafialne) w Piszu były prowadzone od 1696 roku (według pastora Linka — od 1580 roku).

Orzysz (Arys). Kościół w Orzyszu był początkowo kościołem siostrzanym świątyni w Okartowie. Stan taki miał miejsce pod koniec dominacji Zakonu Krzyżackiego (1513 rok), jak również w 1528 roku. Od 1539 roku kościół orzyski miał już swojego pastora, który (według kronik z 1541 roku) otrzymał cztery włóki i pięćdziesiąt marek pensji. W 1581 roku pensję podwyższono z 70 na 80 marek.

Kościół jest otynkowaną budowlą z kamienia polnego. Obiekt wzniesiono w początkach lat 80. XVI wieku. Nawy boczne i usytuowana po zachodniej stronie wieża powstały — lub zostały odbudowane — w połowie XVII wieku. W roku 1872 wieżę i kościół odrestaurowano. Świątynię również odmalowano. Pięcioczęściowa ściana wschodnia miała pięć półkolistych łuków. We wnętrzu gmachu, na drewnianych filarach z długimi podkorami, spoczywał ciężar płaskiego drewnianego sklepienia, które w latach 1937–1938 zostało ozdobione malowidłami. Formy ozdobne balustrad — empory, pochodzącą z połowy XVII wieku. Ołtarz pochodzący także z tego okresu, został przebudowany w 1766 roku. Dobudowano do niego (wyrzeźbioną w 1596 roku) sześciokątną ambonę oraz dodatkowe ozdoby wykonane w 1638 roku. W ten sposób powstał tzw. ołtarz ambonalny.

Na drzwiach prowadzących na schody ambony umieszczono napis informujący o fundatorze Friedrichu Palaskim. Znajduje się tam także godło tego szlachcica przedstawiające głowę woła z inicjałami F.P. i datą — 1638[27].

Wąski krucyfiks na ołtarzu pochodzi z początku XVIII stulecia. Dwa srebrne kielichy (jeden z nich pozłacany) wykonano w 1750 lub 1781 roku. Mosiężna chrzcielnica pochodzi z XVII wieku. Znajdował się na niej napis mówiący o grzechu pierworodnym. Tworzyły go duże łacińskie i małe gotyckie litery.

Trzy dzwony odlano w latach 1603, 1648, a najmniejszy w roku 1746.

[27] E.J. Guttzeit: op. cit., s. 245.

Dekoracyjna tablica inskrypcyjna z aniołem trzymającym konsolę została wykonana dla Marii Roberthin (zm. 1710). Na wschodniej ścianie kościoła wisiały portrety pastorów Johanna Christopha Wannoviusa (1648–1767) i Jaksteina (zm. 1844).

W 1890 roku na 5.270 ewangelików zamieszkujących parafię, 4000 stanowili Polacy, a 1.270 — Niemcy[28].

Ewangeliccy duchowni działali w Orzyszu od 1539 roku, a od połowy XVI wieku utworzono drugą posadę pastora. Stanowisko proboszcza piastowali m.in.: Ernst August Heinrich Sack (1887–1910), Friedrich Karl Mitzka (1910–1929), Georg Friedrich Foltin (1925–1933), Gerhard Woytewitz (1933–1945). W tym okresie posadę drugiego pastora zajmowali: Ludwig Wilhelm Paul Rosenow (1898–1909), Gottfried Bienko (1910–1917), Max Mehlfeld (1921–1928), Hermann Ipping (1931–1944).

Księgi kościelne były prowadzone od 1700 roku, natomiast parafia wojskowa prowadziła je od 1895 roku.

Drygały (Drigelsdorf, Drygallen). Nie ustalono, czy spalony w 1656 roku przez Polaków i Tatarów kościół był pierwszą świątynią w Drygałach. W roku

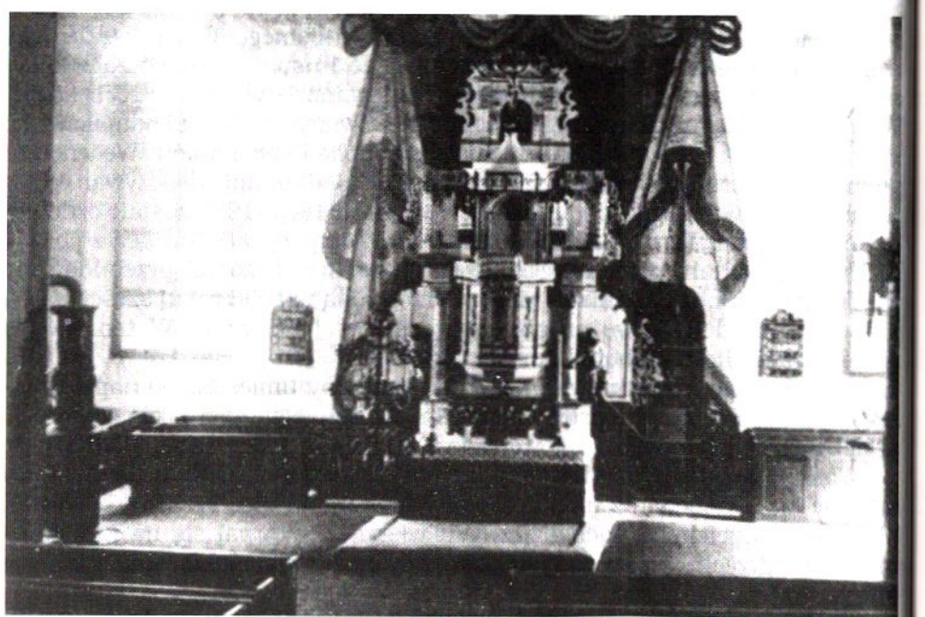

Ryc. 1. Wnętrze kościoła w Drygałach. Stan sprzed 1945 r.

Fot. archiw.

[28] Strażnica Ewangeliczna, nr 4, 1953 za: *Chronik...*

1660 został wzniesiony nowy kościół, który jednak już w roku 1729 groził zawaleniem i dlatego rok później został zburzony. W latach 1732–1733 parafia zbudowała nową świątynię, którą konsekrowano 29 września 1734 roku.

Jest to otynkowana budowla na planie prostokąta. Architektem był Joachim Ludwig Schultheiss von Unfriedt. Okazałą wieżę w części zachodniej zwieńczono hełmem z chorągiewką pogodową z 1732 roku. Na środku obydwu dłuższych ścian znajdują się dwie kruchty, w części wschodniej zaś dobudowano zakrystię. Ołtarz złożony z różnych części z XVII i XVIII wieku przedstawiał niewielką wartość artystyczną. Miedziana chrzcielnica pochodzi z XVII wieku, podobnie jak stojące świeczniki i żyrandole z mosiądzu.

W 1890 roku na 4.880 parafian, 4.530 to Polacy. Resztę stanowili Niemcy — 300 osób[29].

Ewangeliccy duchowni objęli posadę w Drygałach w 1538 roku. 28 lutego tego roku książę Albrecht Hohenzollern zapisał pastorowi Stanisławowi Gorzikolla pięć włók okolicznych lasów, które później zostały przez niego wykupione. Z tego obszaru powstała wieś Klein Rosen (Rożyńsk Mały).

W latach 1564–1814 istniała posada drugiego duchownego. Proboszczami byli: Otto Carl Julius Meissner (1885–1909), Heinrich Conrad Skowronski (1909–1913), Alfred Petersdorff (1913–1933), dr Bruno Braczko (1933–1945). Księgi parafialne zaczęto prowadzić w 1730 roku.

Okartowo (Eckersberg). Kościół w Okartowie pod wezwaniem św. Bartłomieja założył Zakon Krzyżacki. Świątynia powstała na miejscu dawnego zamku. W 1799 roku na fundamentach okalających dawny kościół murów z kamienia polnego wzniesiono nowy obiekt sakralny. Wykonany z desek sufit był płaski. Ostatnia świątynia powstała w roku 1921. Filary i belki zostały bogato ozdobione rzeźbami i malowidłami. Obraz przedstawiający narodziny Chrystusa to dzieło z połowy XVII wieku zawierające cechy malarstwa flamandzkiego. Srebrną, owalną puszkę do przechowywania hostii ozdobiono metaloplastyką przedstawiającą narcyzy i malwy oraz zaopatrzono w inskrypcję „I X I Ao 1674 27. July".

W 1890 roku na 4.450 ewangelików 3.000 było Polakami. Pozostali to Niemcy (1.450)[30].

Ewangeliccy duchowni działali w tej miejscowości od 1541 roku, a drugą posadę dla pastora przyznano przed 1571 rokiem. Istniała tylko do 1590 roku. Parafią administrowali m.in.: Johann Fr. G. Koschorreck (1896–1907), Friedrich Karl Mitzka (1908–1910), Ernst August Heinrich Sack (1910–1917), Erich Riedel (1917–1924), Herman Ipping (1924–1931), Herbert Schott (1933–1939), Johannes Kypke (1940–1941). Werner Ebert (1942–1945).

Księgi parafialne były prowadzone od 1766 roku.

[29] Ibidem.
[30] Ibidem.

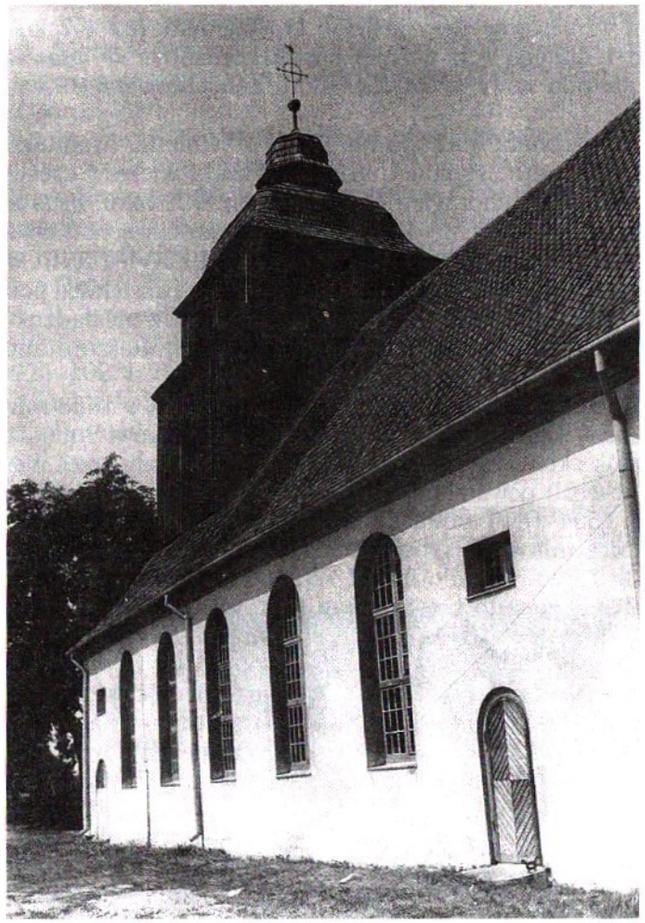

Ryc. 2. Kościół w Okartowie.

Fot. R.W. Pawlicki

Biała Piska (Gehlenburg, Bialla). Stary budynek kościelny z drewna i z muru pruskiego został rozebrany w połowie XVIII stulecia. Podczas wojny siedmioletniej od 1756 roku do 1763 roku zbudowano nowy kościół z kamienia polnego, który następnie otynkowano. Zakrystię umieszczono w części wschodniej, zaś dwie symetryczne kruchty na dłuższych bokach budowli. W latach 1832–1834 dobudowano w części zachodniej wysuniętą wieżę zwieńczoną dachem namiotowym. Nawa główna ma sklepienie kolebkowe (beczkowe), nawy boczne mają zaś sufit płaski. Około 1765 roku powstał ołtarz ambonalny — w nowy ołtarz wkomponowano ośmiokątną wiejską ambonę z 1630 roku. Krucyfiks i figura Zmartwychwstałego Chrystusa

powstały około 1700 roku, zaś anioł z chrzcielnicy około 1720 roku. Chrzcielnica z mosiądzu wykonana została w końcu XVII wieku metodą wyklepywania przez rzemieślników warmińskich.

Oba duże dzwony zostały odlane w 1819 roku z trzech dzwonów podarowanych kościołowi w 1687 roku przez Friedricha von Heydecka. Niestety, w 1717 roku zostały one przekazane wojsku. Po I wojnie światowej wykonano trzy dzwony ze stali lanej. Poświęcono je w 1921 roku. Przed ołtarzem znajduje się kamień nagrobny pastora Bernarda Drygalskiego, który zmarł w 1710 roku wraz z żoną na dżumę. W zakrystii wisiał obraz olejny pastora Johanna Christopha Szurminskiego (1765–1773).

Kroniki odnotowały 4.300 Polaków i 1.900 Niemców tworzących w 1890 roku gminę ewangelicką w Białej (w sumie: 6.200 osób)[31].

Ewangeliccy duchowni pracowali w Białej od 1531 roku. Drugą posadę dla duchownego utworzono przed 1579 rokiem. Proboszczami parafii m.in. byli: Karl Rausch (1897–1916), dr Johannes Brehm (1916–1926), Ernst Link (1927–1929), Kar Heinrich Heldt (1929–1945). Posadę drugiego duchownego w Białej zajmowali: Eduard Rudolf Paul (1894–1905), dr Johannes Brehm (1905–1917), Werner Lehmbruch (1921–1926), Walter Horn (1926–1928).

Księgi parafialne prowadzono w Białej od 1800 roku.

Jeże (Gehsen). Założona w 1846 roku parafia zbudowała kościół dopiero w 1866 roku. Wyświęcono go 18 grudnia. Dzwony odlano w hucie żelaza Wondollek.

Ewangeliccy duchowni urzędowali w Jeżach od 1846 roku: pastor Czypulowski został mianowany na stanowisko proboszcza parafii 6 sierpnia. Duchownymi w tej gminie ewangelickiej byli: Paul Viktor Karl Hensel (1893–1907), Otto Arthur Dignath (1907–1912), Ernst Stern (1913–1922), Johannes Carl Julius Zachau (1922–1935; oddał on wielkie zasługi jako badacz historii najbliższej okolicy: przez wiele lat wydawał dodatek regionalny do pisma „Ojczyste Dzwony ze Starych i Nowych Czasów"; później był superintendentem w Welawie), Herbert Friedriszik (1938–1939), Hans Strasdas (1941–1945).

Księgi kościelne zaczęto prowadzić w 1846 roku, a więc od chwili utworzenia parafii.

Kociołek Szlachecki (Adlig Kessel). Gminę kościelną Kociołek Szlachecki utworzono z dziewięciu miejscowości parafii Pisz i dwóch parafii Okartowo w 1895 roku[32]. Duchownymi tej parafii byli: Friedrich Karl Mitzka

[31] Ibidem.

[32] Budynek kościoła został wzniesiony w 1901 r., o czym informuje tablica fundacyjna na zewnętrznej ścianie świątyni z następującą inskrypcją: „Za panowania cesarza Wilhelma II i protektoratem cesarzowej Augustyny Wiktorii wybudowany jako dowód wdzięczności i upamiętnienia jubileuszu dwustulecia Królestwa Pruskiego z dobrowolnych składek ze wszystkich rejonów prowincji. 1701–1901".

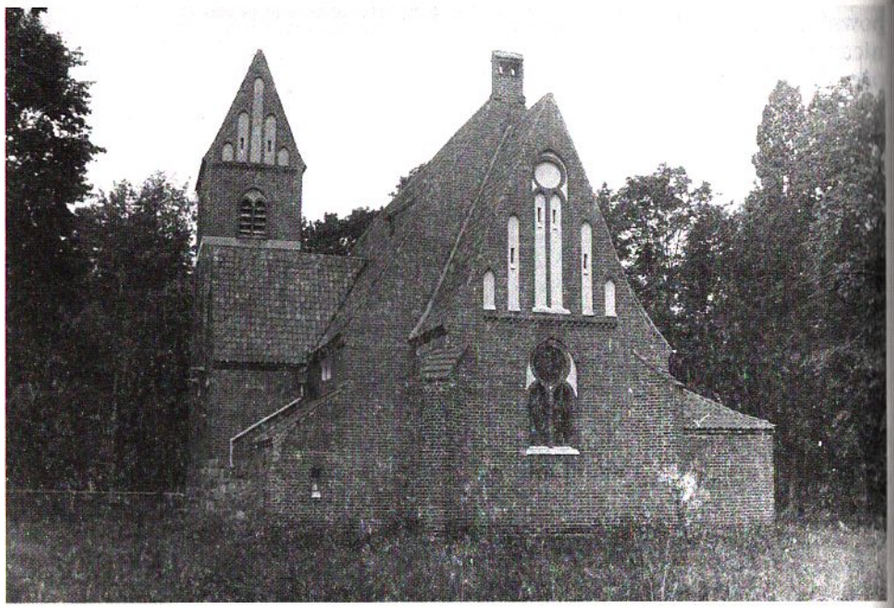

Ryc. 3. Kościół w Kociołku Szlacheckim

Fot. R.W. Pawlicki

(1866–1908), Emil Salewski (1909–1915), Gottfried Sallet (1926–1932), Helmut Hildenbrandt (1933–1939), Horst Kopania (1941–1945).

Księgi parafialne zaczęto prowadzić w 1915 roku.

Karwica (Kurwien). Parafię tę utworzono w 1905 roku. Po kaznodziei pomocniczym Bruno Linku (1905–1908) urząd proboszcza parafii sprawowali następujący duchowni: Hans Muscheites (1921–1926), Johannes Alb. Hermann Klein (1926–1930), Ernst Lukas (1935), Artur Joswig (1938–1945).

Księgi kościelne założono w 1905 roku.

Turośl (Mittenheide, Turoscheln). Ustanowiona w 1846 roku parafia przejęła kościół zbudowany początkowo jako awaryjny dla parafian z Pisza (w czasie gdy piska świątynia była w przebudowie).

W 1890 roku na 3.600 wiernych wyznania ewangelickiego było 3.200 Polaków i 400 Niemców[33].

Funkcje duszpasterza parafii w Turośli sprawowali: Franz Theodor Engelhard (1886–1925), Johann Ankermann (1925–1927), Herbert Schott

[33] Ibidem.

(1932–1933), Friedrich Rzadtki (1934–1936), Paul Kurth (1936–1939), Rudolf Knobbe (1939–1945).

Księgi kościelne prowadzone były od 1848 roku.

Kumielsk (Kumilsko, Morgen). Świątynia w Kumielsku przetrwała szczęśliwie najazd Tatarów w 1656 roku, ale w 1720 roku pożar strawił ją aż do dzwonnicy. Również nowy budynek kościoła stał się w 1849 roku łupem ognia. Wykorzystując resztki starych murów, parafia zbudowała do 1852 roku nowy kościół. Jest to podłużna budowla z kamienia polnego z otwartym sufitem belkowym. Wieża została zbudowana dopiero w 1874 roku. Wyposażenie kościoła pochodzi częściowo z 1720 r.

Srebrny, wewnątrz pozłacany kielich nosił wygrawerowany napis: „Simon Hoffmann Past. Eccl. Johannisb. 1698. Bibite, hoc est corpus meum". Srebrna puszka do hostii była prezentem pisarza sądowego z Pisza — Gottfrieda Reinke (zm. 1747). Skromne malowidło na tablicy nagrobnej pastora Trentoviusa przedstawiało duchownego modlącego się wraz z rodziną pod krzyżem. Zmarł na dżumę w 1710 roku.

W 1890 roku na 4.000 ewangelików zamieszkujących parafię w Kumielsku 3.500 było Polakami, zaś 500 — Niemcami[34].

Duchownymi w Kumielsku byli: Wilhelm Zimmeck (1894–1917), Franz Hammler (1925–1934), Friedrich Kwiatkowski (1940–1945).

Ewangeliccy duchowni pracowali w Kumielsku od 1785 roku, zaś księgi parafialne prowadzono od 1785 roku.

Skarżyn (Skarzinnen, Richtenberg). Parafia powstała w roku 1902 z kilku okolicznych wiosek. Kościół wybudowano dopiero w 1928 roku. Duchownymi w Skarżynie byli: Karl Ernst Friedrich Stenzel (1905–1920), Wilhelm Döring (1920–1939), Walter Schwichtenberg (1941–1945).

Księgi kościelne były prowadzone od momentu założenia parafii.

Wejsuny (Gross Weissuhnen). Parafia istniała od 1898 roku. Tutaj również księgi kościelne prowadzone od początku funkcjonowania gminy ewangelickiej. Duchownymi w Wejsunach byli: Heinrich Küll (1898–1909), Rudolf Wisniewski (1910–1922), Paul Melzer (1922–1930), Erich Albrecht August Tiedtke (1939–1945).

Rożyńsk Wielki (Gross Rosen). W pierwszych latach swojego istnienia kościół w Rożyńsku był kościołem filialnym parafii w Drygałach.

Budynek kościoła powstał prawdopodobnie w połowie XVI wieku, według przekazu ustnego wieża pochodzi z 1583 roku. Świątynia przetrwała szczęś-

[34] Ibidem.

liwie najazd Tatarów w 1656 roku. Najeźdźcy podłożyli już chrust wokół kościoła (jak głosi legenda) z zamiarem spalenia go, jednak po odkryciu wewnątrz świątyni obrazu św. Erazma i obrazów innych świętych — pozostawili go nietkniętym.

Jedyny w swoim rodzaju kościół drewniany z dachem słomianym służył także jeszcze w czasach ewangelickich licznym pielgrzymkom na Mazury, które odbywały się co roku w święto Przemienienia Pańskiego 6 sierpnia.

Ołtarz z datą 1667 roku nosił barokową nadbudowę. Został przewieziony do muzeum w Królewcu. Ambona sprawiała wrażenie starszej niż była w rzeczywistości. Wyryto na niej datę 1687. Stary kościół drewniany został zburzony w 1894 roku. W latach 1889–1892 zbudowano nową świątynię z wypalanej cegły w stylu neogotyckim. Wyświęcenia nowego kościoła dokonał 23 grudnia 1892 roku pastor Ammon. Kościół przeszedł gruntowną renowację w roku 1937 i 1938.

W kościele wisiał portret olejny pastora Molitora (1656–1682). W roku 1656 uciekał on przed tatarskimi hordami, co stało się inspiracją do napisania na krótko przed śmiercią znanego wśród Mazurów czterdziestostrofowego wiersza „Pieśń o Tatarach". Utwór znalazł się w śpiewnikach mazurskich.

W 1890 roku na 3.200 ewangelików tworzących parafię 2.900 było Polakami i 300 narodowości niemieckiej[35].

Ewangeliccy księża prowadzili pracę duszpasterską w Rożyńsku od 1575 roku. Duchownymi m.in. byli: Ernst Benjamin Ammon (1886–1893), Louis Korella (1894–1908), Otto Matern (1908–1919), Ernst Willamowski (1920–1922), Erich Wisotzki (1923–1929), Werner Buskie (1932), Viktor Kühn (1937–1945) — w 1958 roku wydał on w RFN „Kronikę kościelną Rożyńska Wielkiego — „Kirchenchronik Gross Rosinsko".

Księgi prowadzono od 1898 r.

Włodzimierz Nowakowski

Włodzimierz Nowakowski mieszka w Piszu, jest absolwentem Instytutu Nauk Filozoficzno-Społecznych WSP w Olsztynie.

[35] Ibidem.

LOSY PARAFII EWANGELICKO-AUGSBURSKIEJ W ŁOMŻY

Łomża, położona nad rzeką Narew, oddalona jest od Pisza na Mazurach zaledwie o 56 km. Jednakże losy protestantyzmu przebiegały tu zupełnie inaczej. Zaważyły na tym warunki polityczne. Ziemie polskie Mazowsza i Kurpiowszczyzny przez wieki niszczyły dzieło reformacji ogniem i mieczem, szczycąc się porównywalną do Włoch prawowiernością katolicką. Okupanci natomiast stosowali wobec prostestantów własną politykę.

Wiele dowodów przemawia za tym, że ewangelicyzm pojawił się na ziemi łomżyńskiej już w pierwszej połowie XVI w., lecz został stłumiony i wytrzebiony przez kontrreformację, szerzącą ciemnotę i fanatyzm religijny.

Od 13 marca 1525 r. obowiązywał surowy edykt księcia Janusza III Mazowieckiego, zabraniający przebywania tzw. kacerzy na terytorium jego kraju, przechodzenia na luteranizm i rozpowszechniania, czy choćby przechowywania, a więc nawet posiadania ich literatury religijnej, pod groźbą kary śmierci i konfiskaty mienia.

Stare kroniki wspominają o nieznanym z nazwiska duchownym, który w 1530 r. głosił w Łomży naukę reformacyjną i został za to skazany na śmierć. Legenda głosi, że jego zwłoki zamurowano w kamiennym słupie ustawionym na skraju wsi Zawady, aby był przez wieki przestrogą dla wszystkich ewentualnych innowierców.

Nic dziwnego, że w takich warunkach zorganizowane skupiska luteranizmu czy kalwinizmu nie mogły powstać ani na dłuższą metę się utrzymać. Dbali o to szczególnie jezuici łomżyńscy, pomni na pruskie sąsiedztwo oraz doświadczenia Warszawy i wielu miast także i Mazowsza, gdzie pojawił się protestantyzm.

Dopiero na przełomie XVIII i XIX w. zaistniały warunki rozwoju ewangelicyzmu na ziemi łomżyńskiej. Przyczyniła się do tego akcja rozdawnictwa dóbr królewskich i osadnictwa kolonistów niemieckich, z których znaczna część wywodziła się z terenów pruskich. W następstwie patentu króla pruskiego z 25 marca 1793 r. zarówno katolicy jak i ewangelicy mogli bez przeszkód wyznawać swoją wiarę i uczestniczyć w praktykach religijnych.

Po III rozbiorze Polski Łomża i okolice znalazły się w zaborze pruskim. Początkowo osiedlano kolonistów wśród ludności miejscowej. Po 1797 r. ludność napływowa zaczęła tworzyć zwarte kolonie. Byli wśród niej także rzemieślnicy różnych zawodów i branży, przeważnie wyznania ewangelickiego.

W 1798 r. organizację życia religijnego i opiekę duszpasterską nad diasporą ewangelicką w Łomży i okolicy powierzono diakonowi, drugiemu proboszczowi parafii Ostrokollen w powiecie ełckim, tak zwanemu polskiemu

pastorowi, księdzu Andreasowi Frentzlowi. Następnie służbę tę (do 1838 r.) kontynuowali duchowni z Pisza, Ełku, Chmielówki koło Suwałk (ks. Andrzej Grabowski), a także ewangelicko-reformowany duchowny z miejscowości Sereje.

Nabożeństwa odbywały się w sali gimnazjalnej byłego kolegium jezuickiego, ale zbór, któremu nie wystarczały sporadycznie odprawiane nabożeństwa, myślał o własnej siedzibie i własnym duchownym w Łomży.

Często jednak na przeszkodzie tym planom stawała wędrówka parafian-kolonistów w poszukiwaniu lepszych miejsc życia i pracy, jak również stosunkowo rozległa diaspora, a także wysokie koszty ewentualnej budowy kościoła.

Według statystyki kościelnej okresu Księstwa Warszawskiego z początku 1811 r., ewangelicko-augsburski departament łomżyński liczył 25.325 luteran.

W 1838 r. Łomża została placówką filialną ewangelickiej parafii w pobliskiej Paproci Dużej. Administrator, ks. Jan Bogumił Schlicke, dojeżdżał teraz do Łomży 12 razy na rok, czyli raz w miesiącu. Nabożeństwa odprawiano nadal w sali kolegium pojezuickiego, gdzie mieściła się szkoła powiatowa. Mimo to położenie parafii dalekie było od potrzeb i oczekiwań. W sali, gdzie odprawiano nabożeństwa, panował tłok, a zgodę na korzystanie z niej warunkowała dobra wola dyrektorów szkoły, której młodociani wychowankowie często zakłócali przebieg nabożeństw różnymi wybrykami. Zbór liczył w owym czasie około 317 rodzin.

W czasach Królestwa Polskiego zniesiono departamenty i parafia łomżyńska wraz z całą diecezją podlegała odtąd konsystorzowi w Warszawie.

W latach 1842–1859 w powiecie łomżyńskim zwiększyła się liczba kolonistów w dobrach prywatnych, miejsc zamieszkania oraz areału uprawianej przez nich ziemi.

Władze reagowały na to staraniem o utworzenie w Łomży i kilku pobliskich miejscowościach samodzielnych parafii ewangelickich. Do czasu ich utworzenia zamierzano korzystać także z kościołów rzymskokatolickich, oraz uwolnić ewangelików od dziesięciny i innych opłat na rzecz tego Kościoła. Jednak rozmowy z katolikami w tej sprawie zakończyły się fiaskiem. Biskup chełmiński stanowczo odrzucił projekt istnienia tzw. kościołów symultańskich.

W 1843 r., została erygowana samodzielna parafia ewangelicka w Łomży. Jej administratorem i duszpasterzem stał się młody wikariusz z Płocka — ks. Jan Bogumił Tydelski, którego terenem działania były powiaty: łomżyński, kolneński i szczuczyński oraz miasta: Łomża, Nowogród, Jedwabne, Tykocin i Szczuczyn.

W rok później, kosztem około 2.000 rubli, parafia uporządkowała i ogrodziła murem z kamieni cmentarz parafialny, wznosząc na nim kaplicę z mieszkaniem dla grabarza. Na ten cel ofiarę w wysokości 100 rubli złożył także car Mikołaj.

W tym samym roku (1844) parafia zwracała się do władz świeckich o wyasygnowanie funduszów na budowę kościoła mogącego pomieścić 400 osób lub przekazanie zniszczonego i nie używanego kościoła pojezuickiego

w Łomży — początkowo bezskutecznie. Dopiero 22 lutego 1853 r. starania przyniosły pełny sukces. Parafia otrzymała zniszczony i grożący zawaleniem budynek kościelny na mocy postanowienia Rady Administracyjnej, uprawomocnionego w październiku tegoż roku.

Wydarzenie to połączyło wszystkich ewangelików we wspólnym, radosnym wysiłku odbudowy świątyni. Wzniesiona na początku XVIII w. przez Jana ze Słupowa Szembeka, starostę łomżyńskiego, grudziądzkiego, kapiszowskiego, lubaszewskiego i kanclerza wielkiego koronnego, i poświęcona imieniem świętego Stanisława Kostki w 1732 r., stanowiła początkowo własność jezuitów, a od 1773 r. po likwidacji zakonu przypadła pijarom, którzy opuścili ją bardzo zniszczoną i zaniedbaną. Pierwsza ofiara na odbudowę kościoła w wysokości 2.700 rubli pochodziła z konsystorza. Cesarzowa matka, Aleksandra Fiedorowna ofiarowała ze swej szkatuły 400 rubli przy okazji przejazdu przez Łomżę; resztę, czyli około 2.000 rubli, zebrano wśród parafian. Dnia 21 października 1855 r. odbyła się uroczystość poświęcenia odbudowanego kościoła, w której oprócz miejscowych duchownych i zwierzchników brali udział także księża ewangeliccy z Mariampola, Pułtuska, Białegostoku i Przasnysza.

Kościół miał 90 łokci długości, 50 szerokości, 31 wysokości i mógł pomieścić około 3.000 wiernych. Posiadał dwie wieże. Na jednej z nich umieszczony był zabytkowy, XVIII-wieczny zegar. W dolnej części ołtarza umieszczony był mniejszy obraz przedstawiający Wieczerzę Pańską, a górny, większy — Wniebowstąpienie Pańskie. W nabożeństwach niedzielnych brało udział około 200 osób.

W dziele odbudowy zasłużył się szczególnie jeden z członków Dozoru Kościelnego, obywatel miasta Łomży Kacper Semadeni, nazywany „ojczulkiem", którego portret po śmierci umieszczono w kościele naprzeciw ambony.

Za kwotę 1.260 rubli parafia zakupiła drewniany dom na szkołę ewangelicką, mieszczącą również mieszkanie dla kantora i kierownika. W latach sześćdziesiątych XIX w. parafia zakupiła w sąsiedztwie kościoła plac pod przyszłą plebanię, lecz po likwidacji szkoły przez władze carskie drewniany budynek szkolny przez wiele lat pełnił rolę plebanii.

Zbór łomżyński w 1865 r. składał się prawie wyłącznie z Polaków-Mazurów zamieszkujących na terenie całego ówczesnego powiatu łomżyńskiego i południowej części powiatu augustowskiego w promieniu kilkunastu mil, nie tworząc osobnych kolonii czy skupisk wyznaniowych.

Na obszarze powiatu łomżyńskiego istniał filiał w Szczuczynie, powstały w 1840 r. Liczbę dusz w parafii szacowano na około 1.800 (500 rodzin). Około 100 rodzin było narodowości niemieckiej, resztę stanowiła polska ludność mazurska mieszkająca przeważnie na wsi. Nabożeństwa odprawiano na przemian w języku polskim i niemieckim. W celu odprawienia nabożeństwa ze spowiedzią i Komunią Św. ksiądz ewangelicki przybywał do Szczuczyna 6 razy w roku, a do Grajewa, Kolna, Stawisk, Jedwabnego, Nowogrodu i Tykocina po 2 razy. W miejscowościach tych nabożeństwa odprawiano niemal wyłącznie po polsku w lokalach szkolnych i domach prywatnych, w Tykocinie natomiast, w kaplicy szpitalnej.

W Łomży, Jedwabnem i Szczuczynie do szkół elementarnych uczęszczało 120 dzieci; w tej liczbie 50 ewangelickich. Parafia utrzymywała się ze składek parafialnych oraz dotacji konsystorza w wysokości 465 rubli rocznie.

Lud ewangelicki określano jako „serdeczny, rzewny i szczery", wzruszający się nieraz do łez Słowem Bożym, posiadający własne, charakterystyczne obyczaje religijne. Lud tamtejszy witał się pochwaleniem Pana Jezusa, przy modlitwie klękano, żegnając się znakiem Krzyża Św. Księdza ewangelickiego nazywano dobrodziejem, ojcem duchownym i pasterzem, obdarzając go wielkim zaufaniem i posłuszeństwem.

W 1888 r., za kwotę 7.704 rubli, wybudowano dzięki pomocy parafian całego Kościoła oraz pożyczkom, okazałą plebanię z cegły, w której zamieszkał ksiądz i kantor. W następnych latach na terenach parafialnych powstały także różnego rodzaju zabudowania gospodarcze. Wyremontowano dach kościoła, pokrywając blachą ocynkowaną, zakupiono też nowe organy.

Zgodnie z ukazem cara z dnia 7 maja 1901 r., parafia łomżyńska znalazła się w jednym z pięciu okręgów, a mianowicie w augustowskim, w którym oprócz niej znajdowały się parafie: Goldewo, Mariampol, Paproć Duża, Pułtusk, Suwałki, Szaki, Wierzbowo, Wiżajny oraz filie: Augustów, Kalwaria, Nasielsk, Preny, Sejny, Sereje, Sudargi, Szczuczyn, Wiłkowyszki, Wisztyniec i Władysławów.

We wspomnianym roku 1901 parafia liczyła 912 dusz (235 rodzin), łącznie z filiałem w Szczuczynie. Posiadała 3 domy modlitwy: w Jedwabnem, Szczuczynie i Grajewie. Natomiast w Ostrołęce i Kolnie duchowny odprawiał nabożeństwa w szkole miejskiej.

W Jedwabnem odbywały się nabożeństwa lektorskie — czytane przez członka dozoru cmentarza, ubogacone grą na fisharmonii, którą parafianie kupili wspólnie za 200 rubli. Dawniej mieli swego kantora i szkołę.

W Szczuczynie zbór składał się z 92 dusz (20 rodzin), w samym zaś mieście mieszkało 7 rodzin. Miejscowy kantor odprawiał nabożeństwa, zajmował się nauczaniem religii, jak również przygotowaniem dzieci do konfirmacji.

W Grajewie w 1890 r. wybudowano drewniany dom modlitwy, a w 1902 r. zatwierdzono kantora i otwarto szkołę kantoracką dla około 100 wiernych (22 rodziny). Pensję kantora w wysokości 100 rubli rocznie wypłacała po połowie parafia i konsystorz warszawski.

W Kolnie było w tym czasie 200 wiernych, przeważnie ludzi niezamożnych, wywodzących się z rzemieślników i służby dworskiej; w tej liczbie zaledwie kilku gospodarzy i młynarzy.

W czasie I wojny światowej 109 parafian zesłanych zostało w głąb Rosji. Z tej liczby część (około 20 rodzin) uznana za Polaków, na skutek interwencji ks. K. Mikulskiego, mogła powrócić wcześniej. Pozostałym udało się to dopiero po zakończeniu wojny.

Godny odnotowania jest fakt, że parafia łomżyńska jako jedna z niewielu przeciwstawiła się w 1917 r. próbie niemieckich okupantów narzucenia Kościołowi ewangelicko-augsburskiemu w Polsce niemieckiego charakteru i oblicza.

Tymczasem okazało się, że Kościół katolicki nie pogodził się z przejęciem przez ewangelików w Łomży nieczynnej i grożącej zawaleniem pojezuickiej świątyni i po wielokroć występował o jej rewindykację. Pierwszy raz miało to miejsce już w kilka lat po przyjęciu i wyremontowaniu. Strona katolicka zadeklarowała wtedy gotowość zwrotu poniesionych nakładów finansowych. Z podobną propozycją wystąpił legat papieski Kidsi w 1866 r. Ewangelicy odpowiedzieli, że byliby skłonni rozmawiać na ten temat, gdyby katolicy wybudowali nową świątynię. Katolicy nie zgodzili się na to ze względów finansowych.

Po odzyskaniu niepodległości kraju, gdy liczba wiernych w parafii zmalała do ponad 600, hierarchia Kościoła katolickiego kilkakrotnie zgłaszała swoje roszczenia do budynku kościelnego. Strona ewangelicka jednak uznała sprawę za zakończoną, nie podejmując dyskusji na ten temat.

W okresie międzywojennym parafia należała do diecezji wileńskiej ewangelicko-augsburskiego Kościoła w Polsce, w skład której wchodziły następujące parafie: Białystok, Grodno, Suwałki, Wilno i Wiżajny — każda ze swoimi filiałami.

Do Łomży przyjeżdżali parafianie nieraz z głębokiej diaspory, np. z Zambrowa. Tuż przed wojną kościół został gruntownie wyremontowany.

W czasie II wojny światowej parafia pozbawiona swego duszpasterza znalazła się na terytorium kontrolowanym przez władzę radziecką, w tzw. Republice Białoruskiej. Część parafian została zesłana na Syberię. W latach 1939–1940 wielu członków parafii pochodzenia niemieckiego wyemigrowało do Niemiec w ramach akcji repatriacyjnej uzgodnionej przez obydwu okupantów: hitlerowskie Niemcy i ZSRR. W obszernym budynku kościelnym w Łomży, władze radzieckie urządziły halę targową. Po zajęciu miasta w wyniku inwazji na ZSRR administracja niemiecka nie reaktywowała parafii, której ludność, przesiedlona przeważnie do Rzeszy, nie była zainteresowana powrotem do zrujnowanych wojną domostw. Wkrótce wycofująca się armia niemiecka dokonała całkowitego zniszczenia budynku kościelnego.

W latach 1945–1953 obowiązki administratora parafii w Łomży pełnił przedwojenny kapelan wojskowy z Grodna, ks. kapitan Karol Messerschmidt (Buczyński) z Warszawy, do 1950 r. zastępca szefa służby duszpasterskiej w Wojsku Polskim. Obsługiwał on również zbory filialne w Szczuczynie i Grajewie, a także na Suwalszczyźnie. Sporadycznie docierał na Mazury i do niektórych parafii w centralnej Polsce, składając konsystorzowi Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Warszawie szczegółowe sprawozdania. Po zapoznaniu się z sytuacją przedstawioną przez ks. administratora konsystorz pod koniec 1948 r. wystąpił do Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego w Białymstoku z roszczeniami majątkowymi wobec nieruchomości parafialnych w Łomży, Szczuczynie, Grajewie, Augustowie, Suwałkach, Sejnach i Wiżajnach. Trwała wymiana korespondencji w tej sprawie z kompetentnymi władzami terenowymi, Kościół ponosił przewidziane trybem postępowania opłaty.

Sprawy rewindykacji mienia kościelnego w Łomży i innych sąsiednich ośrodkach powróciły pod obrady władz kościelnych w 1950 r., kiedy to konsystorz, wezwany przez OUL w Białymstoku do złożenia dokumentów

własności wymienionych wyżej parafii, postanowił wystąpić „do właściwych sądów o nadanie tytułów własności w porządku niespornym". Po kilku latach, dnia 17 kwietnia 1958 r., pod obrady konsystorza weszła sprawa użytkowania ewangelickiego cmentarza w Łomży. Sprawę odroczono, potem sprzeciwiono się przekazaniu „cmentarza pod zarząd katolicki", w końcu jednak, 29 października tegoż roku władze Kościoła ewangelickiego w Warszawie wyraziły gotowość wydzielenia wspólnie z katolikami części cmentarza na pochówek dla ewangelików i praktycznie oddanie cmentarza pod zarząd miejscowej parafii rzymskokatolickiej. Uchwała z dnia 7 czerwca 1962 r. umożliwiła Powiatowej Radzie Narodowej w Grajewie bezpłatne przejęcie niezabudowanej działki kościelnej o powierzchni 3.706 m^2 położonej przy ul. Strażackiej 1.

Trudno dziś prześledzić i odtworzyć dokładnie wszystkie wysiłki Kościoła w celu odzyskania utraconego mienia. Sprawy te do dziś budzą wiele emocji i znaków zapytania. Jedno stwierdzić można z całą pewnością: w owych czasach i warunkach panujących w kraju, odzyskanie choćby tylko części utraconych własności, było niezwykle trudne, a często po prostu niemożliwe.

Mimo braku świątyni i pomieszczeń parafialnych (plebanię w Łomży zasiedlono lokatorami), parafia osłabiona liczebnie, wbrew prezentowanym do dziś opiniom historyków katolickich, przez całe powojenne dziesięciolecia żyła duchowym życiem. Nabożeństwa odprawiane były w prywatnych mieszkaniach parafian. Przyjeżdżali na nie różni księża i studenci teologii. Z perspektywy minionych lat można powiedzieć, że rozproszenie i stopniowe zamieranie życia zborowego było m.in. konsekwencją braku kościoła i odpowiednich pomieszczeń parafialnych, a co za tym idzie — możliwości zatrudnienia tam duchownego.

Dziś w Łomży i okolicach poszczególne rodziny ewangelickie i grono sympatyków utrzymuje kontakt z parafią w Piszu, która swym zasięgiem obejmuje również te tereny.

Parafia stara się odzyskać ocalałą z pożogi wojennej plebanię, w której obecnie mieści się Muzeum Okręgowe. Władze wojewódzkie kwestionując w zasadzie taką możliwość, żądają jednocześnie ogromnych sum odszkodowania z tytułu poniesionych nakładów remontowych, nawet tych niekoniecznych, adaptacyjnych, choć przez cały czas powojenny korzystały i korzystają z budynku za darmo.

Parafia ma jednak nadzieję, że uda jej się pokonać opór władz i że ostateczne rozstrzygnięcie w trybie ustawowym będzie dla niej korzystne, gdyż racje moralne i prawne leżą po jej stronie.

Śledząc dzieje parafii w Łomży, nie sposób przeoczyć jej związków z Mazurami, także z Piszem, zarówno gdy chodzi o pochodzenie parafian, jak i opiekę duchownych. Nazywano ją w XIX w. odrośla ludu mazurskiego i perłą zakopaną w piasku.

Widoczne są także związki z polskością i patriotyzmem. Ks. Jan Adam Haberkannt za podburzanie parafian przeciw, jak to określono, *„prawowitemu rządowi"* i przewożenie korespondencji rewolucyjnej, został przez władze carskie zesłany w 1863 r. w głąb Rosji do miejscowości Penza.

Ks. Karol Gustaw Minitius, pastor parafii Św. Trójcy w Łodzi — największej wówczas ewangelickiej parafii w Królestwie Polskim, został karnie przeniesiony do małej i biednej parafii łomżyńskiej, za patriotyczną działalność przedpowstaniową i czynne popieranie powstania styczniowego. Natomiast młodemu uczestnikowi walk powstańczych z 1863 r., ks. Kacprowi Mikulskiemu udało się uniknąć aresztowania. Musiała tam istnieć szczególna atmosfera, że wybrał ją spośród wielu innych wyznań i parafii, twórca niepodległości kraju, pierwszy marszałek Polski — Józef Piłsudski. Stało się to 24 maja 1899 r., i nie była to jedynie urzędowa formalność w celu zawarcia związku małżeńskiego, lecz jak stwierdza dokument, którego stosowny fragment przytoczę poniżej w tłumaczeniu z oryginału rosyjskiego, był to akt religijny przemyślany, świadomy i długo przygotowywany: „[...] *po dostatecznym przygotowaniu i pełnym wewnętrznym przekonaniu przeszedł z wyznania rzymskokatolickiego na wyznanie ewangelicko-augsburskie w tutejszym ewangelicko-augsburskim kościele Józef Klemens Piłsudski lat 31, kawaler, zamieszkały w Łapach, urodzony w majątku Zułowie, syn szlachcica Józefa i zmarłej Marii z domu Billewicz małżonków Piłsudskich. Przy tym uzupełnia się, że Józef Klemens Piłsudski tejże daty był konfirmowany, odbył spowiedź i przyjął Komunię Świętą* [...]"

Aczkolwiek niektórzy twierdzą, że powrócił później na łono Kościoła katolickiego, co miało nastąpić podczas I wojny światowej bądź na łożu śmierci, gdy właściwie był już nieprzytomny, brak na to wiarygodnych dokumentów.

Chciałbym wspomnieć także postać jednego z duchownych tej parafii działającego w latach 1916–1918, współtwórcę ewangelickiego duszpasterstwa wojskowego i jej pierwszego szefa, późniejszą ofiarą Katynia — ks. pułkownika Ryszarda Paszke (Paszko), kawalera m.in. orderu Polonia Restituta.

Ostatnim duchownym okresu międzywojennego był ks. Zygmunt Kuźwa urzędujący w parafii łomżyńskiej dwa lata przed wybuchem II wojny światowej (1937–1939). Jeszcze w czasie okupacji, gdy spodziewano się, że po wojnie tereny byłych Prus Wschodnich przypadną Polsce, przewidziano go jako ewentualnego duszpasterza na tych terenach. Poznał bowiem ten lud mazurski i pragnął mu służyć. W czasie powstania warszawskiego został jednak kapelanem i żołnierzem batalionu „Wigry", znany pod pseudonimem „Pleban". W ostatniej fazie powstania, w czasie walk na Żoliborzu dołączony do batalionu „Żubra", zginął z bronią w ręku, osłaniając odwrót powstańców, jako żołnierz 3. plutonu, nie opodal przygotowanego ołtarza polowego.

❦

Z pewnością ewangelicy w Łomżyńskiem pozostawili w historii tego regionu pozytywny ślad swego istnienia, zarówno w sferze gospodarki jak i w obszarze szeroko pojętej kultury, gdyż jak sądzę, duchowość ewangelicka ukształtowana Słowem Bożym jest nośnikiem wartości chrześcijańskich, szczególnie postaw moralnych.

Długoletni duchowny parafii ks. Kacper Mikulski, który po przejściu na emeryturę został odznaczony (27 marca 1931 r.) Złotym Krzyżem Zasługi I klasy, jako polski patriota i działacz społeczny napisał kiedyś następujące słowa: *Daj Boże, aby parafia łomżyńska ewangelicko-polska długo jeszcze ostać się mogła jako pomnik reformacji śród narodu polskiego i dawała świadectwo braci swojej o prawdzie ewangelicznej.*

Dziś to wszystko wydaje się jedynie przeszłością, po której zostało niewiele śladów. Dzieje parafii łomżyńskiej zdają się być zamkniętą księgą, do której nic, albo prawie nic dopisać już nie można. Niewielu też po nią sięga, aby z niej czytać.

DUCHOWNI PARAFII EWANGELICKIEJ W ŁOMŻY:

1838–1843	Jan Bogumił SCHLICKE, administrator filiału w Łomży, duchowny z Paproci Dużej
1843–1844	Bogumił TYDELSKI
1844–1846	Gustaw (Benno Wilhelm) MÜLLER
1846–1851	Karol WAGNER
1851–1852	Otto HEWELKE
1852–1859	Juliusz MRONGOWIUSZ
1859–1863	Jan Adam HABERKANNT, jeden z pierwszych zesłańców do Rosji
1863–1865	vacat — dojeżdżał ks. J. Mrongowiusz z Paproci Dużej
1865–1867	Karol Gustaw MANITIUS, przeniesiony do Łomży karnie za popieranie powstania styczniowego
1867–1868	Eugeniusz BIEDERMANN
1868–1869	Fryderyk WENDT
1869–1874	Karol Juliusz PASTENACI
1875–1882	Teodor LUDWIG, doktor filozofii, wystawiono mu pomnik
1884–1930	Kacper MIKULSKI, powstaniec styczniowy
1916–1918	Ryszard PASZKE, duchowny pomocniczy, późniejszy twórca i pierwszy kapelan naczelny Wojska Polskiego
1930–1931	Karol SWITALSKI, kapelan wojskowy
1931	Aleksander JEHNKE
1934–1936	Henryk ZALEWSKI
1936–1939	Zygmunt KUŹWA, powstaniec warszawski — zginął w 1944 r.
1945–1953	Karol MESSERSCHMIDT, nazwisko konspiracyjne z czasów okupacji: „Buczyński" — kapelan WP w Grodnie i Warszawie

Krzysztof Jan Rej

Ks. mgr Krzysztof Jan Rej jest proboszczem parafii ewangelicko-augsburskiej w Piszu.

Bibliografia

1. Ks. Witold Jemielity, *Kościół ewangelicko-augsburski w Łomżyńskiem 1795–1940*, [w:] Księga pamiątkowa prof. Bendera. Lublin, str. 415 nn.
2. Karol Gustaw Manitius, *Zbór ewangelicko-augsburski łomżyński*, [w:] „Zwiastun Ewangeliczny" 1865, str. 309 nn.
3. Ks. Kacper Mikulski, *Nieco o parafii łomżyńskiej*, [w:] „Zwiastun Ewangeliczny" 1902, str. 137 nn.
4. Ks. bp dr Janusz Narzyński, Z dziejów parafii ewangelicko-augsburskiej w Łomżyńskiem. Rękopis w posiadaniu autora.

PLEBISCYT W POWIECIE PISKIM W 1920 ROKU

Traktaty pokojowe zostały określone podczas konferencji pokojowej z udziałem Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych, trwającej od 19 stycznia 1919 do 21 stycznia 1920 r. Projekty traktatów zostały przedłożone do akceptacji pokonanym państwom centralnym[1].

Teren plebiscytowy na Mazurach (8 powiatów) oraz Warmii (2 powiaty) i Powiślu (4 powiaty) został określony w art. 28 Traktatu Wersalskiego. Na mocy traktatu pokojowego do Polski przyłączono 17 styczniu 1920 r. Działdowo wraz z okolicznymi wsiami. Wcześniej obszar ten wchodził w skład dawnego powiatu nidzickiego, zajmując około 30% jego powierzchni, z 40,5% jego mieszkańców[2]. Łączna powierzchnia obszaru plebiscytowego wynosiła 14.856 km^2, w tym Warmia i Mazury - 12.395 km^2. Obszar ten zamieszkiwało łącznie około 724 tys. ludności[3]. Ogółem uprawnionych do głosowania na Warmii i Mazurach było 422.074 osób[4]. Polska domagała się w notach z dnia 25 i 28 lutego 1919 r. włączenia części Powiśla, Warmii i Mazur poza plebiscytem, jednakże argumenty naszego kraju nie zostały uwzględnione.

Na Mazurach plebiscytem objęto następujące powiaty: ostródzki, nidzicki, szczycieński, piski, mrągowski, ełcki i giżycki (rejencja olsztyńska) oraz olecki (rejencja gąbińska). Z obszaru plebiscytowego wyłączono tylko jeden powiat mazurski, tj. węgorzewski. Na mocy art. 96 Traktatu Wersalskiego mieszkańcy terytorium objętego plebiscytem mieli dokonać wyboru między Polską a Prusami Wschodnimi. Natomiast regulamin plebiscytowy Komisji Międzysojuszniczej dla omawianego obszaru plebiscytowego zawarty został w art. 94 i 95 Traktatu Wersalskiego. Artykuły te określały termin i zasady głosowania, wyznaczały władzę i komitety plebiscytowe. Plebiscyt w obu okręgach - olsztyńskim i kwidzyńskim — odbył się jednocześnie, tj. 11 lipca 1920 r. We wcześniejszych opracowaniach spośród wielu przyczyn klęski szczególnie mocno akcentuje się terror polityczny i stosowanie środków pozaprawnych przez stronę niemiecką. Należy pamiętać o tym, iż pierwsza wojna światowa wyzwoliła silne ruchy nacjonalistyczne w Europie, zaś po drugiej wojnie światowej retoryka ta doskonale pasowała do propagandowego obrazu ,,odzyskanych Mazur". W nowszych opracowaniach autorzy bardziej rzetelnie podchodzą do analizy przyczyn klęski Polski w plebiscycie, wskazując przy tym na wiele zaniedbań i błędów popełnianych przez stronę polską. Miały one również istotny wpływ na późniejszą klęskę.

[1] Dymarski M.: *Tradycje plebiscytowe na Warmii, Mazurach i Powiślu w ocenie polskiego państwa podziemnego.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1–4, 1990, s. 42.

[2] Przyłączenie Działdowa do Polski wynikało z ważnej roli tego miasta jako węzła kolejowego łączącego centralną część kraju z wybrzeżem Bałtyku. W sierpniu 1920 r. podczas ofensywy Armii Czerwonej w wojnie polsko-radzieckiej Działdowo znalazło się na pewien okres czasu w ich władaniu. Doszło do wystąpień antypolskich. W odwet za te wystąpienia wkraczające ponownie wojska polskie dopuściły się szeregu działań odwetowych wobec ludności autochtonicznej. Sytuacja ludności mazurskiej w tym regionie w okresie międzywojennym była trudna. Wielu Mazurów optowało na rzecz Niemiec, zaś wielu przedstawicieli młodego pokolenia porzuciła gospodarstwa rolne i uciekła do Prus Wschodnich. Por. Sakson A.: *Mazurzy — społeczność pogranicza.* Instytut Zachodni, Ziemie Zachodnie — Studia i Materiały nr 15, Poznań 1990, s. 58–59.

[3] Gelewski T., Jędruch S.: *Prawne zasady plebiscytu na Powiślu, Warmii i Mazurach,* [w:] *Materiały z sesji popularnonaukowej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskiej w Olsztynie w związku z pięćdziesięcioleciem plebiscytu na Powiślu, Warmii i Mazurach.* Olsztyn 1971, s. 8.

[4] Wakar A.: *O polskość Warmii i Mazur w dawnych wiekach.* Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1969, s. 166.

Celem niniejszego artykułu jest próba analizy przygotowań, przebiegu i wyników plebiscytu w skali lokalnej na przykładzie powiatu piskiego.

Od grudnia 1918 r. wśród ludności mazurskiej w Prusach Wschodnich, zwłaszcza w powiecie piskim, krążyły pogłoski, iż Polska zamierza wcielić te ziemie w swoje granice. Wiadomości te z kolei rozdmuchiwała miejscowa prasa, np. wychodząca w Piszu gazeta ,,Johannisburger Zeitung". W lutym 1919 r. zaczęto już powszechnie mówić o wkroczeniu wojsk polskich do Prus Wschodnich[5]. Faktem jest, że na przełomie lat 1918/1919 niektóre polskie koła polityczne wysuwały żądania przyłączenia części Mazur, a także Warmii i Powiśla do nowo powstałego państwa polskiego ze względu na konieczność zabezpieczenia dostępu Polski do morza i spełnienia dziejowej sprawiedliwości. Plany te oficjalnie zostały zaniechane po ogłoszeniu postanowień Traktatu Wersalskiego w czerwcu 1919 r.

Obie strony plebiscytu zdawały sobie sprawę, że głosami powiatów mazurskich można przesądzić o ich przynależności państwowej. Dlatego też obie strony prowadziły akcję propagandową (pozytywną i negatywną) na szeroką skalę.

Po stronie niemieckiej w akcję plebiscytową silnie zaangażował się ruch ,,Heimatdienst", który aktywnie działał również w innych częściach Niemiec. ,,Ostpreussische Heimatdienst" (Wschodniopruska Służba Ojczyźniana) założono w marcu 1919 r. przez ,,Reichzentrale für Heimat". Olsztyński ośrodek ,,Heimatdienstu" zajmował główne miejsce w ruchu nacjonalistycznym w Prusach Wschodnich. Inicjatorem jego powołania był Paul Hensel, superintendent z Pisza[6]. Latem 1919 r. powstała czteroosobowa komisja olsztyńskiego ,,Heimatdienstu", w skład której weszli: K. Thiel, radca rejencyjny dr Marks, pisarz Max Worgitzki oraz radca Paul Borowski. Obejmował swym

[5] Na podstawie wspomnień adwokata von Lojewskiego, przewodniczącego niemieckiego komitetu plebiscytowego w powiecie piskim, które ukazały się na łamach wspomnianej gazety 11 lipca 1933 r. Gazeta ta przechowywana jest w Archiwum Akt Nowych, Ambasada Berlin nr 823. Przypis za: Fiedor K.: *Znaczenie plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu dla formowania nacjonalistycznego frontu antypolskiego w Niemczech.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 3, 1970, s. 427.

[6] Paul Viktor Karl Hensel urząd superintendenta pełnił w latach 1916–1929. Wcześniej był proboszczem parafii w Jeżach (1893–1907).

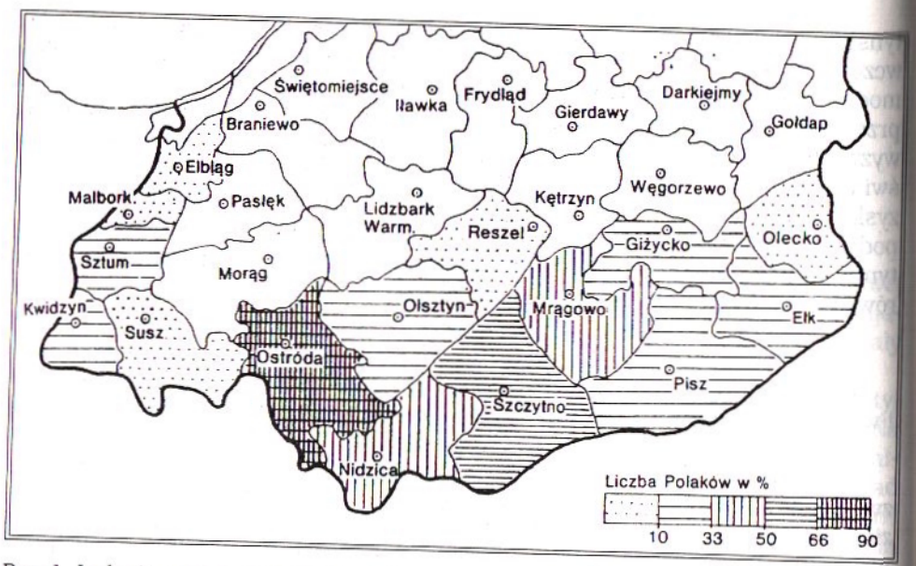

Ryc. 1. Ludność polska w miastach w powiecie piskim na tle innych powiatów Warmii, Mazur i Powiśla, na podstawie obliczeń E. Romera.

Źródło: Wrzesiński W.: *Warmia i Mazury w polskiej myśli politycznej 1864–1945*. Rozprawy i Materiały OBN im. W. Kętrzyńskiego nr 90, PWN, Warszawa 1984, s. 163.

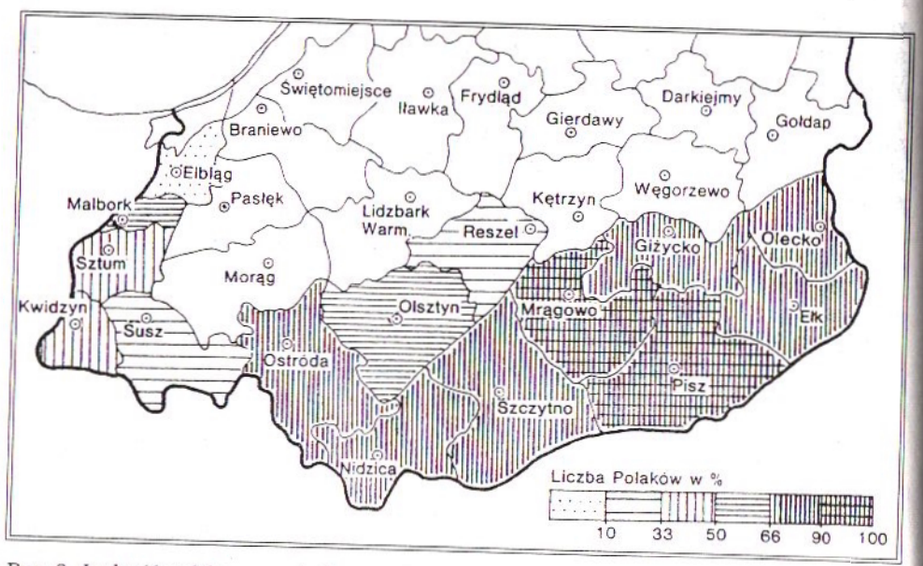

Ryc. 2. Ludność polska na wsiach w powiecie piskim na tle innych powiatów Warmii, Mazur i Powiśla w 1911 r., na podstawie obliczeń E. Romera.

Źródło: Wrzesiński W.: *Warmia i Mazury w polskiej myśli politycznej 1864–1945*. Rozprawy i Materiały OBN im. W. Kętrzyńskiego nr 90, PWN, Warszawa 1984, s. 160.

Tabela 1

Struktura językowa ludności w powiecie piskim na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku

Wyszczególnienie		Lata				
		1890	1900	1905	1910	1925
Ludność		48.745	48.262	50.453	51.399	55.240
Z tego podało jako język ojczysty	niemiecki	10.323	12.161	13.651	16.379	43.421
	polski	18.616	10.058	1.411	4.203	292
	mazurski	17.640	23.868	34.022	29.141	7.990
	inny język obcy	—	42	45	35	105
	niemiecki i polski	1.359	1.233	189	997	322
	niemiecki i mazurski	757	900	1.123	623	3.052
	niemiecki i inny język obcy	52	—	12	21	58
Rozumiało po niemiecku	z Polaków (3)				2.562	91
	z Mazurów (4)					6.380
Na 100 głów ludności podało jako język ojczysty	niemiecki	22,18	25,2	27,06	31,87	78,61
	polski	38,18	20,84	2,8	8,18	0,53
	mazurski	36,19	49,46	67,43	56,7	14,47
	inny język obcy	—	0,09	0,09	0,07	0,19
	niemiecki i polski	2,79	2,55	0,37	1,93	0,58
	niemiecki i mazurski	1,55	1,86	2,23	1,21	5,52
	niemiecki i inny język obcy	0,11	—	0,22	0,04	0,1

Źródło: Pohorecki W.: *Mazurzy w Prusach Wschodnich*. Sprawy Narodowościowe, nr 2, 1932, s. 168, tab. I. Por. Sakson A.: *Mazurzy — społeczność pogranicza*. Instytut Zachodni, Ziemie Zachodnie — Studia i Materiały nr 15, Poznań 1990, tab. 1.

zasięgiem Olsztyn oraz powiaty: olsztyński, reszelski, ostródzki, nidzicki, szczycieński, mrągowski, giżycki, piski, ełcki i olecki. Max Worgitzki, z pochodzenia Mazur, w okresie plebiscytu odegrał bardzo ważną rolę. Był bardzo dobrym organizatorem, potrafił wokół siebie skupić grupę oddanych ludzi o poglądach prawicowych. Z jego inicjatywy powstał „Ermländer- und Masurenbund" (Związek Warmiaków i Mazurów) przekształcony później w „Kulturverein für Ermland und Masuren" (Stowarzyszenie Kulturalne Warmii i Mazur). Była to masowa organizacja społeczna kierowana przez „Heimatdienst". Oficjalnie organizacja została założona 14 lipca 1919 r. i do najaktywniejszych jej działaczy należeli: superintendent Paul Hensel, nauczyciel Anton Funka, adwokat von Lojewski z Pisza i Max Worgitzki. Prawie w każdej wsi na terenie powiatu piskiego powstała komórka „Masurenbundu". Koła terenowe w poszczególnych miejscowościach były najczęściej określane jako „Heimat-

verein". W 1920 r. było ich na obszarze omawianego powiatu co najmniej 164[7]. Naczelnym zadaniem wszystkich terenowych kół ,,Heimatdienstu" było przygotowanie miejscowej ludności do mającego odbyć się plebiscytu, nasilenie procesu asymilacji ludności mazurskiej na gruncie szeroko rozumianej niemczyzny oraz walka z ludnością opowiadającą się za Polską na obszarze plebiscytowym. W tym celu organizowano odczyty, pogadanki, wieczornice, zabawy i festyny ludowe. Imprezom tym zawsze towarzyszyła bogata oprawa propagandowa[8]. We wrześniu 1919 r. ,,Ermländer- und Masurenbund" liczył około 1050 kół terenowych, zrzeszających około 206.300 członków.

W końcu 1919 r. władze niemieckie stwierdziły coraz bardziej narastające wpływy niemieckie na obszarze plebiscytowym, szczególnie w powiatach mazurskich. Bardzo znamienny pod tym względem jest meldunek policji niemieckiej z Pisza: ,,Wiara w zwycięstwo sprawy niemieckiej umacnia się coraz więcej i więcej"[9].

Równolegle z tworzeniem ,,Ermländer- und Masurenbund" niemieccy mężowie zaufania w każdej gminie podjęli się wyszukiwania ewentualnych adresów reemigrantów. Początkowo akcję prowadzono dyskretnie, unikano płatnych ogłoszeń prasowych. Jednakże 15 października 1919 r. rząd Rzeszy zamieścił na łamach ,,Deutsche Allgemeine Zeitung" apel do urodzonych na Warmii, Mazurach i Powiślu, by brali udział w plebiscycie[10]. Mężowie zaufania sporządzali ich imienne wykazy. W lipcu 1919 r. zebrano już 100 tys. adresów.

Polscy historycy uważają, że liczba reemigrantów była wyższa od liczby rzeczywiście uprawnionych do głosowania, np. w powiecie piskim o 97%, a na całym obszarze plebiscytowym o 32%, co oznaczałoby, że na listy plebiscytowe Niemcy wprowadzili 32% fałszywych dokumentów (por. tab. 2)[11]. Niemcy zażądały od rządu polskiego przepuszczenia bez kontroli tranzytowej przez Polskę 7 pociągów z reemigrantami dziennie przez 14 dni, poprzedzających termin plebiscytu. Przewidując, że Polska będzie utrudniać prze-

[7] Szostakowska M.: *„Königsberger Hartungsche Zeitung" wobec sprawy polskiej na Mazurach, Warmii i Powiślu w okresie przygotowań do plebiscytu 1920 roku.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3–4, s. 372.

[8] W maju 1919 r. na terenie Prus Wschodnich powałano „Akademische Gruppe für den Heimatdienst in Ostpreussen" („Akademicka Grupa Służby Ojczyźnianej w Prusach Wschodnich"), werbując tym samym do pracy agitacyjnej „Heimatdienstu" studentów. Oprócz „Heimatdienstów" powstało wiele związków i ugrupowań skrajnie prawicowych. 18 lutego 1919 r. w celu skoordynowania działalności propagandowej przed mającym się odbyć plebiscytem powołano w Królewcu „Zentralausschuss für den Ostpreussischen Heimatdienst" (Komisja Centralna do Spraw Wschodniopruskiej Służby Ojczyźnianej). Natomiast w październiku tegoż roku komisja ta została podporządkowana ogólnoniemieckiej „Reichszentrale für Heimatdienst (Ogólnoniemiecka Centrala Służby Ojczyźnianej). Do niemieckiej akcji propagandowej włączyły się też organizacje działające poza Prusami Wschodnimi, np. „Deutscher Schutzbund" (Związek Obrony Niemczyzny), założony 26 maja 1919 r. Por. Fiedor K.: *Znaczenie plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu dla formowania nacjonalistycznego frontu antypolskiego w Niemczech.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 3, 1970, s. 430–433.

[9] Wrzesiński W.: *Plebiscyty na Warmii i Mazurach oraz na Powiślu w 1920 roku.* Rozprawy i Materiały Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego nr 45, Olsztyn 1974, s. 134.

[10] Fiedor K.: op. cit. s. 433.

[11] Dymarski M.: op. cit., s. 53.

Tabela 2

Migracje w powiecie piskim

Wyszczególnienie	Powiat piski
Emigracja w 1920 roku	16.000
Poprawka wojenna i emigracja zamorska	12.270
Emigracja uprawniona do głosu	10.150
Emigracja na liście plebiscytowej	20.000
Stosunek listy do uprawnionych, tj. 4:3	197
Stosunek listy do stanu emigracji, tj. 4:2	158

Źródło: Dymarski M.: *Tradycje plebiscytowe na Warmii, Mazurach i Powiślu w ocenie polskiego państwa podziemnego.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1–4, 1990, s. 53.

jazd do Prus Wschodnich przez Pomorze ,,Schutzbund" przygotował plany transportu reemigrantów na tereny plebiscytowe drogą morską ze Świnoujścia do Pilawy. W tym celu powołano specjalne stowarzyszenie ,,Seedienst Ostpreussen" (Służba Morska Prusy Wschodnie), które zajęło się stroną techniczną tej operacji. Według szacunków M. Worgitzkiego na obszar plebiscytowy przybyło latem 1920 r. około 128 tys. osób, w tym do powiatu piskiego — około 20 tys.[12].

Największe nasilenie niemieckiej propagandy negatywnej było wobec członków polskich komitetów plebiscytowych i polskich mężów zaufania. Należy przy tym pamiętać, że polski ruch na Mazurach w okresie przedplebiscytowym koncentrował się głównie w Szczytnie i w dużo mniejszym stopniu w Ełku.

Argumentacja propagandy niemieckiej brała pod uwagę aspekty historyczne, religijne, kulturowe, ekonomiczne i socjalne. Główna teza tej argumentacji była następująca: Mazury (podobnie jak pozostałe tereny plebiscytowe) zawsze należały do Niemiec, więc o ich losie powinna decydować wyłącznie autochtoniczna ludność wschodniopruska.

Akcję propagandową prowadziła również strona polska, jednak ze względu na ograniczone siły i środki jej skala była dużo mniejsza. Liczba osób pracujących w aparacie propagandowym była niewielka. W okręgu olsztyńskim (Komitet Mazurski) pracowało w sumie 140 osób. Praca opierała się na podziale na jednostki powiatowe, a powiatów na obwody, w których w zależności od potrzeb tworzono sieć mężów zaufania. Kierownikiem na powiat piski został C. Kętrzyński, który podobnie jak pozostali kierownicy powiatowi

[12] Fiedor K.: op. cit. s. 434.

okręgu mazurskiego, był poznaniakiem[13]. Zatem osoby te, często o niedostatecznych kwalifikacjach moralnych i małym doświadczeniu agitacyjnym, były pozbawione prawa głosu. W powiatach we wschodniej części Mazur, także w piskim, były olbrzymie problemy z utworzeniem zalążków polskich organizacji.

Polskie władze wojskowe postanowiły założyć na obszarze plebiscytowym organizację paramilitarną, tzw. Straż Mazurską. Komenda główna mieściła się w Olsztynie, której podlegać miało bezpośrednio 13 komend powiatowych. Za datę jej powstania uważa się 15 lutego 1920 r., kiedy por. Jan Niemierski otrzymał nominację na komendanta naczelnego[14]. Zamierzano zwerbować do straży 2,5 tys. ludzi. Obszar jej działania obejmował Warmię (grupa zachodnia - ,,Z") i Mazury (grupa wschodnia - ,,W"). Do grupy wschodniej należało 6 powiatów: ełcki, olecki, piski, giżycki, mrągowski i szczycieński. Na czele komendy powiatowej w Piszu miał stać chorąży, któremu miało podlegać 19 podoficerów i 180 szeregowych. Straż Mazurska miała być przeciwwagą dla organizacji niemieckich, planowano wykorzystać ją do zbrojnego przeciwdziałania. Jej komórki powstawały przede wszystkim na Warmii i w zachodniej części Mazur. Natomiast wschodnie powiaty Mazur, w tym piski, według Niewiarowskiego ,,okazały się dla prac polskich niedostępne"[15]. Na kilka dni przed głosowaniem Straż Mazurska została znacznie osłabiona. 6 lipca 1920 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych, któremu ta organizacja podlegała, poleciło wycofać ludzi do jednostek frontowych ze względu na trudną sytuację na froncie (odwrót wojsk polskich w wojnie z wojskami radzieckimi)[16].

Na potrzeby propagandowo-organizacyjne przedstawiciele rządu polskiego nabyli nieruchomość w Olsztynie i we wszystkich miastach powiatowych. W czerwcu 1920 r. w celu właściwego gospodarowania tym majątkiem, utworzono Mazurski Bank Ludowy.

8 lutego 1920 r. na łamach ,,Königsberger Hartungsche Zeitung"[17] zamieszczono informację z przebiegu spotkania na Mazurach z przedstawicielami 164 niemieckich organizacji z powiatu piskiego. Zebranie zakończyło się potwierdzeniem ,,niezachwianej wierności dla niemieckiej ojczyzny" i apelem – ,,siostry i bracia z Pomorza i Działdowa, aby nie zapomnieli o swoim niemieckim pochodzeniu i nie zdradzali pamięci o ojczyźnie"[18].

[13] Wrzesiński W.: op. cit., s. 176.

[14] Z dokładną strukturą organizacyjną i zadaniami przydzielonymi poszczególnym wydziałom Czytelnik może zapoznać się w artykule: Stawecki P.: *Stanowisko polskich władz wojskowych wobec plebiscytu na Warmii i Mazurach*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3, 1968, s. 454–455.

[15] Stawecki P.: op. cit., s. 459.

[16] Należy stwierdzić, że działalność Straży Mazurskiej była znikoma. De facto przejawiała się w utworzeniu specjalnej bojówki (tzw. Lotne Oddziały Bojowe), mającej na celu przeciwdziałanie akcjom Niemców oraz osłonę pracy agitacyjnej polskiego Komitetu Mazurskiego i Warmińskiego. Jednakże i one nie odegrały znaczącej roli. Nie były w stanie przeciwstawić się niemieckiemu terrorowi. Polska bojówka była co najmniej 10 razy mniejsza od tajnych organizacji niemieckich. Straż Mazurską zlikwidowano 12 lipca 1920 r.

[17] „Königsberger Hartugsche Zeitung" był największym dziennikiem w Prusach Wschodnich, wydawanym w Królewcu. Gazeta ta nie przyjmowała w okresie przedplebiscytowym zbyt napastliwego tonu propagandowego jak inne gazety niemieckie.

Przebieg plebiscytu na spornym terytorium nadzorowała Komisja Międzysojusznicza, która miała sprawować jednocześnie władzę ustawodawczą i ogólnoadministracyjną. Szczególnym obowiązkiem komisji miało być zorganizowanie głosowania i zapewnienia jego wolności i rzetelności. W styczniu 1920 r. wojska niemieckie zaczęły opuszczać teren plebiscytowy, ustępując miejsca wojskom alianckim. Operacja ta zakończyła się na początku lutego 1920 r. Jeden batalion Anglików został rozlokowany w Olsztynie i Ostródzie, jeden batalion Włochów w Olsztynie oraz Ełku i Giżycku. W miastach powiatowych umieszczono oficerów kontrolnych, m.in. po jednym Angliku w Nidzicy, Mrągowie, Piszu, Ełku i Olecku[19]. Mimo iż nastąpiło wycofanie niemieckich sił zbrojnych w powiecie piskim (podobnie jak na całym obszarze plebiscytowym), pozostały elementy nie naruszonej struktury państwa niemieckiego (sądy, policja, banki, niemieckie organizacje itp.).

Obie strony dla celów propagandowych wykorzystywały kwestie językowe i narodowościowe. Strukturę językową w powiecie piskim na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku przedstawia tabela 1, natomiast liczbę Polaków na obszarze plebiscytowym – rycina 1 i 2.

Plebiscyt odbył się w zaplanowanym terminie, tj. 11 lipca 1920 r. Prawo głosu przysługiwało każdemu bez względu na płeć, kto urodził się na obszarze plebiscytowym lub posiadał tam miejsce stałego lub zwykłego zamieszkania od daty wyznaczonej przez Komisję Międzysojuszniczą, tj. od dnia 1 stycznia 1905 r. Głosowanie odbywało się gminami. W powiecie piskim plebiscyt przeprowadzono w 198 gminach i miastach, z których każda była oddzielnym obwodem wyborczym. Wyniki głosowania były obliczane w każdej gminie oddzielnie i następnie przekazywane przez komisję wraz z wnioskami dotyczącymi przebiegu granicy państwowej. Na ich podstawie główne mocarstwa miały wyznaczyć granicę między Polską a Prusami Wschodnimi.

Głosowanie w powiecie piskim odbyło się bez większych incydentów. W Białej Piskiej lokal wyborczy mieścił się tamtejszej szkole. W jednej klasie głosowali mężczyźni i kobiety urodzeni i zamieszkali na terenie plebiscytowym. W drugiej klasie głosowali ci, którzy urodzili się na terenie plebiscytowym, ale później wyemigrowali do innych części Niemiec. W trzeciej klasie głosowali ci, którzy nie urodzili się na obszarze plebiscytowym, ale mieszkali tu od 1 stycznia 1905 r.[20] Należy sądzić, że przebieg głosowania w innych miejscowościach powiatu piskiego był podobny.

[18] Autorka artykułu pisząc o wspomnianym spotkaniu relacjonuje, iż odbyło się „z przedstawicielami 164 niemieckich organizacji z powiatów Pisz, Orzysz, Biała". Tymczasem chodzi tu o powiat piski, bowiem wymienione miasta, zarówno przed jak i po 1945 r., należały do wspomnianego powiatu. Szostakowska M.: op. cit., s. 372.

[19] Por. Dymarski M.: op. cit., s. 56. Na terytorium Warmii i Mazur miano pierwotnie wysłać cztery bataliony, w tym trzy brytyjskie i jeden amerykański. Dowództwo mieli sprawować Anglicy. Por. Gilas J.: *Położenie prawnomiędzynarodowe Powiśla, Warmii i Mazur w latach 1918–1920*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 2, 1970, s. 237–238.

[20] *Festschrift zur Feier des 500-jährigen Bestehens von Bialla Ostpr.* 1428–1928. Lyck 1928, s. 74–75.

okręgu mazurskiego, był poznaniakiem[13]. Zatem osoby te, często o niedostatecznych kwalifikacjach moralnych i małym doświadczeniu agitacyjnym, były pozbawione prawa głosu. W powiatach we wschodniej części Mazur, także w piskim, były olbrzymie problemy z utworzeniem zalążków polskich organizacji.

Polskie władze wojskowe postanowiły założyć na obszarze plebiscytowym organizację paramilitarną, tzw. Straż Mazurską. Komenda główna mieściła się w Olsztynie, której podlegać miało bezpośrednio 13 komend powiatowych. Za datę jej powstania uważa się 15 lutego 1920 r., kiedy por. Jan Niemierski otrzymał nominację na komendanta naczelnego[14]. Zamierzano zwerbować do straży 2,5 tys. ludzi. Obszar jej działania obejmował Warmię (grupa zachodnia - „Z") i Mazury (grupa wschodnia - „W"). Do grupy wschodniej należało 6 powiatów: ełcki, olecki, piski, giżycki, mrągowski i szczycieński. Na czele komendy powiatowej w Piszu miał stać chorąży, któremu miało podlegać 19 podoficerów i 180 szeregowych. Straż Mazurska miała być przeciwwagą dla organizacji niemieckich, planowano wykorzystać ją do zbrojnego przeciwdziałania. Jej komórki powstawały przede wszystkim na Warmii i w zachodniej części Mazur. Natomiast wschodnie powiaty Mazur, w tym piski, według Niewiarowskiego „okazały się dla prac polskich niedostępne"[15]. Na kilka dni przed głosowaniem Straż Mazurska została znacznie osłabiona. 6 lipca 1920 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych, któremu ta organizacja podlegała, poleciło wycofać ludzi do jednostek frontowych ze względu na trudną sytuację na froncie (odwrót wojsk polskich w wojnie z wojskami radzieckimi)[16].

Na potrzeby propagandowo-organizacyjne przedstawiciele rządu polskiego nabyli nieruchomość w Olsztynie i we wszystkich miastach powiatowych. W czerwcu 1920 r. w celu właściwego gospodarowania tym majątkiem, utworzono Mazurski Bank Ludowy.

8 lutego 1920 r. na łamach „Königsberger Hartungsche Zeitung"[17] zamieszczono informację z przebiegu spotkania na Mazurach z przedstawicielami 164 niemieckich organizacji z powiatu piskiego. Zebranie zakończyło się potwierdzeniem „niezachwianej wierności dla niemieckiej ojczyzny" i apelem – „siostry i bracia z Pomorza i Działdowa, aby nie zapomnieli o swoim niemieckim pochodzeniu i nie zdradzali pamięci o ojczyźnie"[18].

[13] Wrzesiński W.: op. cit., s. 176.

[14] Z dokładną strukturą organizacyjną i zadaniami przydzielonymi poszczególnym wydziałom Czytelnik może zapoznać się w artykule: Stawecki P.: *Stanowisko polskich władz wojskowych wobec plebiscytu na Warmii i Mazurach.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3, 1968, s. 454–455.

[15] Stawecki P.: op. cit., s. 459.

[16] Należy stwierdzić, że działalność Straży Mazurskiej była znikoma. De facto przejawiała się w utworzeniu specjalnej bojówki (tzw. Lotne Oddziały Bojowe), mającej na celu przeciwdziałanie akcjom Niemców oraz osłonę pracy agitacyjnej polskiego Komitetu Mazurskiego i Warmińskiego. Jednakże i one nie odegrały znaczącej roli. Nie były w stanie przeciwstawić się niemieckiemu terrorowi. Polska bojówka była co najmniej 10 razy mniejsza od tajnych organizacji niemieckich. Straż Mazurską zlikwidowano 12 lipca 1920 r.

[17] „Königsberger Hartugsche Zeitung" był największym dziennikiem w Prusach Wschodnich, wydawanym w Królewcu. Gazeta ta nie przyjmowała w okresie przedplebiscytowym zbyt napastliwego tonu propagandowego jak inne gazety niemieckie.

Przebieg plebiscytu na spornym terytorium nadzorowała Komisja Międzysojusznicza, która miała sprawować jednocześnie władzę ustawodawczą i ogólnoadministracyjną. Szczególnym obowiązkiem komisji miało być zorganizowanie głosowania i zapewnienia jego wolności i rzetelności. W styczniu 1920 r. wojska niemieckie zaczęły opuszczać teren plebiscytowy, ustępując miejsca wojskom alianckim. Operacja ta zakończyła się na początku lutego 1920 r. Jeden batalion Anglików został rozlokowany w Olsztynie i Ostródzie, jeden batalion Włochów w Olsztynie oraz Ełku i Giżycku. W miastach powiatowych umieszczono oficerów kontrolnych, m.in. po jednym Angliku w Nidzicy, Mrągowie, Piszu, Ełku i Olecku[19]. Mimo iż nastąpiło wycofanie niemieckich sił zbrojnych w powiecie piskim (podobnie jak na całym obszarze plebiscytowym), pozostały elementy nie naruszonej struktury państwa niemieckiego (sądy, policja, banki, niemieckie organizacje itp.).

Obie strony dla celów propagandowych wykorzystywały kwestie językowe i narodowościowe. Strukturę językową w powiecie piskim na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku przedstawia tabela 1, natomiast liczbę Polaków na obszarze plebiscytowym – rycina 1 i 2.

Plebiscyt odbył się w zaplanowanym terminie, tj. 11 lipca 1920 r. Prawo głosu przysługiwało każdemu bez względu na płeć, kto urodził się na obszarze plebiscytowym lub posiadał tam miejsce stałego lub zwykłego zamieszkania od daty wyznaczonej przez Komisję Międzysojuszniczą, tj. od dnia 1 stycznia 1905 r. Głosowanie odbywało się gminami. W powiecie piskim plebiscyt przeprowadzono w 198 gminach i miastach, z których każda była oddzielnym obwodem wyborczym. Wyniki głosowania były obliczane w każdej gminie oddzielnie i następnie przekazywane przez komisję wraz z wnioskami dotyczącymi przebiegu granicy państwowej. Na ich podstawie główne mocarstwa miały wyznaczyć granicę między Polską a Prusami Wschodnimi.

Głosowanie w powiecie piskim odbyło się bez większych incydentów. W Białej Piskiej lokal wyborczy mieścił się tamtejszej szkole. W jednej klasie głosowali mężczyźni i kobiety urodzeni i zamieszkali na terenie plebiscytowym. W drugiej klasie głosowali ci, którzy urodzili się na terenie plebiscytowym, ale później wyemigrowali do innych części Niemiec. W trzeciej klasie głosowali ci, którzy nie urodzili się na obszarze plebiscytowym, ale mieszkali tu od 1 stycznia 1905 r.[20] Należy sądzić, że przebieg głosowania w innych miejscowościach powiatu piskiego był podobny.

[18] Autorka artykułu pisząc o wspomnianym spotkaniu relacjonuje, iż odbyło się „z przedstawicielami 164 niemieckich organizacji z powiatów Pisz, Orzysz, Biała". Tymczasem chodzi tu o powiat piski, bowiem wymienione miasta, zarówno przed jak i po 1945 r., należały do wspomnianego powiatu. Szostakowska M.: op. cit., s. 372.

[19] Por. Dymarski M.: op. cit., s. 56. Na terytorium Warmii i Mazur miano pierwotnie wysłać cztery bataliony, w tym trzy brytyjskie i jeden amerykański. Dowództwo mieli sprawować Anglicy. Por. Gilas J.: *Położenie prawnomiędzynarodowe Powiśla, Warmii i Mazur w latach 1918–1920.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 2, 1970, s. 237–238.

[20] *Festschrift zur Feier des 500-jährigen Bestehens von Bialla Ostpr.* 1428–1928. Lyck 1928, s. 74–75.

Tabela 3

Wyniki plebiscytu w powiecie piskim na tle innych powiatów Warmii i Mazur

Powiat	Liczba ważnych głosów	
	za Polską	za Prusami Wschodnimi
Ełcki	44	36.534
Giżycki	9	29.378
Mrągowski	25	34.334
Nidzicki	330	22.233
Olecki	2	28.625
Miasto Olsztyn	342	16.742
Olsztyński	4.902	31.486
Ostródzki	1.043	46.385
Piski	14	34.036
Reszelski	758	35.352
Szczycieński	511	48.204

Źródło: W a k a r A.: *O polskość Warmii i Mazur w dawnych wiekach.* Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1969, s. 160.

Mimo iż powiat piski graniczył z Polską, za przyłączeniem go do naszego kraju wypowiedziało się tylko 14 osób, co było jednym z najniższych wyników w powiatach mazurskich. Za Polską oddano głosy m.in.: 9 w sześciu obwodach na terenie miasta Pisz, 2 w Giętkich i 1 w Kumielsku. Za Prusami Wschodnimi oddano 34.036 ważnych głosów (por. tab. 2 i 3)[21]. A tak wspomina plebiscyt naoczny świadek tych wydarzeń na łamach pisanej przez siebie kroniki rodzinnej: ,,Naszym obowiązkiem było czuwanie nad prawidłowym zestawieniem list wyborczych i sprawdzenie, czy nasze nazwiska tam figurują. Ci, którzy przyjechali z zewnątrz, otrzymali zwrot kosztów podróży i kosztów utrzymania na 10 dni oraz bezpłatne noclegi lub 150 marek gotówki [...]. Dzień plebiscytu, 11 lipca, przybrał formę wspaniałej manifestacji niemieckości. Wszyscy byli świątecznie wystrojeni i tłumnie podążali do lokali wyborczych; wszyscy Niemcy mieli nadzieję, że odniosą zwycięstwo [...]. Na Niemcy głosowało 97,9%, na Polskę – 2,1%. Takiego wyraźnego zwycięstwa

[21] Dokumenty dotyczące wyników plebiscytu na terenie powiatu piskiego przechowywane są w archiwum w Paryżu. Były sporządzone w języku francuskim. Zostały one odszukane przez Edmunda Fernera i opublikowane w roczniku: *Johannisburger Heimatbrief 1985.* Verlag: Kreisgemeischaft Johannisburg in der Landsmannschaft Ostpreussen e.V., s. 74–76. Nie jest to jednak pełna lista, bowiem obejmuje zestawienie wyników w 157 gminach i miastach na 198 jednostek w ówczesnym powiecie piskim.

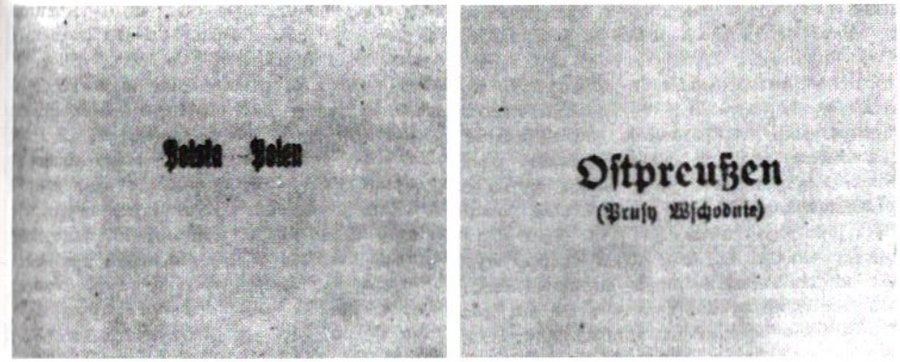

Ryc. 3. Karty do głosowania podczas plebiscytu w 1920 r.

Fot. archiw.

wielu ludzi nie oczekiwało. Zorganizowano wiele uroczystości na cześć uprawnionych do głosowania"[22].

Po przeprowadzeniu plebiscytu Komisja Międzysojusznicza złożyła sprawozdanie Konferencji Ambasadorów, przedstawiając z jednej strony wyniki głosowania, z drugiej wstępne zalecenia dotyczące przebiegu granicy między Polską a Prusami Wschodnimi. Obszar powiatu piskiego pozostał w całości w Prusach Wschodnich.

W latach dwudziestych na pamiątkę wygranego plebiscytu Niemcy wystawili w Piszu głaz z następującą inskrypcją: ,,Dieses Land bleibt Deutsch" (Ten kraj pozostanie niemiecki). Pomnik wzniesiono w parku nad Pisą, między mostem drogowym a kolejowym, w pobliżu ówczesnej przystani Żeglugi Mazurskiej[23].

Po przegranym plebiscycie przez stronę polską powstał problem tzw. majątku poplebiscytowego. Pełnomocnikiem Mazurskiego Banku Ludowego, został Stanisław Jankowski. Po rozwiązaniu Rady Nadzorczej banku miał on nieograniczone prawo dysponowania majątkiem poplebiscytowym. S. Jankowski sprzedał m.in. domy w Mrągowie, Ostródzie i Olsztynie. Dopuścił się przy tym nadużyć finansowych. W kwietniu 1923 r. uprawnienia Jankowskiego przejął poseł Jan Baczewski. Ze stosunkowo znacznego majątku pozostały m.in. Dom Polski i willa przy Steinstrasse w Olsztynie oraz budynek w Piszu. Nieruchomość w Piszu została sprzedana przez niejaką Świderską pewnemu Niemcowi, o którą później toczyła się sprawa sądowa. Polacy proces przegrali i tym samym utracili kolejny obiekt[24].

[22] W a l t e r H.A.: *Kronika rodzinna.* Borussia nr 13, 1996, s. 40–41.

[23] W kwietniu 1963 r. wczesnym rankiem na polecenie Zygmunta Kowalczyka — I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Piszu, saperzy z Orzysza wysadzili głaz w powietrze w ramach szeroko zakrojonej akcji zacierania śladów niemieckości na Mazurach. Po 1945 r. na pamiątkowym głazie zamieszczono wykonany farbą olejną napis: „A jednak wróciliśmy, byliśmy, jesteśmy, będziemy". Prawdopodobnie autorką tego napisu była Henryka Chróścielewska, piska nauczycielka i działaczka ZHP. Inf. ust. — M. Kulęgowski.

[24] C h ł o s t a J.: *Majątek plebiscytowy na Warmii, Mazurach i Powiślu.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3–4, 1988, s. 379.

Ryc. 4. Manifestacja ludności Orzysza podczas plebiscytu 11 lipca 1920 r.
Fot. archiw.

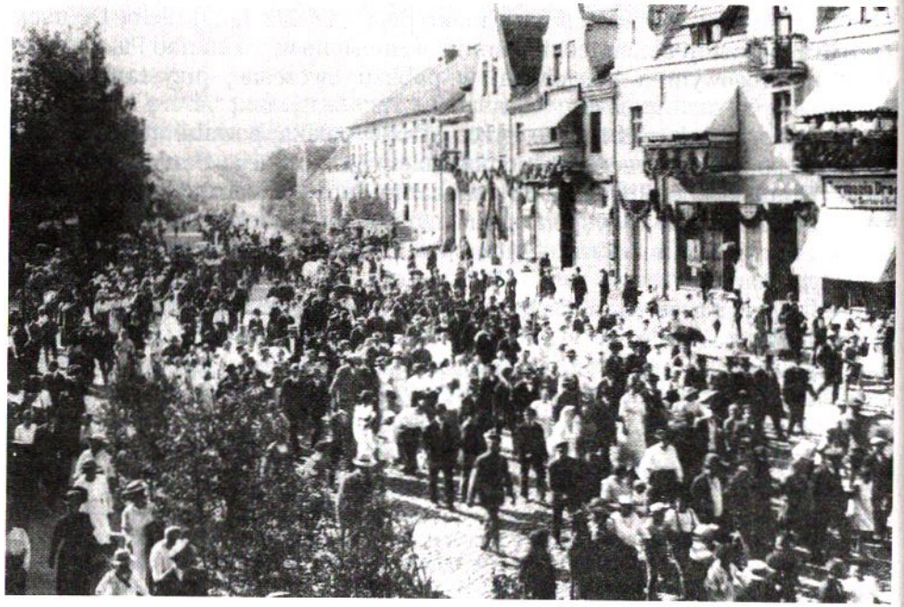

Ryc. 5. Manifestacja ludności Orzysza podczas plebiscytu 11 lipca 1920 r.
Fot. archiw.

Ryc. 6. Orzysz. Przykład antypolskiej propagandy podczas plebiscytu 11 lipca 1920 r. — krowa z transparentem: „Wybieram Polskę".
Fot. archiw.

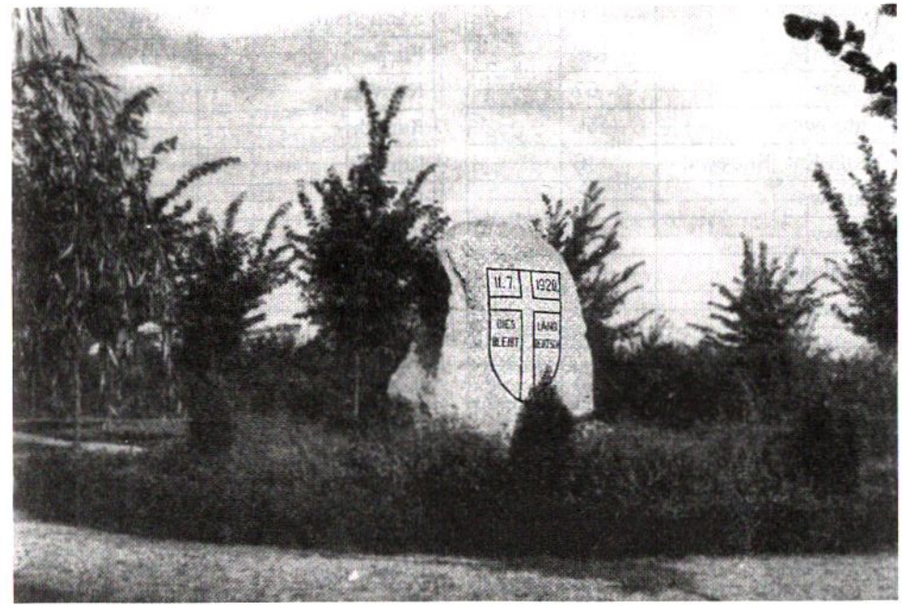

Ryc. 7. Nie istniejący pamiątkowy głaz w Piszu upamiętniający plebiscyt.
Fot. archiw.

Tabela 4

Wyniki plebiscytu w poszczególnych obwodach powiatu piskiego

Miejscowość	Liczba oddanych głosów	
	za Prusami Wschod.	za Polską
1	2	3
Anuszewo	40	
Babrosty	92	
Bagieńskie	65	
Bełcząc	206	
Biała Piska	1.435	
Bielice	99	
Bogumiły	202	
Brzózki Duże	53	
Brzózki Małe	47	
Bzury	204	
Cierzpięty	246	
Ciesina	69	
Cwaliny	150	
Czyrpki	139	
Czarne	67	
Dąbrówka	456	
Długi Kąt (Klarewo)	46	
Dłutowo	57	
Dmusy	176	
Drozdowo	195	
Drygały	318	
Dupki (Lipowskie)	154	
Dybowo	154	
Dziadowo	260	
Dziubiele	296	
Giętkie	99	2
Głodowo	40	
Grądówka	9	
Grądy	29	

Miejscowość	Liczba oddanych głosów	
	za Prusami Wschod.	za Polską
1	2	3
Grodzisko	117	
Gruzy	126	
Grzegorze	189	
Guty Rożyńskie	220	
Guzki	146	
Hejdyk	246	
Imionek	61	
Jagodne	92	
Jakuby	77	
Jebramki	79	
Jeże	464	
Kałęczyn	82	
Kamieńskie	42	
Karpa	285	
Karwica	438	
Karwik	144	
Kibisze	46	
Kociek	300	
Kocioł Duży	287	
Kociołek Szlachecki	83	
Konopki	95	
Kończewo	217	
Kosaki	28	
Kosinowo	76	
Kowalewo	222	
Kozłowo	50	
Kożuchy	123	
Kózki	104	
Kruszewo	124	

1	2	3
Krzywińskie	115	
Krzyże	270	
Kukły	49	
Kumielsk	304	1
Kurczątki	203	
Kulik	27	
Kwik	192	
Lipa	91	
Lipińskie	95	
Lipniki	211	
Lisaki	117	
Liski	246	
Lisuny (Łysonie)	180	
Lisy	83	
Łodygowo	124	
Łupki	136	
Maldanin	94	
Marchewki	23	
Mikosze	238	
Mikuty	40	
Monety	193	
Myszki	195	
Myśliki	65	
Nida	396	
Niedźwiedzie (Czyste)	127	
Nitki	181	
Nowe Drygały	11	
Nowe Guty	500	
Nowe Uściany	80	
Oblewo	96	
Odoje	141	
Okartowo	366	
Olszewo	111	
Orłowo	151	
Orzysz	1.486	

1	2	3
Osranki (Głąbowskie)	175	
Oszczywilki	445	
Paski	65	
Pawłocin	183	
Pianki	392	
Pietrzyki	116	
Pilchy	240	
Piskorzewo	159	
Pisz, 6 obwodów	2.933	9
Pisz, obwód nr 1	114	
Pogorzel Mała	52	
Pogubie Średnie	235	
Pogubie Tylne	185	
Pożegi	54	
Rakowo Małe (Rakowo Włościańskie)	37	
Rakówko	87	
Rogale Małe	51	
Rogale Wielkie	146	
Rolki	119	
Rostki	306	
Rożyńsk Mały	32	
Rożyńsk Wielki	363	
Ruciane	48	
Rybitwy	157	
Skarżyn	274	
Skrodzkie	360	
Sokoły Górskie	114	
Sokoły Jeziorne	144	
Sołdany	74	
Stare Guty	165	
Stare Uściany	125	
Strzelniki	303	
Sulimy	203	
Szast	122	

1	2	3
Szczechy Wielkie	95	
Szeroki Bór	24	
Szeroki Ostrów (Czarcia Góra)	27	
Szkody	207	
Szlagowski Młyn (Młynno)	14	
Szparki	72	
Szwejkowo	225	
Szymki	10	
Taczki	53	
Trzonki	139	
Tuchlin	100	
Turośl	403	
Turowo	250	
Wąglik	55	

1	2	3
Wiartel	141	
Wielki Las	56	
Wierzbiny	476	
Wilki	115	
Włosty	182	
Wojny	5	
Wojtele	75	
Wolisko	176	
Worgule	38	
Zabielne	145	
Zalesie	235	
Zastróżne	109	
Zawady	135	
Zdęgówko	72	
Zdory	388	

Źródło: *Johannisburger Heimatbrief 1985*. Verlag: Kreisgemeischaft Johannisburg in der Landsmannschaft Ostpreussen e.V., s. 74–76.

W powiecie piskim dominowała ludność wiejska, która miała silne poczucie odrębności ,,swoich" od ,,obcych". Cechowała ją swoista jedność społeczna oparta na lokalnych autorytetach, systemie lokalnych wierzeń oraz norm i obyczajów. Uwarunkowania społeczne miały zatem również istotny wpływ na wynik plebiscytu. Jego wynik, jakkolwiek bardzo pomyślny, nie zadowolił w pełni aspiracji środowiska wschodniopruskiego, które zdawało sobie sprawę z trudnego położenia geopolitycznego prowincji. Prusy Wschodnie oderwane od Rzeszy stały się enklawą państwa niemieckiego. Jednakże z drugiej strony wynik plebiscytu odegrał bardzo ważną rolę w procesie asymilacji kulturowo-obyczajowej, językowej i państwowej ludności mazurskiej na gruncie państwa niemieckiego. Zjawisko to przybrało znaczne rozmiary szczególnie w powiatach graniczących z Polską, np. w powiecie piskim. Należy przy tym pamiętać o tym, że proces asymilacji Mazurów, zwłaszcza młodszego pokolenia, zaczął się nasilać już po zakończeniu pierwszej wojny światowej.

Ryszard Wojciech Pawlicki

Bibiografia

1. Achremczyk S.: *Historia Warmii i Mazur od pradziejów do 1945 roku*. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Biblioteka Olsztyńska nr 18, Olsztyn 1992, s. 246–251.
2. Bosk G.: *Heimat umgeben von Wälder und Seen*. Selbstverlag der Kreisgemeinschaft Johannisburg 1980, s. 48–49.
3. Chłosta J.: *Kazimierz Jaroszyk, 1878–1941, O narodowy kształt Warmii i Mazur*. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1986, s. 69–89.
4. Chłosta J.: *Majątek plebiscytowy na Warmii, Mazurach i Powiślu*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3–4, 1988, s. 377–389.
5. Dymarski M.: *Tradycje plebiscytowe na Warmii, Mazurach i Powiślu w ocenie polskiego państwa podziemnego*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1–4, 1990, s. 41–65.
6. *Festschrift zur Feier des 500-jährigen Bestehens von Bialla Ostpr.* 1428–1928. Lyck 1928, s. 74–75.
7. Fiedor K.: *Znaczenie plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu dla formowania nacjonalistycznego frontu antypolskiego w Niemczech*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 3, 1970, s. 427–447.
8. Gilas J.: *Położenie prawnomiędzynarodowe Powiśla, Warmii i Mazur w latach 1918–1920*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 2, 1970, s. 223–241.
9. Guttzeit E.J.: *Der Kreis Johannisburg. Ein ostpreussisches Heimatbuch*. Holzner Verlag, Würzburg 1964, s. 322, 339.
10. *Johannisburger Heimatbrief 1985*. Verlag: Kreisgemeinschaft Johannisburg in der Landsmannschaft Ostpreussen e.V., s. 74–76.
11. *Materiały z sesji popularnonaukowej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Olsztynie w związku z pięćdziesięcioleciem plebiscytu na Powiślu, Warmii i Mazurach*. Olsztyn 1971.
12. *Pisz. Z dziejów miasta i powiatu*. Red. W. Korycka. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1970, s. 114–115.
13. Sakson A.: *Mazurzy — społeczność pogranicza*. Instytut Zachodni, Ziemie Zachodnie — Studia i Materiały nr 15, Poznań 1990, s. 47–59.
14. Stawecki P.: *Stanowisko polskich władz wojskowych wobec plebiscytu na Warmii i Mazurach*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3, 1968, s. 451–466.
15. Szostakowska M.: *„Königsberger Hartungsche Zeitung" wobec sprawy polskiej na Mazurach, Warmii i Powiślu w okresie przygotowań do plebiscytu 1920 roku*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3–4, s. 371–376.
16. Wakar A.: *O polskość Warmii i Mazur w dawnych wiekach*. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1969, s. 159–173.
17. Walter H.A.: *Kronika rodzinna*. Borussia nr 13, 1996, s. 31–41.
18. *Warmia i Mazury*. Red. S. Zajchowska i M. Kiełczewska-Zaleska. Instytut Zachodni, Poznań 1953, s. 165–178.
19. Worgitzki M.: *Geschichte der Abstimmung in Ostpreussen*. Leipzig 1921.
20. Wrzesiński W.: *Ruch polski na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1920–1939*. Prace Instytutu Zachodniego nr 34, Instytut Zachodni, Poznań 1963, s. 46–59.
21. Wrzesiński W.: *Plebiscyty na Warmii i Mazurach oraz na Powiślu w 1920 roku*. Rozprawy i Materiały Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego nr 45, Olsztyn 1974, s. 326.
22. Wrzesiński W.: *Warmia i Mazury w polskiej myśli politycznej 1864–1945*. Rozprawy i Materiały Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego nr 90, PWN, Warszawa 1984, s. 189–325.

MIĘDZY PUSZCZĄ PISKĄ A PUSZCZĄ KURPIOWSKĄ

Z DZIEJÓW NARODOWEGO ZJEDNOCZENIA WOJSKOWEGO NA TERENIE KP „ŁUŻYCA" I KP „ŁUKÓW"

W pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej wielkie kompleksy leśne — Puszcza Piska i Puszcza Kurpiowska — stwarzały korzystne warunki dla kontynuowania zbrojnego oporu przeciwko władzy komunistycznej. Ruch partyzancki mógł się rozwijać dzięki poparciu społeczeństwa, które w północno-wschodnich regionach kraju było szczególnie przychylne dla konspiracji wywodzącej się z ruchu narodowego.

8 maja 1945 r. w Borkowie koło Kolna odbyło się spotkanie kierownictw reprezentujących różne skrzydła obozu narodowego na Białostocczyźnie. Zawarto wówczas porozumienie, na mocy którego powstał Obszar Warszawski „Narew" Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Obszar „Narew" składał się z trzech okręgów: Białystok („Chrobry")[1], Warszawa („Mazowsze", „Orzeł") i Olsztyn („Bałtyk")[2]. Według uczestniczącego w spotkaniu Zbigniewa Kuleszy „Młota" na styku tych trzech okręgów, w powiatach: piskim, szczycieńskim, ostrołęckim i przasnyskim miał powstać tzw. Inspektorat „Orawa" NZW, będący swego rodzaju bazą dla prac Komendy Obszaru „Narew". W praktyce jednak Inspektorat nie rozwinął szerszej działalności, gdyż planowany inspektor Z. Kulesza „Młot" objął w lecie 1945 r. dowództwo nad Okręgiem „Mazowsze" NZW[3].

W Okręgu „Mazowsze" powiaty ostrołęcki, przasnyski, ciechanowski i makowski należały do najbardziej zaangażowanych w prace konspiracyjne, ale okręgowe oddziały zbrojne występowały również w rejonie Łomży, Kolna i Pisza. Tereny te stanowiły pogranicze wpływów wszystkich trzech okręgów wchodzących w skład Obszaru „Narew".

Struktura terytorialna NZW przewidywała podział kraju na obszary i okręgi, które z kolei dzieliły się na komendy powiatowe i podległe im bataliony oraz kompanie.

Początkowo część powiatów łomżyńskiego, ostołęckiego i piskiego w Okręgu „Mazowsze" zorganizowane były w Komendę Powiatu „Łużyca". Jak dotąd nie dysponujemy wiarygodnymi danymi, aby ustalić pierwszego komendanta „Łużycy". Być może pełnił tę funkcję Hieronim Rogiński „Róg", przez kolegów nazywany często „Hierusiem". Podczas wojny był bliskim współpracownikiem

[1] Komendant Okręgu „Chrobry" NZW Mieczysław Grygorcewicz „Miecz" pierwsze rozkazy wydał już w kwietniu 1945 r. T. Frączek, Formacje zbrojne obozu narodowego na Białostocczyźnie w latach 1939–1956, praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. dr. hab. Piotra Matusaka, Wojskowy Instytut Historyczny, Warszawa 1996, s. 284.

[2] Prawdopodobnie pierwszym komendantem Okręgu „Bałtyk" miał zostać R. Kozioł „Pojawa" „Łużyca", którego na jesieni 1945 r. UB aresztowało w okolicach Pisza. Stąd na ogół przyjmuje się, że okręg został ostatecznie zorganizowany w początkach 1946 r., gdy obsadzono w nim kierownicze funkcje. Rel. Z. Kuleszy, J. Kułak, *Teren NZW*, „Karta" nr 14, 1994, s. 5.

[3] Rel. Z. Kuleszy.

Ryc. 1. Hieronim Rogiński (z lewej) z bratem Mieczysławem. Zdjęcie sprzed 1939 r.

Fot. archiw.

Romualda Kozła „Łużycy" — twórcy ZWK-AK, a później NSZ na Kurpiach. Ponieważ przez pewien czas po wojnie utrzymywano jeszcze strukturę batalionową, H. Rogiński kierował też prawdopodobnie I Batalionem NZW występującym w tym rejonie. Zastępcą „Roga" był Henryk Bazydło „Tygrys". W marcu 1947 r. „Tygrys" zginął i wówczas na to stanowisko awansował Bronisław Chrzanowski „Chrzan" „Orzeł" „Ostry"[4].

W 1947 r. doszło do pewnych zmian w Okręgu „Mazowsze". Być może były one związane z przerzedzeniem szeregów NZW spowodowanym amnestią,

[4] Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej w Białymstoku, Charakterystyka bandy terrorystyczno-rabunkowej „Roga" — „Czarnego" (dalej: Charakterystyka...).

choć raczej wydaje się, że członkowie tej organizacji w niewielkim zakresie decydowali się na ujawnienie. W wielu przypadkach kończyło się to represjami władz bezpieczeństwa (a często i niechęcią pozostających w konspiracji kolegów), wymuszającymi powrót do nielegalnego życia. Wśród ujawnionych był jednak komendant Okręgu „Mazowsze" Zbigniew Kulesza „Młot". Jego funkcję przejął dotychczasowy szef okręgowego Pogotowia Akcji Specjalnej Józef Kozłowski „Las"[5].

W 1947 lub 1948 r. „Las" wydzielił nową Komendę Powiatu „Łuków", która miała obejmować tworzący się powiat kolneński[6]. W praktyce oddziały podległe nowej komendzie operowały także w Łomżyńskiem, Ostrołęckiem i Piskiem.

Jeśli przyjmiemy wcześniejszą datę powstania KP „Łuków", wówczas należy uznać, że pierwszym dowódcą „Łukowa" został Hieronim Rogiński „Róg". Gdy kilka miesięcy później Rogiński opuścił teren i udał się w Bydgoskie, na czele powiatu stanął B. Chrzanowski „Orzeł". Jego zastępcą został Kazimierz Lenkiewicz „Warmiak". Ten podział funkcji trwał do jesieni 1948 r., gdy w okolice Kolna powrócił Hieronim Rogiński[7].

17 października 1948 r. „Róg" zorganizował koncentrację oddziałów w gminie Zbójna, podczas której ponownie objął kierownictwo Narodowego Zjednoczenia Wojskowego w powiecie. Nazajutrz został wydany rozkaz nr I/48, w którym „Róg" pisał:

„W dniu dzisiejszym objąłem obowiązki Kom. Pow. Warunki pracy naszej w tej chwili są b. ciężkie. Wróg stara się za wszelką cenę nas zgnębić a przede wszystkim zdemoralizować ducha w naszym społeczeństwie polskim. My natomiast nie traćmy nadziei. Walka przeciwko komunie jest obowiązkiem honoru każdego Polaka i obrony wiary katolickiej. Przez to samo spada na nas zaszczyt wielki. Zaszczyt, iż stajemy w szeregu najlepszych synów Ojczyzny pozostałych w kraju.

Wzywam więc do większego skupienia się i panowania nad sobą (...). Cierpliwie znosić wszelkie ciosy i cierpienia, jakie w tej chwili przeżywamy (...).

1. Unikać walk zaczepnych bez rozkazu KP.
2. W obronie własnej walczyć do ostatniego tchu.
3. Nie zostawić na pobojowiskach rannych. Za wszelką cenę ułatwiać im wycofanie.
4. W wypadku, kiedy ciężko rannemu nie możemy pomóc, a widać, że wpadnie w ręce wroga, należy dobić. Aby więcej nie powtarzało się nieszczęście spowodowane przez kolegę „Rysia".

[5] Rel. Z. Kuleszy, J. Pielocha: *Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944–1956*, Lublin 1993, s. 118.

[6] Autorzy opracowania „Charakterystyka..." podają datę powołania nowej komendy w 1947 r. Jednak z początków 1948 r. pochodzi kilka dokumentów NZW sygnowanych jeszcze przez KP „Łużyca". Ta druga data wydaje się więc prawdopodobniejsza, tym bardziej, że w 1948 r. powiat kolneński został wyodrębniony jako oddzielna jednostka administracyjna.

[7] H. Rogiński przeniósł się do krewnych w Sępólnie na Pomorzu. 8 marca 1948 r. został aresztowany przez WUBP w Bydgoszczy, skąd zdołał uciec. Rel. J. Rogińskiej; Na temat K. Lenkiewicza i H. Rogińskiego por. W. Brenda, *„W marzeniach Cię widzę..."*, „Echa Piskie" nr 3/94 z 21 kwietnia 1994; Idem, *„Warmiak", „Róg" i inni...*, „Nasz Los" nr 10, październik 1995; T. Skrodzka, *Matko, co pacierza uczyłaś po polsku*, „Nasz Los" nr 9, wrzesień 1996.

5. Żądam wzajemnego poszanowania się oddziału.
6. Dobrego zachowania się w stosunku do ludności cywilnej.
7. .....[8] zachowania się na postojach.
8. Zabraniam używać napojów alkoholowych pojedyńczym żołnierzom znajdującym się poza oddziałem.
9. Walkę naszą przede wszystkim skierować przeciw konfidentom współpracującym z Urzędem Bezpieczeństwa na rzecz komuny (Rosji).

W związku z reorganizacją Kom. Pow. wyznaczam stanowisko p.o. szefa wywiadu kol. sierż. „Orła", z-cę Kom. Pow. kol. plut. „Warmiaka". Podoficera sanitarnego kol. sierż. „Orła", podoficera broni kol. plut. „Warmiaka".

Oddział zostaje podzielony na trzy patrole (...)"[9].

Patrole miały być dowodzone przez „Roga" — Hieronima Rogińskiego, „Czarnego" — Mariana Borysa (?) i „Bystrego" (NN). W rzeczywistości w późniejszym okresie ukształtował się inny podział dowódców patroli. Wiązało się to z dużą płynnością kadr w oddziale „Roga".

Rozkaz pozwala rozszyfrować strukturę Komendy Powiatu „Łuków" oraz obsadę personalną poszczególnych funkcji w okresie dowodzenia przez H. Rogińskiego. Zastanawia determinacja, z jaką podchodzono do dalszej walki z komunistami. Nie było tu miejsca na najmniejszy nawet kompromis...

W pierwszych latach po wojnie na terenie KP „Łużyca" i KP „Łuków" starano się rozwijać szeroką akcję propagandową. W terenie rozprowadzano gazetki wydawane przez władze centralne i okręgowe NZW. Kolportowano także ulotki, w których nawoływano do biernego i czynnego oporu przeciwko narzuconej władzy. Taki charakter miała ulotka zatytułowana „Polacy trwajcie".

Zarówno „Róg", jak „Warmiak" i „Orzeł" zdawali sobie sprawę z konieczności objęcia swą komendą jak najliczniejszych grup osób „spalonych", którzy ukrywali się w lasach przed obławami oddziałów KBW i UBP. Udało się zwerbować kilkunastu partyzantów, z których utworzono Pogotowie Akcji Specjalnej. Od października 1947 r. dowodził nim Stanisław Waszkiewicz „Piskorz", do którego obowiązków należało również zapewnienie ochrony dowódcy. „Piskorz" sprawował tę funkcję do maja 1948 r., gdy został ranny w czasie potyczki z patrolem MO w pobliżu leśniczówki Czaki. Ciężka rana w okolicach oka groziła ślepotą. Przerzucono go do Warszawy. Tam się leczył. Jednak po powrocie podobno nie był już w stanie pełnić jakichkolwiek zadań bojowych. Na ogół więc towarzyszył H. Rogińskiemu, stając się w końcu powodem jego śmierci[10].

Pogotowie Akcji Specjalnej raczej rzadko występowało w zwartym oddziale. Najczęściej PAS dzielił się na kilka niewielkich patroli, którymi — obok wspomnianych wyżej osób — dowodzili w różnych okresach:

— Romuald Korwek „Orzech" — od 1945 r. był zastępcą, a następnie dowódcą III kompanii I Batalionu NZW. W 1947 r. ujawnił się, ale wkrótce

[8] Fragment dokumentu nieczytelny.

[9] Centralne Archiwum Urzędu Ochrony Państwa w Warszawie, Rozkaz nr I/48 z 18 października 1948 r., sygn. 5885.

[10] Rel. D. Łazarczyka: Charakterystyka...

potem musiał wrócić do lasu i w sierpniu tego roku został dowódcą grupy bojowej PAS.

— Wacław Bogucki (Bugnacki?) „Tygrys" „Kluczka" — członek NZW w Ciechanowskiem, potem żołnierz oddziału PAS w Okręgu „Mazowsze". Gdy w 1948 r. sztab okręgowy został rozbity przez władze bezpieczeństwa, „Tygrys" przeszedł do KP „Łuków" na szefa grupy bojowej.

— Jan Dziełak „Ryś" — od lipca 1948 r. dowodził trzyosobową grupą bojową. Podczas akcji został ranny i trafił w ręce UBP. Po tym wydarzeniu nastąpiły aresztowania w szeregach organizacji.

— Bronisław Chrzanowski „Chrzan" „Orzeł" „Ostry" — obok funkcji pełnionych w kierownictwie KP „Łużyca" a następnie w KP „Łuków" Chrzanowski dowodził grupą bojową stanowiącą ochronę sztabu.

— Aleksander Góralczyk „Topór" — kierował grupą PAS od października 1948 r.

Ogółem oddziały PAS istniejące na omawianym terenie jednorazowo nie przekraczały dwudziestu osób[11]. Udało się zidentyfikować część z nich: Jadwiga Rogińska „Arleta" (siostra H. Rogińskiego, łączniczka), Bolesław Bugnacki „Żeglin", Szczepan Sawicki „Wicher", Czesław Kuliś „Chrom", Józef Pieloch „Sprytny", Marian Pieloch „Marek" (początkowo szył mundury członkom oddziału, dopiero później uczestniczył w akcjach zbrojnych), Władysława Potaś „Jagoda II", Dominik Milewski „Sokół", Władysława Jerominow „Jagoda" (łączniczka do Komendy Okręgu „Mazowsze"), Marian Borys „Czarny" (był sekretarzem w KP „Łuków", być może dowodził też grupą bojową), Wacław Gugnacki „Topór", Stanisław Śledzik „Huragan", Józef Kiełczewski „Kamień", Stanisław Gleba „Kuba", Wacław Bawarski „Cięty", Marian Miłosek „Nikodem", Władysław Sadłowski „Twardy", Stanisław Grajek „Mazur"[12].

Oddziały leśne nie mogłyby funkcjonować bez odpowiedniego zaplecza w postaci kwater, schronów, żywności i informacji dostarczanych przez siatkę terenową NZW. Była ona bardzo rozbudowana. W większości wypadków pomocnicy NZW rekrutowali się z dawnych członków NSZ i AK, którzy po wojnie kontynuowali swój udział w pracach konspiracyjnych. W samym powiecie kolneńskim wspieranie NZW stało się powodem do aresztowania prawie 200 osób. Należy się więc domyślać, że współpracowników „Roga" było tu znacznie więcej. Prawdopodobnie także w innych powiatach H. Rogiński dysponował pokaźnym zapleczem. W przypadku powiatów mazurskich np. piskiego, sympatycy organizacji w większości rekrutowali się z ludności napływowej, pochodzącej z Kolna, Łomży i Ostrołęki. W rejonie działania

[11] Ibidem; Na podstawie dokumentów zachowanych w Archiwum Urzędu Ochrony Państwa w Białymstoku (dalej: AUOP Białystok) możemy odtworzyć liczebność niektórych grup NZW. Od stycznia do lutego 1949 r. oddział „Ostrego" liczył 8 ludzi. Od maja do maja obejmował 9–10 osób. W czerwcu oddział „Piskorza" liczył 10 ludzi, w lipcu — 4. W okresie sierpień–grudzień oddział „Roga" składał się z 6 osób. Podobnie od stycznia do października 1950 r. Między styczniem a lipcem 1951 r. z oddziału „Roga" ubyła tylko jedna osoba. AUOP Białystok, Sprawozdania miesięczne Wydziału III WUBP Białystok za rok 1949, sygn. 39/52; Ibidem, Sprawozdania miesięczne szefa Wydziału III WUBP Białystok za rok 1950, sygn. 39/64; Ibidem, Sprawozdanie miesięczne szefa WUBP Białystok za 1951 r., sygn. 39/75.

[12] Rel. T. Skrodzkiej, W. Potaś, S. Wykowskiego; Charakterystyka...

oddziałów partyzanckich NZW podległych Komendzie Powiatu „Łuków" szczególnie dużego poparcia udzielały wsie Szablaki, Ptaki, Wykowo, Popiołki, Czerwone[13].

Według danych zebranych przez organa bezpieczeństwa, kierowane przez Rogińskiego oddziały dysponowały ponad 30 bunkrami, z czego kilkanaście znajdowało się pod zabudowaniami gospodarskimi, a około 20 w masywach leśnych.

W powiecie kolneńskim partyzanci posiadali schrony: w pobliżu wsi Grabowo, koło Czerwonego, u rolnika Rejka (?) na kolonii Czerwone, u Stanisława Ruchały w tej samej wsi, we wsi Łacha, u Wacława Skrodzkiego we wsi Skroda Wielka, w okolicach Małego Płocka, Gietek, Ciecior, u Bolesława Płagi w Łączkach, u Antoniego Trzcinki i Aleksandra Kuczyńskiego w Janowie, u Franciszka Kalinowskiego w Pupkach, u Stanisława Konopki i Józefa Sekścińskiego w Zabielu, u Koszewskiego w Rakowie Starym, w Pniakach, niedaleko wsi Popiołki, Gąski, Wykowo, Rupin, Szablaki.

W powiecie piskim bunkry były usytuowane w pobliżu wsi: Wolisko (zlikwidowany 27 września 1948 r.), Wiartel (zlikwidowany w styczniu 1949 r.), Anuszewo, Zimna, Wądołek (prawdopodobnie kilka schronów, z jednego korzystał komendant Okręgu „Mazowsze" Z. Kulesza), w Zdunowie, gdzie przez pewien czas przebywał duży oddział Mieczysława Dziemiszkiewicza „Roja" przyprowadzony z Ciechanowskiego. Na początku lat pięćdziesiątych pojedyńczy członkowie organizacji ukrywali się w schronie zbudowanym w gospodarstwie Aleksandra Kuczyńskiego w Gaudynku koło Orzysza.

W powiecie ostrołęckim znany jest tylko jeden schron niedaleko wsi Grale[14].

W schronach ukrywano dokumenty organizacyjne, broń, zapasy żywności i bielizny zdobywane podczas akcji. Często niezbędnego zaopatrzenia dostarczali członkowie siatki terenowej. Pełnili oni także rolę informatorów ostrzegających przed obławami oraz wskazujących osoby współpracujące z władzami. Wydaje się prawdopodobne, że dysponowano również „wtyczkami" w milicji. Zbierane z różnych źródeł materiały dotyczyły ruchów oddziałów KBW oraz UB i MO, ale także pozwalały rozpracować aktywnych członków PPR i konfidentów UB. Stosowano wobec nich konfiskatę mienia, nakładano kontrybucje pieniężne, kary cielesne lub likwidowano. Wprawdzie komendant Okręgu „Mazowsze" NZW podkreśla w swej relacji, że podchodzono do tych spraw bardzo ostrożnie i szukano potwierdzenia ewentualnych podejrzeń[15], ale w warunkach konspiracji było to trudne i nie sposób było uniknąć decyzji pochodnych. Zwłaszcza, gdy pod koniec lat czterdziestych nastąpiło rozbicie władz okręgowych NZW i w praktyce coraz częściej poszczególne oddziały podziemne działały na własną rękę.

Oddziałom NZW podległym KP „Łużyca" i KP „Łuków" przypisuje się udział w 10 starciach z MO i KBW, 17 likwidacji osób podejrzanych o współpracę z komunistami, nałożenie 12 kontrybucji finansowych, 28 przypadków zaję-

[13] Rel. J. Pielocha, Z. Kuleszy, T. Skrodzkiej; Charakterystyka...

[14] Ibidem; Rel. Z. Kuleszy.

[15] Rel. Z. Kuleszy.

cia mienia, 16 akcji na sklepy spółdzielcze „Samopomocy Chłopskiej", 11 napadów na obiekty administracji państwowej i leśnej, 2 napady na autobus PKS, 2-krotne zniszczenie dokumentów Komitetów Gminnych PPR i Służby Polsce, 53 przypadki pobicia[16]. Trudne jest zweryfikowanie, czy wszystkie te czyny zostały dokonane przez NZW. Nie można wykluczyć, że UBP zbierając dane, mogło przypisywać „bandzie «Roga»" dokonania innych grup podziemia lub zwykłe czyny kryminalne, których sprawców nie dało się zidentyfikować. Należy też podkreślić, że w dotychczasowej literaturze przypadki likwidacji, czy użycia przemocy przez podziemie były na ogół prezentowane bez podania przyczyny. Tymczasem powodem tego typu akcji mogła być okazjonalna lub stała współpraca z organami bezpieczeństwa, członkostwo w PPR, ORMO i innych organizacjach kontrolowanych przez komunistów. Podziemie traktowało to jako kolaborację z nowym okupantem, tego typu postawy rozpatrywano więc w kategoriach zdrady.

Zachowane dokumenty, protokoły przesłuchań i wreszcie relacje uczestników tamtych wydarzeń pozwalają na odtworzenie kilkudziesięciu akcji dokonanych przez żołnierzy KP „Łuków", jednak ze względu na ograniczoną obojętność niniejszej publikacji ograniczamy się do niektórych.

W listopadzie 1946 r. grupa dowodzona przez Bronisława Chrzanowskiego „Orła" stacjonowała w Puszczy Piskiej, gdy od H. Rogińskiego nadszedł rozkaz, aby pod kierunkiem „Maliny" (NN) udać się na pomoc sąsiedniemu batalionowi NZW, którego 4–5-osobowy oddział miał rozbroić posterunek MO w Lachowie. Rozbrojono wówczas czterech milicjantów, zabierając im ręczny karabin maszynowy, trzy automaty PPSz i mundury[17].

W lecie 1946 r. w Wiartlu grupa NZW zlikwidowała szer. Józefa Kwiatkowskiego, zastępcę komendanta posterunku milicji[18].

W lecie 1947 r. oddział „Orła" zorganizował zasadzkę na szosie Pisz–Kolno. Wczesnym rankiem 7 sierpnia, w odległości 14 km od Pisza zatrzymano trzy samochody należące do spółdzielni „SCh", które jechały na targ. Zarekwirowano wówczas 500.000 zł[19].

W drugiej połowie października 1947 r. w rejonie wsi Pełty przeprowadzono koncentrację oddziałów partyzanckich B. Chrzanowskiego „Orła", Henryka Skoniecznego „Romana" i „Sępa" (NN). Łącznie zgromadzono kilkunastu partyzantów. Jak wynika z późniejszego meldunku sporządzonego przez Komendę Powiatową MO w Ostrołęce, „22 października 1947 r. o godzinie 9 rano na skutek otrzymanych informacji o pobycie bandy we wsi Pełty w gm. Myszyniec, pow. Ostrołęka banda rozlokowała się u ob. Mikołajczyka Jana zam. w tejże wsi. Na podstawie informacji zorganizowano likwidację bandy. Oddział śledczy złożony z KBW, UBP i 4 funkcjonariuszy MO wyruszył

[16] Charakterystyka...

[17] Archiwum Sądu Wojewódzkiego w Białymstoku, Akta sprawy przeciwko K. Lenkiewiczowi, sygn. Sr. 312/50 (dalej: Akta sprawy...).

[18] B. Łukaszewicz, *Straty obozu lewicy rewolucyjnej w województwie olsztyńskim*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie" nr 1/2, 1982, s. 43. Autor wymienia jedenaście osób, które w powiecie piskim zginęły w walkach z różnymi oddziałami NZW lub w wyniku likwidacji.

[19] Akta sprawy...

w stronę zabudowań, gdzie przebywała banda. Całością grupy dowodził kpt. z KBW Łabęcki. Przed zabudowaniem, gdzie banda kwaterowała, około 2 km kpt. Łabęcki rozdzielił grupę na dwa oddziały. Kpt. Łabęcki z jednym oddziałem poszedł na zasadzkę pod las, natomiast drugi pod dowództwem por. Dybicza z KBW udał się okrążać kwaterę bandy. Przy okrążaniu zabudowań bandyci rozbili nasz oddział i wycofali się w stronę lasu. Dowódca oddziału kpt Łabęcki, który był na zasadzce pod lasem, otworzył ogień do bandy i wywiązała się dwugodzinna walka"[20]. Według zeznań uczestniczącego w potyczce K. Lenkiewicza, wymiana ognia trwała około 20 minut, po czym oddział NZW wycofał się, zabierając dwóch rannych i broń znalezioną przy rannych i zabitych żołnierzach KBW i milicjantach[21].

18 listopada oddział NZW zlikwidował podczas patrolu w Jeżach komendanta gminnego posterunku MO w Kumielsku plut. Andrzeja Królikowskiego. W znalezionych przy nim dokumentach natrafiono na zobowiązanie do współpracy podpisane przez Zygmunta i Kazimierza Rydelków z Jeży. W grudniu grupa dowodzona przez „Orła" uprowadziła z Jeży braci Rydelków. Zaprowadzono ich do schronu w pobliżu wsi Wolisko. Na miejscu „Orzeł" wyjął ich zobowiązania do współpracy z milicją z Kumielska. Kiedy obydwaj potwierdzili fakt współpracy, na rozkaz „Orła" zostali zastrzeleni[22].

25 października 1947 r. „Warmiak", „Orzeł", „Piskorz" i „Wicher" przy pomocy siekiery wyłamali drzwi spółdzielni „SCh" we wsi Poryte i zarekwirowali towar na łączną sumę 200.000 zł, który furmankami został przewieziony w okolice wsi Łachy i ukryty w lesie. Wkrótce towar został odnaleziony przez grupę pościgową KBW.

Miesiąc później grupa dowodzona przez „Orła" wdarła się do budynku nadleśnictwa Kozioł, gdzie zarekwirowano 98.000 zł na cele organizacyjne. W większości wypadków po tego typu akcjach pieniądze były przekazywane do Komendy Okręgu, tylko część pozostawała na miejscu w celu finansowania dalszej działalności. Przez pewien czas w organizacji wypłacono nawet stały żołd[23].

W styczniu 1948 r. podczas próby ucieczki zastrzelono mieszkańca wsi Jodłowo w gm. Wiartel, leśniczego Ryszarda Żuka — członka PPR podejrzanego o współpracę z UB. Według ustaleń podziemia R. Żuk uczestniczył w obławach przeciwko partyzantom. Drugiemu obecnemu w mieszkaniu Żuka członkowi PPR zabrano legitymację partyjną. Innemu leśnikowi Józefowi Janiszewskiemu z Pogubia Sredniego za przynależność do PPR zabrano mundur sukienny[24].

W marcu 1948 r. do wsi Tyszki przybył oddział partyzantów. Zatrzymał się u Rajmunda Wszeborowskiego, który jeszcze podczas wojny współpracował z konspiracją. Grupą dowodził nieznany osobiście Wszeborowskiemu „Orzeł".

[20] Meldunek specjalny nr 59 KP MO Ostrołęka z 30 października 1947 r. (odpis w posiadaniu autora).

[21] Akta sprawy...

[22] Ibidem; B. Łukaszewicz, op. cit., s. 45.

[23] Charakterystyka...

[24] Akta sprawy...

„Grupa zachowywała się dziwnie" — wspomina krewny Wszeborowskiego. „Mieli pełne umundurowanie, obwieszeni bronią i wcale się nie kryli, w biały dzień paradując po wsi. Wuj pomyślał, że to może być prowokacja i „ktoś" udaje partyzantów. Zawiadomił sołtysa, ten posłał meldunek dalej i po pewnym czasie przyjechało wojsko. Trochę postrzelano, „leśni" — bo to byli prawdziwi „Leśni" — wycofali się i na tym był koniec. Ale po pewnym czasie „Chrzan" przyszedł znowu z pretensjami i wtedy mogło się skończyć gorzej" Wszeborowskiemu grożono, ostatecznie został ukarany chłostą i nałożeniem kontrybucji pieniężnej[25].

W lecie 1948 r. jeden z członków oddziału B. Chrzanowskiego „Orła" — K. Lenkiewicz zjawił się w mieszkaniu Antoniego Maciory we wsi Świnie-Charubin i przedstawiając się jako funkcjonariusz UB, poprosił o wskazanie miejsca, w którym ukrywa się jeden z członków podziemia. Gospodarz wyraził zgodę, ale gdy znaleźli się na podwórzu, został przez partyzantów zaprowadzony do lasu, przesłuchany i zlikwidowany. Ciążył na nim zarzut współpracy z UB i wydania funkcjonariuszom tej instytucji w Ostrołęce 25 osób[26].

15 września 1948 r. zarekwirowano pieniądze w wysokości 700.000 zł kasjerowi Spółdzielni Mleczarsko-Jajczarskiej w Kolnie. Dzień później grupa partyzantów starła się w Porytem z oddziałem KBW wspieranym przez funkcjonariuszy MO i UB. Podczas walki zginęli dwaj milicjanci oraz żołnierz NZW Wacław Bawarski „Cięty". UB schwytało rannego uczestnika potyczki Jana Dziełaka „Rysia". Pozostali partyzanci wycofali się pod osłoną płonących zabudowań. Kilka miesięcy później mieszkaniec wsi Poryte podejrzany o współpracę z UBP został zastrzelony przez „Sokoła"[27].

W kwietniu 1949 r. w Szblakach doszło do potyczki z patrolem MO. Jeden milicjantów schronił się w domu, gdzie były dzieci i dowodzący grupą partyzantów „Orzeł" postanowił zaniechać pościgu. W tym czasie pojawił się drugi funkcjonariusz. Na wezwanie zaczął się zbliżać, ale gdy w pewnym momencie próbował wystrzelić, został zabity[28].

12 lipca 1949 r. oddział w składzie „Orzeł", „Marek", „Sokół", „Tygrys", „Warmiak", „Sprytny" i „Żeglin" dokonał akcji na kasę SCh w Lachowie. Natychmiast po tej akcji została uruchomiona obława, podczas której zginął Marian Pieloch „Marek" i aresztowana została Władysława Potaś „Jagoda II". W wyniku kontynuowania obławy w następnych dniach na bagnach koło wsi Łacha otoczono partyzantów. D. Milewski „Sokół" i B. Chrzanowski „Orzeł" zginęli podczas walki, a ciała przewieziono do Kolna, gdzie aresztowana „Jagoda II" miała je rozpoznać[29].

Z kotła w rejonie Łachy udało się ujść cało K. Lenkiewiczowi „Warmiakowi" i J. Pielochowi „Sprytnemu". „Sprytny" po prostu zdjął ubranie i udając rolnika, z grabiami na ramieniu przeszedł przez linię wojska. Lenkiewicz „cały

[25] Rel. A. Wszeborowskiego; Akta sprawy...
[26] Ibidem.
[27] Rel. J. Pielocha; Charakterystyka...
[28] Rel. J. Pielocha; Akta sprawy...
[29] Rel. W. Potas.

dzień spędził na bagnach, aż do zmierzchu stał po szyję w wodzie, w trzcinach. Dopiero wieczorem zziębnięty i wyczerpany wyszedł bezpiecznie". Ze „Sprytnym" spotkali się po kilku dniach u związanego z konspiracją aptekarza w Łysych i — wobec rozbicia oddziału — postanowili ukrywać się wspólnie[30]. 21 lipca zostali otoczeni w zabudowaniach gospodarczych Władysława Stachelka w Nowej Rudzie. „O świcie wezwano obydwóch do opuszczenia chlewu i złożenia broni. Lenkiewicz odpowiedział kategorycznie, że nie podda się i nie złoży broni. Odbezpieczył w tym czasie dwa będące w posiadaniu granaty, położył się na nich i nikogo nie wpuszczał do wnętrza chlewu. Po dwugodzinnej rozmowie w jednym z odbezpieczonych granatów wypaliła spłonka i dzięki orientacji granat eksplodował nie raniąc nikogo. Po eksplozji Lenkiewicz wyraził zgodę na poddanie się pod warunkiem, o ile pozostanie z bronią. Wobec tego po zniszczeniu drugiego odbezpieczonego granatu Lenkiewicz ze wsi Nowa Ruda gm. Turośl, pow. Kolno do PUBP w Kolnie doprowadzony został wraz z posiadanym rewolwerem (...)"[31]. W Kolnie do aresztowanych Pielocha i Lenkiewicza dołączono innego partyzanta NZW — Grajka i wszystkich trzech przewieziono do Białegostoku. Aresztowany został również gospodarz ukrywający „Warmiaka" i „Sprytnego".

Rozbicie oddziału B. Chrzan owskiego w lipcu 1949 r. oznaczało koniec funkcjonowania sztabu Komendy Powiatowej „Łuków" NZW. Z dawnego kierownictwa na wolności pozostawał tylko H. Rogiński „Róg". Ponieważ od 1948 r. nie było również Komendy Okręgu „Mazowsze" — „Orzeł", zabrakło więc ośrodka dyspozycyjnego, który mógłby koordynować dalszą walkę na omawianym terenie. „Róg" podjął się próby wypełnienia takiej luki. Nawiązał kontakt z ciągle bardzo aktywnym w powiecie ciechanowskim (KP „Płomień II") Mieczysławem Dziemiszkiewiczem „Rojem", który miał go wspierać w tych staraniach. Jednak podobno na skutek niechęci innych dowódców grup zbrojnych starania „Roga" zakończyły się niepowodzeniem. Po raz kolejny Hieronim Rogiński podjął tego typu kroki w 1951 r. We wrześniu we wsi Olszewo-Góra doszło do spotkania z Hieronimem Mioduszewskim „Deską", dowódcą 13-osobowego oddziału w okolicach Kolna. Podczas rozmów podjęto decyzję o utworzeniu nowej struktury pod nazwą „Podziemne Narodowe Zjednoczenie Wojskowe" i wybrano dowództwo okręgowe (kryptonim „Karaś"), w składzie: Hieronim Rogiński „Róg" (dowódca), Fabian Konopko „Adam" „Sławek" (zastępca) i Henryk Uchał „Kazik"[32].

Teren działania Okręgu „Karaś" miał obejmować powiat kolneński, część powiatu łomżyńskiego (na północ od Narwi), część powiatu ostrołęckiego

[30] Rel. T. Skrodzkiej, J. Pielocha.
[31] Notatka Urzędowa z 3 marca 1950 r. podpisana przez ppor. E. Katiuszyna z PUBP Kolno (odpis w posiadaniu autora).
[32] Charakterystyka...: W niektórych dokumentach jest mowa o 6 członkach grupy „Deski". A UOP, Sprawozdanie miesięczne szefa Wydziału III WUBP Białystok za 1952 r., sygn. 59/82; H. Mioduszewskiemu przypisuje się zainicjowanie w latach pięćdziesiątych powstania Organizacji Narodów Chrześcijańskich w powiecie piskim, por. *Informator...*, s. 122; W. Brenda, *Konspiracja lat 50. w powiecie piskim*, „Znad Pisy" nr 1, 1995, s. 40–45.

i południowy skrawek powiatu piskiego. Jednak mimo tych wstępnych ustaleń prawdopodobnie nie doszło do trwałego zaistnienia Okręgu „Karaś" PNZW.

Być może do tworzonej organizacji próbowano również przyłączyć grupę dowodzoną przez byłego inspektora WiN Jana Tabortowskiego „Bruzdę", istniejącą w powiecie grajewskim i łomżyńskim. Nie podjęto jednak ostatecznych decyzji w tej sprawie.

Koniec lat czterdziestych przyniósł kres zorganizowanego oporu zbrojnego. Pozostający w konspiracji członkowie organizacji zdawali sobie sprawę, że nie mogą już wpływać na sytuację w kraju. Nie mieli przy tym możliwości — a często nie chcieli — powrotu do legalnego życia. Nie wierzyli, że jest to możliwe. W wielu wypadkach woleli zginąć niż oddać się w ręce organów bezpieczeństwa.

W takich warunkach próby konsolidacji antykomunistycznego podziemia w początkach lat pięćdziesiątych musiały skończyć się niepowodzeniem. Pozostawanie w konspiracji coraz bardziej przypominało wegetację bez wiary w lepszą przyszłość niż świadomą działalność zmierzającą do określonego celu.

Wszystkie dziedziny życia społecznego i politycznego kraju były już w tym czasie kontrolowane przez władzę, która w ciągu kilku lat do minimum ograniczyła wszelkie przejawy oporu. Komuniści dysponowali przy tym rozmaitymi środkami nacisku na społeczeństwo — administracją, wojskiem, aparatem bezpieczeństwa. Nieobce im było stosowanie wobec przeciwników terroru i inwigilacji. Dużą pomocą w walce z podziemiem służyły też — zwłaszcza w początkach walki o „władzę ludową" — jednostki NKWD i radzieccy doradcy przydzielanie do Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego.

W całym kraju szczególne nasilenie walki z „reakcyjnym podziemiem" było związane z tzw. referendum ludowym w 1946 r. oraz przygotowaniami do wyborów w 1947 r. Kiedy jednak w marcu 1948 r. Wojewódzki Komitet Bezpieczeństwa z przeważającej części województwa olsztyńskiego odwołał działające tu grupy wojskowo-operacyjne, pozostawiono jedynie dwie grupy w powiecie piskim i szczycieńskim, bowiem występowało tu największe zagrożenie wypadami oddziałów NZW „Roga", „Romana" (Henryka Skoniecznego) i „Dęba II"[33]. Niszczenie tych oddziałów wymagało odpowiedniej koordynacji działań przynajmniej na szczeblu wojewódzkim. Aby skutecznie walczyć z partyzantką, przystąpiono do odpowiednich prac równocześnie w Warszawie, Olsztynie i Białymstoku. Wydaje się jednak, że początkowo próby rozpracowania konspiracji nie przynosiły większych rezultatów. Nawet aresztowania czy likwidacje małych oddziałów czy pojedynczych członków or-

[33] B. Łukaszewicz, *O nową Polską 1945–1950*, Olsztyn 1989, s. 154; O działaniach władz bezpieczeństwa przeciwko podziemiu na Warmii i Mazurach, por. J. Golec, *Kształtowanie się organów milicji i bezpieczeństwa, ich rola w likwidacji politycznego i zbrojnego podziemia na Warmi i Mazurach w latach 1945–1947*, „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Oficerskiej im. gen. Franciszka Jóźwiaka — „Witolda" nr 9, 1975, s. 1005–1036; S. Grabowski, *Rola organów bezpieczeństwa w likwidacji polskiej konspiracji niepodległościowej na terenie Warmii i Mazur*, „Czasy Nowożytne", t. 1, 1996, s. 53–75.

ganizacji wynikały nie tyle z zaplanowanych operacji, co raczej z szeroko zakrojonej akcji penetrowania terenu przez patrole KBW.

W 1948 r. na pograniczu trzech województw sztab KBW przygotował długofalową operację o kryptonimie „P", która miała przynieść rozbicie podziemia. Realizowano ją między 19 maja a 15 sierpnia na obszarze 10.100 km^2, przy wykorzystaniu 2.000 żołnierzy, 15 plutonów elewów ze Szkoły Oficerskiej MO oraz kilkudziesięciu funkcjonariuszy UBP i MO. Mimo takiego rozmachu, operacja nie przyniosła oczekiwanych wyników. Nie zlikwidowano konspiracji w tym rejonie, choć ujęto prawie 680 osób należących lub współpracujących z nielegalnymi organizacjami[34]. Podobne operacje przeprowadzano też w latach następnych.

Władze bezpieczeństwa podjęły też starania mające na celu stworzenie agentury, która umożliwiłaby nie tylko poznanie podziemia, ale również sterowanie nim. Aby usprawnić te działania, w 1950 r. w Turośli utworzono dziewięcioosobową grupę operacyjną złożoną z przedstawicieli WUBP Białystok, Warszawa i Olsztyn. Miała ona na celu rozpracowanie składu osobowego organizacji, rozpoznanie uzbrojenia oraz metod walki, określenie tras przemarszu oraz kryjówek i rozwinięcie pracy agenturalnej[35].

Nie wiemy, na ile te starania były skuteczne. Znamy kilka przypadków członków NZW na terenie Białostocczyzny, którzy tuż po „wyzwoleniu" otarli się o pracę w UB lub milicji, niektórych próbowano zwerbować do współpracy. Nie zawsze posiadamy odpowiedź na pytanie, dlaczego wracali do „lasu"...[36].

Z drugiej strony można odnieść wrażenie, że początkowo agentom nie udawało się zdobyć bezpośredniego dostępu do kierownictwa, stąd ich rola w praktyce ograniczała się do informowania mocodawców. Dzięki informacjom uzyskanym od współpracującego z UBP pomocnika NZW ustalono w lipcu 1949 r. miejsce pobytu B. Chrzanowskiego „Orła" i jego kolegów w pobliżu Łachy. Przeprowadzona wówczas obława pozwoliła rozbić sztab KP „Łuków" NZW[37].

W 1950 r. inny tajny agent umożliwił przeprowadzenie obławy we wsi Krysiaki, w wyniku której zginęło trzech ukrywających się tam żołnierzy „Roga" — Wacław Bugnacki „Tygrys", Stanisław Gleba oraz Czesław Trzciński. W 1952 r. ujęto kolejnych członków organizacji, kilku innych zostało zlikwidowanych.

Od tego czasu „Róg" starał się korzystać tylko z najbardziej wiarygodnych melin, w których przebywał w towarzystwie żony oraz szefa Pogotowia Akcji Specjalnej KP „Łuków" S. Waszkiewicza „Piskorza". „Piskorz" podobno od czasu potyczki w pobliżu leśniczówki Czaki wciąż wymagał intensywnej pomocy medycznej. Nie wiemy jednak, czy wyłącznie obawa przed całkowitą utratą wzroku była jedyną przyczyną jego postawy. 17 kwietnia 1952 r. Waszkiewicz opuścił schron „Roga" w gospodarstwie Stanisława Ruchały na kolonii Czerwone i zgłosił się na miejscowy posterunek MO. Na podstawie

[34] T. Frączek, op. cit., s. 460.
[35] Charakterystyka...
[36] Por. J. Kułak, *Aż do śmierci*, „Karta" nr 18, 1996, s. 31–32.
[37] Charakterystyka...

uzyskanych zeznań 18 kwietnia przeprowadzono operację mającą na celu pochwycenie Rogińskiego. Wiele wskazuje na to, że UBP szczególnie zależało na ujęciu żywego „Roga", nie przewidziano jednak determinacji partyzanta. Nie widząc możliwości ucieczki, Hieronim Rogiński popełnił samobójstwo. W ręce władz bezpieczeństwa wpadła tylko żona „Roga" — Henryka, którą wraz z ciałem męża przewieziono do Białegostoku[38].

Po śmierci H. Rogińskiego dowództwo nad resztą jego żołnierzy objął Marian Borys „Czarny". W konspiracji był od 1943 r. W marcu 1947 r. ujawnił się na mocy ustawy amnestyjnej w PUBP w Łomży, ale gdy podjęto próbę pozyskania go do współpracy z PUBP w Kolnie, Borys uciekł do lasu i wstąpił do NZW. Podobno cieszył się bezwzględnym zaufaniem „Roga", toteż bez większych trudności w 1952 r. podporządkował sobie 9 ukrywających się jeszcze osób[39].

Od lutego 1953 r. M. Borys podzielił oddział na dwie grupy, z których jedna (M. Borys, A. Góralczyk, NN) występowała w gminach Czerwone, Mały Płock, Lachowo i południowych gminach województwa olsztyńskiego. Druga grupa (S. Grajek, W. Sadłowski, NN) przebywała głównie w okolicach Turośli i Wiartla[40].

W 1953 r. kilku członków organizacji kierowanych przez „Czarnego" podjęło próbę zatrzymania autobusu koło wsi Rogienica (powiat kolneński). Zamierzano zarekwirować pieniądze przewożone do banku w Grajewie. Ponieważ jadący autobusem dwaj pracownicy UB z Kolna i jeden milicjant zaczęli się ostrzeliwać, również grupa „Czarnego" oddała kilka serii z broni maszynowej. Kilku pasażerów autobusu zginęło, wielu zostało rannych. Po tym wydarzeniu zorganizowano obławę obejmującą powiaty kolneński, łomżyński i grajewski. Po paru dniach we wsi Dudy Puszczańskie natrafiono na trzech uczestników napadu. Wszyscy trzej — Aleksander Góralczyk „Topór", Władysław Sadłowski „Twardy" i Stanisław Grajek „Mazur" zginęli[41].

W lecie 1954 r. przygotowano agenta ps. „Krzakowski", który niegdyś był znajomym Stefana Grelocha „Jastrzębia" ukrywającego się wraz z M. Borysem „Czarnym". Udając poszukiwanego, „Krzakowski" nawiązał kontakt z „Jastrzębiem" i „Czarnym". Podczas jednego ze spotkań z agentem, „Czarny" wpadł w przygotowaną zasadzkę i 12 sierpnia 1954 r. został zastrzelony w pobliżu wsi Zaskrodzie[42]. W grudniu tego roku został aresztowany „Jastrząb".

[38] Rel. D. Łazarczyka, J. Pielocha, J. Rogińskiej.

[39] Charakterystyka...; AUOP Białystok, Wykaz band grasujących na terenie województwa białostockiego na dzień 1 stycznia 1953 r., sygn. 39/92. Według wykazu grupa „Czarnego" składa się z 6 osób: M. Borys „Czarny", W. Sadłowski „Twardy", S. Grajek „Mazur", A. Góralczyk „Topór", R. Korwek „Orzech", S. Kownacki „Gołąb".

[40] AUOP Białystok, Sprawozdanie szefa Wydziału III WUBP Białystok za 1953 r., sygn. 39/92.

[41] Charakterystyka...; A. Omiljanowicz, *Zanikające echa*, Warszawa 1976, s. 481–485.

[42] Ibidem, s. 487; Charakterystyka...; Według D. Łazarczyka ktoś z Warszawy przyjeżdżał, aby namówić „Czarnego" do ujawnienia się, ale spotkał się z odmową. Kiedy w sierpniu 1954 r. M. Borys wpadł w zasadzkę UB, podobno zniszczył posiadane dokumenty i popełnił samobójstwo. Taka jest jedna z wersji jego śmierci. Rel. D. Łazarczyka.

Od tej pory ukrywał się jeszcze Romuald Korwek „Orzech". Dopiero w kwietniu 1956 r. na mocy amnestii prokuratura umożliwiła Korwkowi wyjście z podziemia przez umorzenie jego sprawy. Jednak Romuald Korwek wyszedł z ukrycia dopiero w 1960 r.[43]

Waldemar Brenda
Tadeusz Frączek

[43] Charakterystyka...

ZIEMIA PISKA W MOICH WSPOMNIENIACH

Moje pierwsze wspomnienia z Pisza i jego okolic sięgają 1948 roku. Byłam wtedy uczennicą Państwowego Liceum Pedagogicznego w Ełku. Odwiedziłam siostrę mieszkającą w Danowie w gm. Biała i wraz z nią wybrałyśmy się furmanką do Pisza na targ. Jarmark odbywał się w środku miasta, na placu przy ratuszu, gdzie obecnie są piękne trawniki i rosną kwiaty. Pamiętam tylko, że był to Pisz inny niż obecnie. Gruzy, kikuty spalonych budynków, ale życie już wrzało. W dużym sklepie towarowym, gdzie dziś znajdują się „Delikatesy", dokonałyśmy zakupów. Nie myślałam jeszcze wtedy, że mój los będzie związany z tą ziemią. Stało się to po śmierci ojca. Zmuszona byłam podjąć pracę i zaopiekować się chorą matką. Przerwałam naukę po ukończeniu III klasy liceum.

Znalezienie pracy na Ziemiach Odzyskanych w tamtym okresie było bardzo łatwe. W Wydziale Oświaty złożyłam potrzebne dokumenty i szybko otrzymałam zawiadomienie o zatrudnieniu w Głodowie za Wejsunami. Pojechałam zobaczyć tę placówkę. Dotarcie na miejsce nie było łatwe, ale po wielu trudach udało się. Mieszkałam wtedy w Żebrach, gm. Wąsosz w powiecie grajewskim. Do Rucianego przyjechałam pociągiem. Z Rucianego furmanką dostałam się do Wejsun, a stamtąd pieszo przez las, z duszą na ramieniu. W Głodowie po rozmowie z sołtysem i Mazurką, u której w domu mieściła się klasa szkolna, zrozumiałam, że to nie dla mnie miejsce. Wróciłam jeszcze tego samego dnia do Wydziału Oświaty w Piszu i zrezygnowana poprosiłam o zwrot dokumentów. Sekretarka zaczęła szukać moich papierów i wtedy wszedł pan Emanuel Bransteter, który był zastępcą inspektora. Poprosił mnie do swego gabinetu, porozmawiał ze mną o moich kłopotach i dał mi wykaz placówek, w których brak było nauczycieli. Były to szkoły o jednym nauczycielu, z klasami łączonymi. Wybrałam szkołę w Zdorach. Właściwie było mi wszystko jedno, byle nie w Głodowie i byle bliżej Pisza. Warto wspomnieć, że pan E. Bransteter został inspektorem. Przez wiele lat pomagał mi w pracy, służył pomocą i radą. Zawdzięczam mu bardzo wiele.

Pod koniec wakacji 1952 roku dostałam skierowanie do pracy w szkole w Zdorach. Zdory należą do gminy Pisz w woj. suwalskim. Jest to niewielka osada położona 12 km od Pisza, w której życie płynie od lat swoim ustalonym trybem. Położenie wsi nad brzegiem jeziora dodaje jej niezwykłego uroku. Na malowniczość położenia wpływa również zaznaczający się wyraźnie pas moren czołowych. Biegnie on na linii Zdory, Kwik, Szwejkowo. Tylko odległość jednego kilometra dzieli wieś od brzegów największego w Polsce jeziora — Śniardwy. Zdory otoczone są dużym kompleksem leśnym, który wraz

z jeziorami Śniardwy i Seksty należy obecnie do Mazurskiego Parku Krajobrazowego.

Szkoła w Zdorach zaczęła funkcjonować po wojnie 1 października 1946 roku. Pierwszym nauczycielem był Zygmunt Dyniewski. Z zachowanych dokumentów wynikało, że Z. Dyniewski urodził się 1 maja 1908 roku w Nowej Wilejce. Ukończył 7 klas szkoły gminnej starszego typu w Głębokiem. W kwietniu 1947 roku porzucił pracę bez wypowiedzenia. Szkołę i jej majątek przekazał sołtysowi Bronisławowi Kulisiowi. Tego majątku było niewiele: 1 tablica stojąca, 6 ławek czteroosobowych, 1 teczka z aktami szkoły i 5 książek.

Nowy nauczyciel przybył do Zdor dopiero w sierpniu 1947 roku. Był nim Kazimierz Rychliński, który pracował do czerwca 1950 roku. K. Rychliński urodził się 2 listopada 1915 roku w Warszawie. W jego aktach w rubryce wykształcenie znajduje się wpis: Wyższa Szkoła Budowy Maszyn. Na podstawie zachowanych dokumentów dowiadujemy się, że do szkoły uczęszczało w tym w czasie 29 dzieci do klas łączonych I–II i III–IV.

Od 1 września 1950 roku szkołę objęła pani Maria Serwatko z męża Mędrzyk. Przybyła z Kątów w powiecie kolneńskim. Nie posiadała wykształcenia pedagogicznego. W sierpniu 1952 roku M. Serwatko przekazała szkołę mnie — Jadwidze Rogińskiej z domu Bogusławska. Władze oświatowe w Piszu poinformowały mnie, że jest to jednoklasówka. Co oznaczało, że uczniowie będą pobierali naukę w zakresie klas I–IV. Wiedziałam, na czym polega łączenie klas i jaki tok lekcyjny trzeba zastosować. Miałam wtedy 18 lat i 3 klasy liceum pedagogicznego.

W tym czasie władze oświatowe zatrudniały na etatach nauczycieli, absolwentów ósmych klas po 6 tygodniowym kursie przygotowawczym. Mając już skierowanie do pracy wybrałam się, aby zapoznać się z przyszłym miejscem zatrudnienia. Obowiązkowy etat wynosił 38 godzin, a pensja 320 zł. Do pierwszych zarobionych pieniędzy matka dołożyła mi 20 zł i kupiłam ciepłe buty zimowe, tzw. zakopianki. Z Żebrów do Białej Piskiej przyjechałam furmanką. Z Białej Piskiej do Pisza pociągiem, z Pisza do Szczech Wielkich autobusem PKS. Do Zdor oddalonych od Szczech o 4 km doszłam pieszo, nie było wówczas żadnego środka lokomocji. Idąc polną drogą, gdy wychodziłam z lasu, zobaczyłam jezioro i ponad wzniesieniami czerwieniące się dachy domów. Byłam tro hę zaskoczona tym pięknym krajobrazem, wyglądał jak na pocztówce. Może to właśnie wtedy zrodziła się we mnie miłość do tej ziemi, gdzie pozostałam i spędzam nadal swoje życie.

Do Zdor doszłam szybko, nawet z niedowierzaniem, że to aż 4 km. Mijając kilka domów, zobaczyłam tabliczkę z napisem „Sołtys". Wstąpiłam do tego domu, a tu miłe zaskoczenie, poczułam się, jakbym tę rodzinę znała od lat. Poczęstowano mnie obiadem i już w rozmowie dowiedziałam się wielu rzeczy o szkole, dzieciach, nauczycielach i rodzicach. Marian Kuliś — sołtys, miał klucze do szkoły. Miał również gromadkę wspaniałych dzieci. Poszłam z dziećmi sołtysa obejrzeć szkołę. Budynek piękny, murowany z czerwonej cegły, przykryty dachówką. Wokół budynku dużo krzewów, ogrom chwastów, resztki połamanego drewnianego płotu. Przy szkole duże boisko, na którym

pasły się krowy i gęsi sąsiadów (brak ogrodzenia). Od frontu szkoły ogródek kwiatowy, zarośnięty trawą i chwastami. Weszłam do budynku i tu rozczarowałam się. W całym gmachu nie było ani jednej szyby. Zapytałam najstarszą Kulisiównę, jak się tu odbywała nauka w takich warunkach. Wyjaśniła mi, że to w czasie wakacji chłopcy tak zdemolowali szkołę. Ciarki przeszły mi po skórze ze strachu. Jak uczyć tych „chłopaków", czy podołam temu zadaniu? Od czego powinnam zacząć?

Myśli kłębiły mi się w głowie, ale coraz wyraźniej zarysowywał mi się ten piękny krajobraz, który podziwiałam idąc do Zdor. Nie wiadomo skąd dołączyły do nas inne dzieciaki i z całą gromadką obeszłam to pustkowie. Boże, widok okropny! Szkło z szyb walało się pod nogami, powywracane duże, czteroosobowe ławki, zniszczone książki. Zrozumiałam, dlaczego sołtys wykręcił się od towarzyszenia mi w zwiedzaniu szkoły. Obeszłam ten cały „śmietnik" i przeszłam na drugą stronę budynku, gdzie było mieszkanie dla nauczyciela. Tu uspokoiłam się nieco. Szyb w oknach co prawda nie było, drzwi od podwórka podparte drewnianą łopatą od wsuwania chleba do pieca, ale nie było tak dużo śmieci. Pokoje stały zupełnie puste. Ściany oklejone były starą i zniszczoną tapetą. Pod tapetą zagnieździło się tysiące pluskiew, z którymi w przyszłości przyszło mi toczyć straszne boje.

Z nietęgą miną zamknęłam to pobojowisko na klucz. Grupka upartych dzieciaków nie dała mi długo rozmyślać nad takim stanem budynku szkolnego. Dzieci dopytywały się, kiedy znów przyjadę, czy będę z nimi organizować przedstawienia, czy będziemy chodzić na wycieczki... Ach te dzieciaki, rozbroiły mnie zupełnie. Podjęłam decyzję: tak, zrobimy to, tylko najpierw doprowadzimy wszystko do porządku.

Z sołtysem domówiłam się, że za tydzień przyjadę, a on postara się o szklarza i wstawi szyby w mieszkaniu i jednej z klas. Po tygodniu szwagier przywiózł mnie furmanką. Nowe rozczarowanie: budynek szkoły w takim samym stanie jak tydzień wcześniej. Sołtys tego samego dnia sprowadził szklarza, który wstawił szyby w kuchni i jednym pokoju. Zjawiła się również woźna i kilkoro dzieci, pomogli mi w porządkach. Wieczorem w blasku lampy naftowej było widać efekty naszej pracy. Pierwszej nocy, mimo zmęczenia nie zmrużyłam oka. Całą noc nie czułam strachu, tylko rozmyślałam i snułam plany, jak postąpić i od czego zacząć.

W ciągu następnego dnia szklarz wstawił szyby w jednej z izb lekcyjnych. Z pomocą woźnej i dzieci zrobiłam porządek w klasie. Ławki stanęły w dwóch rzędach, pod główną ścianą tablica, a nad nią zawisło godło państwowe. Pomieszczenie nabrało wyglądu klasy szkolnej. Ktoś przyniósł kwiaty w doniczkach, ktoś zawiesił w oknach firaneczki, a na ścianach pojawiły się wycinanki kurpiowskie. Wieczorem od sołtysa przyniosłam książkę meldunkową, do której i moje nazwisko zostało niedawno wpisane. Na jej podstawie obliczyłam, że w Zdorach mieszkały 53 rodziny, z czego 18 rodzin mazurskich, a pozostałe 35 rodzin to Polacy przybyli w większości z powiatu kolneńskiego.

Po konferencji powiatowej kierowników szkół rozpoczęłam nabór dzieci do szkoły. Na podstawie znalezionych przeze mnie starych dzienników lekcyjnych obliczyłam uczniów w każdej klasie. Klasa I — 9, II — 12, III — 7, IV — 10.

1 września 1952 roku rozpoczęłam pracę. Liczba dzieci nie zgadzała się z moimi obliczeniami. Zapytałam dzieci o nieobecnych i usłyszałam odpowiedź: „Proszę pani, to Niemcy, oni nie chcą chodzić do polskiej szkoły". Dało mi to do myślenia: jak to Niemcy, a mają takie polskie nazwiska... Niektóre, jak Duda czy Świderska, pokrywały się z nazwiskami przybyłych tu Polaków. Postanowiłam działać. Wypisałam wszystkie nazwiska i sprawdziłam, w których rodzinach mazurskich są dzieci w wieku szkolnym. Właśnie wtedy pojawiła się u mnie stara Mazurka Ana Duda. To od niej dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy o ludziach mówiących mazurską gwarą. Ona czuła się Polką. Miała kilka książek pisanych po mazursku, drukowaną czcionką o kroju gotyckim. Do naszych czasów zachowało się bardzo niewiele pamiątek po dawniejszych gospodarzach tej ziemi, ale książki Any Dudy ocalały i można je podziwiać w Muzeum Ziemi Piskiej w Piszu.

Zaczęłam odwiedzać rodziny mazurskie, chcąc poznać dzieci i próbować przekonać rodziców, żeby zezwolili na naukę w szkole. Miałam takich dzieci pięcioro. Reszta miała ukończoną IV klasę i najczęściej była przerośnięta wiekiem. Trzeba nadmienić, że w tym czasie żadne dziecko ze Zdor nie ukończyło szkoły podstawowej i żadne nie uczęszczało do szkoły średniej. Jedynie najstarsza córka sołtysa kończyła VII klasę, mieszkając u rodziny w Kolnie.

Swoją wędrówkę do rodzin mazurskich rozpoczęłam od domu Hassego Millera. Chłopca wychowywała matka, a raczej babcia. Babka widząc mnie schowała się w głąb mieszkania, ale matka Hassego poprosiła mnie do środka. Rozmawiała po polsku. Dała mi słowo, że syn podejmie naukę w szkole, tylko teraz babcia nie chce go puścić, bo jest zła na Polaków. Jej syn ożenił się z nauczycielką, moją poprzedniczką. Matka dotrzymała słowa, po kilku dniach chłopiec pokazał się w szkole. Mówił dobrze po polsku i był dobrym uczniem. Matka często dowiadywała się o jego postępy w nauce i zachowaniu. Pierwsza moja wyprawa powiodła się i dodała mi otuchy do walki o następne dzieci.

Wybrałam się do Dorochów. Tu było aż troje dzieci w wieku szkolnym: Walter, Ditter i Berta. Matka sama wychowywała dzieci, ojciec zginął na wojnie. Pani Doroch była bardzo nieprzychylna Polakom. Pomyślałam: trudno, muszę iść, coś mnie tam pchało. Przy bramie wejściowej bawiła się dziewczynka, dziecko bardzo ładne, poznałam w niej Bertę. Odezwałam się do niej, ale ona zareagowała ucieczką do domu. Na schody wyszła jej matka i po niemiecku zapytała, po co przyszłam i czego tu szukam. Zrozumiałam ją, bo w czasie okupacji nauczyłam się trochę mówić po niemiecku, a rozumiałam prawie wszystko. Wiedziałam, że pani Doroch potrafi mówić po polsku, ale nie zdradza się z tym. Przedstawiłam się po polsku i powiedziałam, w jakiej sprawie przyszłam. Wtedy wykrzykując coraz głośniej mówiła, że jest Niemką, że nic nie rozumie, a jej dzieci nie będą chodziły do polskiej szkoły. Dzieci muszą zarabiać na życie i pasą krowy. Dobrze — powiedziałam — ale Berta może chodzić do szkoły, przecież bawi się zawsze na podwórku. Matka w odpowiedzi w dalszym ciągu wykrzykiwała, że jest Niemką i dzieci też są Niemcami. Krzyczała coraz głośniej, wymachując przy tym rękami i nacierała

na mnie, aż musiałam wycofać się za bramę. Takich wypraw przeprowadziłam pięć lub sześć. Wreszcie jesienią chłopcy skończyli wypasanie krów i udało mi się ściągnąć ich do szkoły. Prawda, że chodzili do szkoły tylko zimą, ale przez dwie zimy kończyli jedną klasę. Po roku ściągnęłam i Bertę. Dziewczynka nie rozumiała po polsku, mówiła tylko kilka słów i bardzo źle czuła się w szkole. Po roku przestała zupełnie uczęszczać do szkoły.

Muszę nadmienić, że cała trójka, jako dorośli ludzie ukończyli szkołę na kursach wieczorowych. Ditter ożenił się z polską dziewczyną za zgodą matki.

Moim kolejnym krokiem była wyprawa na kolonię, gdzie mieszkał Uli Losz. Tam nie mogłam iść sama, poprosiłam o towarzystwo panią Miller, matkę Hassego. Zgodziła się i wybrałyśmy się obie. Odległość od szkoły wynosiła prawie 2 km. Idąc już byłam zrezygnowana, gdy pomyślałam, że to dziecko samo będzie chodziło przez pola i las. Na pewno rodzice go nie puszczą. Gdy przybyłyśmy na miejsce, pani Miller nie chciała wejść do domu. Weszłam tam sama i przedstawiłam się. Matka udawała, że mnie nie rozumie, ale z pokoju wyszedł dorosły syn. Znałam go, bo widywałam na boisku szkolnym. Przyjeżdżał motorem i grał w piłkę. On też mnie poznał i zaczął rozmawiać łamaną polszczyzną. W czasie rozmowy zauważyłam głowę chłopca wyłaniającą się zza drzwi, pomyślałam, że to musi być Uli. Podeszłam do niego i zapytałam po niemiecku, czy chciałby chodzić do szkoły. Kupiłam całą rodzinę. Matka ożywiła się i oznajmiła mi, że dobrze, niech chodzi, bo w domu nie chce się uczyć, ale starszy syn wyjaśnił jej, że Uli uczyłby się po polsku. Wreszcie uzgodniliśmy, że Uli przyjdzie do szkoły, przywiezie go brat motocyklem. Chłopiec miał już 9 lat, ale wyglądał na 6. Babcia nauczyła go rozmawiać po mazursku, a rozumiał wszystko.

W poniedziałek o godz. 12^{00} pierwsza klasa rozpoczynała lekcje. Miałam wtedy ostatnią lekcję w kl. III–IV i cały czas nasłuchiwałam warkotu motoru. Jest Uli, przyszedł z bratem. Poprosiłam brata, że jeśli może, niech zostanie razem z Ulim. Chętnie został, ale tego dnia Uli nie powiedział nawet słowa. Później rozruszał się, poznał nowych kolegów. Do szkoły uczęszczał systematycznie, najczęściej odwoził go brat.

Nadeszła zima i dwa dni nie było Ulego, pomyślałam, to już koniec. Ale na trzeci dzień przywiózł go brat sankami i poprosił, żeby chłopiec po lekcjach mógł poczekać, to on po niego będzie przyjeżdżał. Po zajęciach zabierałam go do swego mieszkania, gdzie moja matka częstowała Ulego obiadem i często wciskała mu słodycze. Uli w czasie posiłków dużo z nami rozmawiał.

Do szkoły chodził do ostatniej chwili przed swoim wyjazdem do Niemiec. W ostatnim dniu, gdy jak zwykle brat przyjechał po niego i kazał mu się pożegnać z kolegami i ze mną, Uli znów nic nie powiedział, tylko przytulił się do mnie i płakał. Twarz tego małego chłopca jeszcze po 40 latach mam przed oczyma.

Pod koniec września 1952 roku odbywało się zebranie wiejskie w szkole. Na zebranie przyjechał sam przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej w Piszu, pan Żechałko. Zebrania nie mógł przeprowadzić, bo pod oknami młodzież, która ukończyła cztery klasy i nie miała obowiązku uczęszczać do szkoły, bębniła w kotły, gwizdała, stukała w okna. Najbliższa szkoła, w której

ci chłopcy mogliby kontynuować naukę, była w Trzonkach, oddalonych od Zdor o 5 km. Nie pomogły interwencje rodziców, hałas był nie do zniesienia. Wyjeżdżając ze szkoły, przewodniczący powiedział: „Dziecko, ty tu sobie nie poradzisz, zabieraj się i wyjeżdżaj". Ja nie mogłam stąd wyjechać. Sprowadziłam już matkę i powoli zaczęłam się urządzać. Pomyślałam, że można by dla starszej młodzieży zorganizować naukę w kl. V–VI i powiedziałam to panu Żechałce. Popatrzył na mnie i obiecał pomoc.

Po kilku dniach dostałam wezwanie do inspektora, żebym zgłosiła się z wykazem. Moja inicjatywa wydawała się słuszna i potrzebna, ale napotkała na podstawową trudność — brak nauczyciela. Wtedy nieśmiało zaproponowałam mu przejęcie tych najstarszych klas. Uzyskałam zezwolenie na prowadzenie nauki w kl. V–VI, ale za szkołę będą płacić rodzice. Ustalono opłatę 30 zł miesięcznie od dziecka. Szybko zabrałam się do pracy. Pomogli rodzice, wymalowali i urządzili drugą salę lekcyjną. Rozpoczęłam naukę, do klasy V–VI zgłosiło się 13 uczniów, ale dzieci mazurskie znów pozostały w domach. W tym okresie pracowałam cały dzień, nie miałam innych obowiązków.

Zaapelowałam do starszych uczniów, aby przyprowadzili ze sobą kolegów, którzy jeszcze nie zgłosili się do szkoły. Na mój apel zjawili się: Ela Tracyk, Lotta i Uli Stasik, a potem Gerard Kossak.

Ustalone 30 zł od osoby miesięcznie za naukę w praktyce nigdy do mnie nie trafiały. Wszystkim wtedy było bardzo ciężko, cały majątek wsi stanowiło kilka krów, owiec, koni i trochę sprzętu gospodarczego do uprawy ziemi. Nie potrafiłam nigdy upomnieć się o pieniądze.

Mój dzień pracy rozpoczynał się o godzinie 8^{00}, a kończył najczęściej o 19^{00} z godzinną przerwą na obiad, który przygotowywała mi matka. Młodzież z klasy V–VI była przerośnięta wiekiem, rozbrykana. Niektórzy już po 3 lata nie uczęszczali do szkoły. Ale byli jednocześnie wspaniali, kochani. Pamiętam wszystkich doskonale, ile razy wracałam z Pisza wieczorem i wysiadałam z autobusu w Szczechach, oni prawie wszyscy czekali na mnie, czasem furmanką, saniami lub pieszo. Większość z tej grupy ukończyła szkoły średnie i zdobyła zawody. Wspaniali byli również rodzice tych dzieci. Pan Zadroga z Kolonii, którego dwoje dzieci uczyłam, nigdy nie przeszedł koło szkoły obojętnie, zawsze zaszedł porozmawiać. Pan Szymański wraz z innymi rodzicami zawsze służył mi pomocą.

Moje obowiązki traktowałam bardzo poważnie. Ogromne poparcie miałam w mojej matce. To ona nad wszystkim czuwała i dzięki niej mogłam w pełni poświęcić się dzieciom. Wysokiej dyscypliny wymagałam od swoich uczniów. Nie było mowy o spóźnieniach zarówno z mojej jak i ze strony moich uczniów. Po sześciodniowym tygodniu pracy w niedzielę zbierałam wszystkich chętnych i pracowaliśmy w zespole artystycznym. Był to zespół estradowy, który miał w dorobku wiele spektakli. Pierwsze przedstawienia odbywały się w szkole, gdzie ustawiliśmy scenę i przy świetle lamp naftowych odbywały się widowiska. Zainteresowanie było tak duże, że sala nie mieściła wszystkich chętnych, a lampy naftowe gasły, mimo otwartych okien. Czasami to samo przedstawienie odgrywaliśmy kilka razy, bo oprócz mieszkańców Zdor przyjeżdżali zainteresowani z pobliskich miejscowości. W późniejszym okresie prze-

nieśliśmy się do wiejskiej świetlicy, która została wyremontowana dzięki panu Stanisławowi Łubkowskiemu. Popierał on naszą działalność i myślę, że przyczynił się bardzo do rozwoju kultury na wsi. Sukcesy zespołu zachęciły nas do wyjazdów na występy w sąsiednich miejscowościach. Odwiedziliśmy Trzonki, Stare Guty, Rostki, Nowe Guty.

Młodzież chętnie uczestniczyła w zajęciach zespołu, bo była to jedyna rozrywka na wsi. Po przedstawieniu była zawsze potańcówka przy jednoosobowej lub dwuosobowej „orkiestrze". W tamtych czasach nie było prądu elektrycznego, telewizji, a do rzadkości należało radio na słuchawki, zasilane bateriami.

Ludność wsi stanowiła jedną społeczność, pomagali sobie wzajemnie we wszystkim, przy żniwach, wykopkach, na dobre i na złe byli razem.

Już od 1 września 1953 roku został zatwierdzony projekt szkoły o 2 nauczycielach z kl. I–VI. Moją pierwszą współpracownicą była Irena Krupka, później z męża Łachacz, absolwentka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Łomży. W późniejszym okresie szkoła stała się pełną siedmioklasówką, a następnie po reformie w oświacie, ośmioklasówką. Wraz z podnoszeniem stopnia organizacyjnego szkoły zmieniał się wygląd budynku i obejścia szkoły i życie ludzi. Został przeprowadzony kapitalny remont budynku, założono instalację elektryczną, doprowadzono wodę, centralne ogrzewanie, wybudowano ubikacje, śmietnik itp... Cała posesja szkoły została ogrodzona solidnym ogrodzeniem. Kosztowało to wiele wysiłku nie tylko mojego, ale całego grona pedagogicznego i rodziców.

Mieszkańcy wsi stawali się powoli coraz zamożniejsi. Dzięki energii elektrycznej otwarły się nowe możliwości. Rolnicy posiadali już wiele maszyn rolniczych, ciągników itp. Praca stawała się przez to lżejsza. Zaczęto remontować i budować budynki gospodarcze, mieszkalne. Obecnie na 54 domy w Zdorach 22 jest nowych, wybudowanych od podstaw. Za przykładem szkoły w domach zaczęły pojawiać się centralne ogrzewanie, łazienki, doprowadzano wodę. Szkoła w Zdorach była i jest nadal inspiratorką nowych poczynań tutejszej społeczności. Od swoich początków, jak pamiętam, była głównym ośrodkiem życia kulturalnego i nie tylko. Do nauczycieli zwracali się ludzie z różnymi sprawami, pisaniem podania, a nawet, gdy ktoś zachorował, korzystano z apteczki szkolnej, przy szkole był zawsze punkt biblioteczny i każdy mógł tu wypożyczyć książkę lub jakieś czasopismo. W szkole znajdował się jedyny telefon. Nie było we wsi żadnych problemów, których nauczyciele nie pomogliby rozwiązać np.: budowa dróg, remizy itp.

Z perspektywy czasu patrzę na tę wieś i czasem nie wierzę, że to ta sama, do której przyszłam 42 lata temu. Ludzie bogatsi, kolorowe telewizory, samochody, ale bardziej zamknięci w sobie i nerwowi, pędzący za łatwym zyskiem. Młodzież ze Zdor po ukończeniu szkoły podstawowej z klasami łączonymi zdawała egzaminy i dostawała się do różnych typów szkół. Do wyjątków należeli ci, którzy zostali do pomocy rodzicom. To właśnie ze Zdor wykształciło się 12 nauczycieli, z których obecnie 4 pracuje w tutejszej szkole, wiele pielęgniarek, mechaników, wielu ukończyło studia wyższe. Część z nich pracuje na ziemi piskiej. Ci, którzy zostali do pomocy rodzicom, są dziś

wspaniałymi rolnikami — np. Kazimierz Chaberek, Jerzy Podsiad, Mirosław Zadroga, Stanisław Strzemiłowski, Wiesław Pardo, Jan Stachelek, Kazimierz Bałdyga i inni.

Po 35 latach pracy, najpierw jako nauczycielka, później jako dyrektorka placówki, 1 września 1987 roku przekazałam szkołę — chyba w najlepsze ręce — Mirosławie Zadrodze z domu Szymańskiej. Moja następczyni urodziła się w Zdorach, tu skończyła szkołę podstawową i po ukończeniu szkoły średniej powróciła do tej szkoły jako nauczycielka. Zdobyła zaocznie dyplom studiów wyższych z tytułem magistra.

Obecnie jestem już emerytką i nie mam zdrowia na działalność społeczną, ale obserwując pracę w szkole i życie moich wychowanków, jestem zadowolona. Mam teraz wiele czasu na rozmyślania i podsumowanie 42 lat mego życia w Zdorach. Moich Zdorach. Na pewno popełniłam wiele błędów, ale zawsze stawiałam w swojej pracy na pierwszym miejscu dobro dziecka i tego wymagałam od nauczycieli. Często zadaję sobie pytania: czy byłam i jestem szczęśliwa? Chyba tak, nie chciałabym niczego zmienić. Tutaj spędziłam swoją młodość, tu założyłam rodzinę, tu pracując zdobyłam zaocznie wykształcenie, poznałam wielu ciekawych ludzi. Ziemia ta jest i będzie do końca mego życia moją ziemią i jestem z niej dumna.

Jadwiga Rogińska

Wspomnienia Jadwigi Rogińskiej zostały nadesłane na konkurs pt. „Ziemia Piska w moich wspomnieniach" zorganizowanego w 1994 roku przez Miejsko-Gminną Bibliotekę Publiczną w Piszu.

WŚRÓD LASÓW I TRZĘSAWISK

Od Redakcji: Prezentowane wspomnienia Czesława Holuba stanowią obszerny fragment książki pt. „Wśród bagien, trzęsawisk i mgły", która w najbliższym czasie powinna ukazać się na rynku księgarskim. Poświęcona jest osobistym losom autora, który po wojnie zaangażowany był w działalność konspiracyjną na Ziemiach Odzyskanych. Zagrożony aresztowaniem w 1946 r. przeniósł się na Mazury, gdzie uczestniczył w tworzeniu Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość".

ZNÓW W DRODZE

Opuszczając Szczecin, umówiliśmy się z Józkiem, że spotkamy się we Wrocławiu, on pojechał tam bezpośrednio, ja zaś zatrzymałem się w Stargardzie. Z dworca wyszedłem bocznym wyjściem i poszedłem do znajomych mieszkających przy ul. Limanowskiego. Do swego mieszkania wejść nie mogłem, bo wiedziałem, że jest pod ciągłą obserwacją. Chciałem w Stargardzie sprawdzić, czy nie było łączniczki z Obszaru. Niestety, od końca stycznia nie było żadnych kontaktów. Trzeba było radzić sobie samemu. Drogą pozaorganizacyjną od pana Jelenia, który w czasie wojny był dowódcą oddziału partyzanckiego w Lubelskiem, dostałem kontakt na operujący pomiędzy Chełmem a Lublinem oddział „Uskoka"[1]. Proponowano mi przerzut via Gdynia statkiem do Szwecji, a więc pojechałem do Gdyni, chociaż zbytniej ochoty gdziekolwiek wybywać poza kraj nie miałem. Ciągle, naiwnie tak jak spora część rodaków, liczyłem na szybką zmianę sytuacji w kraju.

Pojechałem więc do Gdyni, może nie tyle, by rozpoznać możliwości wyjazdu, lecz by zobaczyć morze. Kręciłem się już przecież kawał czasu po Pomorzu, ale do samego morza wciąż było daleko. Moim kontaktem na Szwecję był zawiadowca stacji Gdynia. Bardzo sympatyczny i mocno zaangażowany facet. Proponował, bym się u niego zatrzymał, bo możliwość zaokrętowania się przewiduje za dwa tygodnie. Podziękowałem mu ślicznie, powiedziałem, iż muszę się jeszcze rozejrzeć. Poszedłem na ulicę Węglową, gdzie teraz mieszkała moja koleżanka z najmłodszych lat dziecięcych Halina Kluszczyńska. Właśnie ona zaprowadziła mnie w rejon Kamiennej Góry, skąd po raz pierwszy zobaczyłem gładką tego dnia i iskrzącą się w blasku słońca, sięgającą nieboskłonu przestrzeń wody. Po drodze opowiadała mi o strajku szkolnym. O sobie nic jej nie mówiłem, ale chyba intuicyjnie wyczuwała, że

[1] Por. „Uskok" — Zdzisław Broński zginął 21 maja 1949 roku.

legalny to na pewno nie jestem. A może doszły ją jakieś wieści ze Stargardu? — Jeśli będziesz miał adres, to napisz do mnie — powiedziała na pożegnanie. Obiecałem, chociaż miałem poważne wątpliwości co do spełnienia obietnicy.

We Wrocławiu zatrzymałem się tylko kilka dni i już we dwóch na dachu wagonu ruszyliśmy do Lublina, a stamtąd do Mieńkowic.

Na kontakcie przyjęto nas bez zdziwienia, ale i bez entuzjazmu, bo okazało się, że chwilowo kontaktu z oddziałem „Uskoka" nie ma, za to w całej okolicy UB, milicja i KBW szaleją, przeprowadzając rewizje, aresztowania, śledztwa i sądy doraźne.

Czekaliśmy ponad dziesięć dni, aż przyjechał ktoś z Okręgu WiN z Lublina i dostaliśmy skierowanie na drugi kraniec Polski — do Olsztyna. Na bilet do Warszawy to nam starczyło, a tam miał ktoś na nas czekać i oczywiście nie czekał. Więc o suchych pyskach, burczących brzuchach i na gapę ruszyliśmy na północ. Okazało się, że Olsztyn był tylko etapem, po kilku dniach ruszyliśmy do Korsz z formalnym skierowaniem do pracy na PKP. Zatrudniono nas bez zbytnich korowodów, dostaliśmy skromne i czyste, chociaż bez jednego najdrobniejszego sprzętu, czy chociażby przysłowiowego gwoździa w ścianie, jednopokojowe mieszkanie i talony do stołówki kolejowej. Tegoż jeszcze dnia wypadła nam służba, pracowaliśmy jako spinacze wagonów. Praca nie była ciężka ani nudna. Chodziliśmy wzdłuż torów, spisywaliśmy cechy i numery wagonów przejeżdżających transportów towarowych na specjalnych blankietach. Nie bardzo do dzisiaj wiem, komu to i po jaką cholerę było potrzebne.

Po drugim dyżurze, gdy wracaliśmy do domu przez peron, nos w nos nadzialiśmy się na faceta ze Stargardu, który jak nam było wiadomo, był ubowskim szpiclem. Poznał nas.

— Cześć, chłopaki! Myślałem, że spotkało was coś złego i tak się cieszę, że was zdrowych widzę. Uśmiechał się nieszczerze. Nie wiem, jak dla niego skończyłoby się to spotkanie, gdybyśmy mieli spluwy. Byliśmy w Korszach spaleni.

Kolejny kontakt na stację w Czerwonce. Tu zamieszkaliśmy w obszernym bloku kolejowym z trzema chłopakami z krakowskiego oddziału partyzanckiego „Żelbet" Kazika Machowicza, którego nie wiem czemu nazywano „Menelikiem", Tadkiem, Stankiem i Zbyszkiem Nawrockimi. Pierwsi dwaj byli mocno zaangażowani w pracy konspiracyjnej. Nie pamiętam, jaką funkcję w organizacji w pracy konspiracyjnej pełnił Stanek, bo Machowicz był zastępcą prezesa Obwodu Olsztyn, kryptonim „Olgierd". Wszyscy trzej pracowali w „Grupie Straży Ochrony Kolei", której komendantem był Nawrocki, zresztą znaczna część strażników kolejowych w rejonie Olsztyna rekrutowała się z żołnierzy AK.

Tu rozpoczęliśmy prace w dziale teletechnicznym, budując pod nadzorem majstra linię telefoniczną Czerwonka – Biskupiec, bądź doraźnie naprawiając uszkodzenia sieci w innych kierunkach. Z godnych odnotowania, oprócz ślubu Tadka Stanka i jego odejściem z naszego „kołchozu", zapamiętałem jedno bardzo przykre zdarzenie. Kiedyś o zapadającym już zmierzchu Zbyszek Nawrocki prosił mnie, bym mu towarzyszył do mostu kolejowego oddalonego w kierunku Olsztyna o około 2 kilometrów od stacji. Czas był niespokojny,

ponoć po lasach włóczyli się jeszcze esesmani z rozbitych oddziałów czy też Werwolf. Wolał więc Zbyszek, bym poszedł z nim na kontrolę posterunku przy moście. Wzięliśmy z posterunku stacyjnego pistolety maszynowe i poszliśmy podnoszącym się nasypem w stronę mostu. Przy moście wszystko było w należytym porządku, więc ruszyliśmy w gęstniejącym już zmroku z powrotem. Zbyszek szedł po jednej stronie toru, ja po drugiej. Musieliśmy zaraz po odejściu od mostu odsunąć się od toru, bo z kierunku wschodniego przejeżdżał pociąg towarowy zwany „wiertuszką", którymi Sowieci wywozili wszystko co tylko udało się im zarówno w Niemczech jak i w Polsce zrabować. Po przejściu pociągu ruszyliśmy dalej. Uszliśmy może z dwieście metrów. Patrzę: na zboczu nasypu coś, a raczej ktoś, leży. Diabli wiedzą, co to może znaczyć. Syknąłem na Zbyszka i pokazuję ręką kierunek. Przeszedł na moją stronę toru. Patrzymy obaj, ale jest już prawie ciemno i odległość spora. Trudno dokładnie się rozpoznać. Pokazuję na migi, by mnie ubezpieczał. Obaj odbezpieczamy broń i ja idę w stronę tego czegoś. Tak, to leży człowiek. Ale zupełnie nagi. Jeszcze parę kroków i już widzę wyraźnie, że to kobieta. Ręką przywołuję Zbyszka. Całe ciało podrapane, brudne, pokrwawione, ale puls wyraźnie wyczuwalny. Nie ulega dla nas wątpliwości, że została wyrzucona z pociągu, który przed kilkoma minutami nas mijał. Owijamy ciało w płaszcz Zbyszka i niesiemy.

Dopiero w domu, przy świetle widać było, w jak strasznym stanie jest ta młodziutka dziewczyna. Oprócz potłuczeń i otarć skóry wynikłych z upadku i zsunięcia się z nasypu, szyja, piersi, ramiona podrapane, pogryzione i posiniaczone, a krocze stanowiło krwawiącą ranę. Obmyliśmy nieszczęśliwą, najdelikatniej jak potrafiliśmy, owinęliśmy czystym prześcieradłem i na zmianę czuwaliśmy przy nieprzytomnej, a nazajutrz Kazik przywiózł z Olsztyna lekarza. Chyba na drugi dzień dziewczyna zaczęła odzyskiwać przytomność tylko, że była na przemian to otępiała, to znów dzika, ale i to po mału zaczęło mijać. Po tygodniu zaczęła wstawać, a po dwóch pomału zaczęła zajmować się naszym kawalerskim gospodarstwem. Na imię miała Helga, była Mazurką spod Tylży, czyli po sowieckiej stronie granicy. Wracała skądś i stała przy zamkniętym szlabanie kolejowym, a po torach wolniutko jechał pociąg. Nagle, jak nam opowiadała z wagonu wyskoczyło kilku sowieckich żołnierzy i nim zorientowała się, była już w wagonie. Nie wiedziała, ilu ich było. Gwałcili ją jeden po drugim, potem straciła przytomność i teraz my opowiadaliśmy, jak się tu u nas znalazła. Wiele lat po tym dowiedziałem się, że wyjechała do Niemiec, gdzie odnalazła dalszą rodzinę.

Po miesiącu „kołchoz" się rozpadł. Kazik z Taśkiem wyjechali do Olsztyna, Helga podjęła pracę w bufecie kolejowym, a my dostaliśmy rozkaz udania się do Mrągowa, gdzie dostaniemy dalsze instrukcje. Zupełnie nieoficjalnie dowiedzieliśmy się od „Menelika", że mamy być skierowani do oddziału partyzanckiego gdzieś na Kurpie.

Na drugi dzień meldowaliśmy się u prezesa obwodu Mrągowo kryptonim „Waleria" por. „Wira" — Czesława Bachmury.

Następnego dnia dostaliśmy na drogę po 500 złotych i chyba po 2 paczki

Cameli[2] i dalszy kontakt. Mieliśmy dotrzeć do Rucianego i zgłosić się do nadleśniczego Orbika z idiotycznym hasłem: „Przyjechaliśmy na grzyby". Odzew też był jakiś „grzybowy". Płacąc po 250 złotych, pocztowym samochodem dojechaliśmy na miejsce. Spotkał nas mały garbusek, ale wielki duchem stary konspirator Stefan Orbik. Tu okazało się, że na dzisiaj jeszcze nie koniec wędrówki. Odesłał nas na nocleg do leśniczówki Nida, oddalonej o około dwa kilometry. Tu nareszcie mogliśmy się porządnie umyć pod studnią, najeść do syta i spędzić resztę dnia i noc, leniuchując na pachnącym sianie.

Nazajutrz raniutko w dalszą drogę, na południe przez Puszczę Piską, około 38 kilometrów do wsi Warmiak na Kurpiach. Droga była daleka, ale przyjemna. Z dokładnie wyrysowanym szkicem szliśmy duktami i leśnymi drogami wśród starodrzewu z gęstym poszyciem, omijając zamieszkałe miejscowości, które przeważnie znajdowały się nad brzegami jezior.

Późnym popołudniem otarliśmy się o jakąś wieś, a że byliśmy już porządnie zmachani, poprosiliśmy stojącego w obejściu gospodarza o wodę. Zamiast wody wyniósł nam z domu zimnego mleka.

— Dokąd to Bóg prowadzi? — zagadnął gospodarz.

Chociaż dobrze mu z oczu patrzyło, nie chcieliśmy ujawniać celu naszej wędrówki. Powiedzieliśmy, że idziemy do Myszyńca, który, jak wiedzieliśmy, znajdował się na tym samym kierunku.

— To panowie musita iść na Warmiak i Zalas — poinformował usłużnie. Podziękowaliśmy za mleko i poszliśmy dalej. Za godzinę dobiliśmy do miejsca przeznaczenia oznaczonego na otrzymanym w Nidzie szkicu. Gospodarstwo graniczyło z lasem, na skraju którego został Józek, a ja wszedłem na podwórze. Na spotkanie wyszedł młody mężczyzna. Upewniwszy się, że ta wieś nazywa się Warmiak, a gospodarstwo należy do tego, którego nazwisko nam podano, wymieniłem hasło, lecz zamiast odzewu usłyszałem:

— Miało was być dwóch. Co się z tamtym drugim stało? — Zapytał podejrzliwie, jak gdyby posądzając mnie, że po drodze ukatrupiłem kolegę. — Jest, tylko czeka na skraju lasu. Bo bardzo się zmachał.

— To niech go zawoła. Poczekata tu, aż ktoś po was przyjdzie.

Siedliśmy na jakiejś belce, ale czekać nam zbytnio nie pozwolono. Rowerami przyjechało trzech facetów w mundurach. Pierwszy niewysoki, szczupły, szatyn lat około trzydziestu podszedł do nas: — Jestem „Leszek"[3] ,dowódca oddziału.

Nawet nie czekając byśmy się regulaminowo zameldowali, wyciągnął rękę na powitanie i roześmiał się:

— Już o waszym zbliżaniu się zameldowano mi, że idzie dwóch „bezpieczniaków". Rowerem, wyprzedził was ten, co częstował mlekiem.

Podeszło pozostałych dwóch. Pierwszy starszy już człowiek o szerokiej twarzy kresowego wieśniaka „Leszek" przedstawił ich: — Sierżant „Zawieja". Szef oddziału, a ten młody, ale stary partyzant to kapral „Burza"[4].

[2] Camel — marka amerykańskich papierosów.

[3] Por. „Leszek" — Jan Babicz zginął w 1948 roku.

[4] Kpr. „Burza" był synem sierżanta „Zawei". Nazwiska nieznane w okresie okupacji, walczyli w oddziałach AK w Nowogródczyźnie. Zginęli w 1948 roku.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Porozmawialiśmy z godzinę. „Leszek" chciał wiedzieć, gdzie walczyliśmy za okupacji niemieckiej i teraz oraz jaka była droga do jego oddziału. Myśmy dowiedzieli się, że oddział kwateruje rozproszony na terenie wsi Warmiak, Łączki i Dudy a zbiera się tylko na akcję. Widząc nasze zdziwienie, dowódca wyjaśnił:

— Widzicie, tu wszyscy należą do organizacji, chociaż nie wszyscy do WiN-u, bo sporo należy do NSZ. Wszyscy w zasadzie mają broń. Tutaj bezpieka, jeśli miałaby zawitać, to pod osłoną co najmniej kompanii „wasilaków"[5], a taka grupa nie zjawi się niepostrzeżenie. I nie tylko my, ale wszyscy zabierają swoje żelaza i wyrywają w krzaki.

„Burza" odprowadził nas na kolonię wsi Zalas, na kwaterę do gospodarza o nazwisku Bastek. Przyjęto nas bardzo gościnnie. Siedzieliśmy na ławce z gospodarzem i „Burzą", a gdy kolacja była już gotowa, młoda gospodyni zaprosiła nas bardzo uprzejmie do stołu:

— Panozie, chodźta wpsierdalać, bo stygnie!

Wiele nas kosztowało, by nie ryknąć śmiechem, a gospodarz przyglądał się nam baranim wzrokiem, czemu wykrzywiamy gęby.

Nazajutrz zaraz po śniadaniu, wparował do pokoju jakiś młody przystojniak w bryczesach, długich butach i bez zbytnich wstępów zaczyna nas wypytywać, jak się nam podoba „Leszek", czy mamy broń, itp. Popatrzyliśmy na siebie z Józkiem i pocichutku wyciągnęliśmy gnaty zza pasków. Wreszcie się chłopak zorientował, że patrzymy nań jak wilki na owcę i przedstawia się:

— Jestem „Kot"[6].

A Józek na to:

— Kot czy pies, podnieś łapy do góry, bo cię podziurawimy! I wyciągamy zza stołu.

— Koledzy ja też jestem od „Leszka". Kwateruję obok.

Ale Józek, już wyciąga mu z tylnej kieszeni Waltera P-38. Sprawę wyjaśnił nasz gospodarz, zaświadczając, że istotnie jest to żołnierz z oddziału porucznika „Leszka". Oddaliśmy mu pistolet.

— Przepraszamy cię, kolego — mówię — ale jak będziesz robił takie eksperymenty „na wyczucie", to długo nie pożyjesz. Potem ile razy spotykaliśmy się z „Kotem", śmialiśmy się z tego. W kilka dni po tym na zarządzonej zbiórce oddziału „Leszek" poinformował żołnierzy, że otrzymał z okręgu rozkaz o stopniowym rozformowaniu.

Ale jeszcze jest do załatwienia zaległa sprawa, która zakończy naszą działalność bojową. Zachodziliśmy w głowę, co to będzie, ale nawet „Zawieja" albo nie wiedział, albo trzymał mocno język za zębami. Jeszcze tego wieczoru ruszyliśmy całym oddziałem liczącym wtedy 32 ludzi. Na pierwszym postoju, już w lasach Puszczy Piskiej, dowódca ujawnił cel naszego wypadu. Mieliśmy zaatakować i rozbić posterunek milicji w miasteczku Ukta, który był nie tyle posterunkiem milicji co wysuniętą ekspozyturą Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Przeszliśmy tor kolejowy Szczytno–Ruciane–Pisz i zapadliśmy na dniówkę nad niewielkim jeziorem Skarb. O zmroku odprawa i wyznaczenie

[5] „Wasilaki" — tak nazywano żołnierzy wywodzących się z pierwszej armii formowanej w ZSRR przy współudziale W. Wasilewskiej.

[6] „Kot" — Tadeusz Kiciński.

zadań. Grupa, do której zostałem przydzielony, w liczbie siedmiu ludzi z dwoma elkaemami miała za zadanie blokowanie dróg od strony Rucianego i Wojnowa. Stanowisko nasze to rozwidlenie dróg, 500 metrów od mostu do Ukty nad rzeką Krutynią. Dziewięć kilometrów, które dzieliło nas od miejsca naszej dniówki nad jeziorem, przeszliśmy w ciągu dwóch godzin, omijając wszystkie zamieszkałe miejsca. Myśmy zalegli na swych stanowiskach, a reszta oddziału przeprawiła się kilkaset metrów w prawo od mostu na Krutyni jakimiś łodziami rybackimi czy sportowymi. Przez dłuższy czas w miasteczku panowała niezwykła cisza, nawet nie słychać było poszczekiwania psów, tego przekleństwa nocnych partyzanckich przemarszów. Nagle jak na komendę rozjazgotała się broń maszynowa. Wiedzieliśmy, że to nie nasi strzelają bo z trzech karabinów maszynowych zabranych na akcję dwa pozostały przy nas, a tam dudniło co najmniej pięć, a za chwilę dołączył charakterystyczny stukot cekaemów systemu Maksim. Potem na niebie pojawiły się rakiety sygnalizacyjne. Strzały jednak nie przybliżały się w naszą stronę, gdzie był przewidywany odskok grup uderzeniowych. Zaczęliśmy się już denerwować:

— Czy oni zbzikowali i rozpoczęli frontalny atak na broniony wielkimi siłami posterunek?

Wtem od strony mostu usłyszeliśmy jakieś głosy i nagle długie serie z kilku naraz pistoletów maszynowych. Chwila ciszy i tupot po moście, niezbyt głośne okrzyki biegnących w naszą stronę: „Niemen". „Niemen" — odkrzyknęliśmy odzew. To wracali nasi, a w mieście jeszcze huczały strzały i teraz jak gdyby w kilku jego punktach.

Zmieniając pierwotnie zakładamy kierunek odskoku, poszliśmy na północny wschód. Prowadził nas jakiś chłopak, który naprawdę dobrze znał te strony. Gdzieś po drodze straż przednia przyhaczyła dwóch straszliwie spietranych milicjantów. Bali się, że zostaną rozwaleni, prowadziliśmy ich ze sobą kawałek, ale gdy mieliśmy ostro skręcić na południe, komendant kazał iść im do domu, rzekomo dlatego, że nie wytrzymają marszu przez bagna — wszyscy wiedzieli, iż rozległe bagna są w kierunku na Mikołajki. Od nich dowiedziano się, że dzień przed naszym uderzeniem na Uktę zarządzono tam ostre pogotowie, ściągnięto kompanię KBW ze Szczytna i tzw. „szturmówkę" czyli kompanię operacyjną UB z Olsztyna. Uderzenia jednak spodziewali się od zachodu i z tamtej strony zorganizowano liczne zasadzki. Sam posterunek umocniono, okna założono workami z piaskiem, a wkoło budynku rozciągnięto zasieki z drutu kolczastego. Czemu ci dwaj znaleźli się od strony wschodniej, nie pamiętam, a może nawet nie pytano ich o to. Jedno nie ulegało dla nikogo wątpliwości, że była to zdrada i dostarczona bezpiece informacja pochodziła od kogoś dobrze zorientowanego. Na pierwszym postoju chłopcy opowiadali, jak było w Ukcie. Po przepłynięciu łodziami przez rzekę i wejściu do miasteczka od razu zorientowali się, że coś jest tu nie tak jak powinno. To był jeszcze wieczór a już nie dostrzegli w żadnym oknie najmniejszego światełka, wszystkie okiennice były pozamykane. Zbliżali się bardzo ostrożnie do posterunku. Byli już zupełnie niedaleko, gdy ktoś z przeciwnej strony krzyknął:

— Idą! Idą! — I wygarnął z automatu na oślep.

I wtedy z posterunku i dachów okalających domów rozpętała się strzelanina. W takich warunkach nie było na co czekać, ruszyli prosto w stronę mostu. Gdy byli już blisko mostu, krzyknięto:

— Kto idzie? — Na środku drogi widać było trzy czy cztery postacie.

— Wojsko! — Odkrzyknęli nasi. — A wy kto?

— Resort — padła odpowiedź i postacie zaczęły się zbliżać.

Nasi już bez komendy wygarnęli do nich z kilku luf, dziurawiąc na przysłowiowe sita. Potem przebiegli most no i spotkali się z nami. Mimo takiej kanonady, z naszej strony nikt nie był nawet draśnięty.

Przeszliśmy przez jakąś dość szeroką rzekę czy przesmyk pomiędzy jeziorami, po wąskim mostku a może śluzie, i znów skręciliśmy nieco na północ mając po prawej stronie jakąś wodę. Doszliśmy do drogi i ostro skręciliśmy na prawo. Po czterech kilometrach ostrego marszu ubezpieczenie dostało ogień od czoła. Tylko, że strzelano na środek drogi, a zawsze jak byłem w lesie chodziło się dwiema kolumnami gęsiego po obu stronach drogi. Ogień był prowadzony z małej odległości, 10–15 metrów, więc zgaszono go kilkoma granatami. Nie wiem, czy i jakie ubowcy w tym spotkaniu ponieśli straty, najważniejsze, że droga była wolna i teraz już bez przeszkód przeszliśmy drogę Ruciane–Pisz, a po kilometrze biegnący równolegle z drogą tor kolejowy. Słyszeliśmy warkot samochodów, a następnie gwar wysypujących się z nich ludzi — to szedł za nami pościg. Skręciliśmy ostro w lewo, ale tym razem nie dali się ubowcy wykołować i ze dwa razy próbowali na przecinających las duktach zablokować nas ogniem. Tylko, że my o minuty byliśmy szybsi. Wreszcie dobiegł nas warkot samochodów z przodu, gdzie była widoczna jakaś droga. Znów ostry skręt, niemal o 180 stopni, przebiegamy jakąś drogę, którą jak wynikało z głębokich kolein, bardzo niedawno przejeżdżały liczne samochody.

Posuwaliśmy się szybkim marszem, chcąc zgubić prześladowców, minęliśmy leśniczówkę i zapadliśmy w gęstym lesie tuż koło drogi do wsi Kowalik leżącej niemal naprzeciw, położonej na przeciwległym brzegu Nidy. Byliśmy już mocno zmachani, zwłaszcza, że od kilku dni panowały silne upały i w gęstym sosnowym lesie było bardzo gorąco i duszno. Nie wiem, czy minęło więcej jak pół godziny, gdy na drogę, która biegła o kilka metrów od naszego biwaku, weszła najpierw szpica, a następnie ubecka „szturmówka" — co najmniej wzmocniony pluton. Widać, że byli zmachani, prawie jak my. Mieliśmy nadzieję, że miną nas nie zauważając. Niestety pies, którego prowadzili na smyczy, skoczył z ujadaniem w naszą stronę. No i zaczęło się. Dzieliła nas leśna droga. Zarówno na naszym zapleczu jak i ubeckim były strome wzniesienia, na które wspinać się, wycofując pod ogniem, byłoby prawie samobójstwem. Na razie obie strony przypadły do „matki ziemi" i wydychały zmęczenie. Nagle na zakręcie drogi zazieleniło się — to nadchodziło wojsko, lecz zamiast nas zachodzić od tyłu i wtedy nie powinna była z nas ujść żywa noga, żołnierze zatrzymali się na drodze, a potem wolno, rojem zaczęli się posuwać, jak gdyby chcieli wejść pomiędzy nas i ubowców i rozdzielić. W tym czasie mimo ostrzału wzgórza, nieco przez nas przyduszonego bombardowaniem ubowców granatami, udało się na naszym zapleczu, na szczycie umieścić elkaem. Przeciwnicy widocznie uznali, że pod opieką zbliżającego się wojska nic im nie grozi z naszej strony i zerwali się do ataku krzycząc:

— Poddajcie się, bandyci!

No i dostali za swoje. Ci, którzy wyskoczyli na drogę, zostali po prostu skoszeni przez ustawiony wyżej elkaem. W ruch poszły ostatnie już granaty i gęsto ostrzeliwując się, w biegu wdrapaliśmy się na zbocze. Wojsko stało na drodze nie dalej jak 200 metrów, zdezorientowane, bo myśmy podobnie jak ubowcy byli w zielonych mundurach. Znów prawie biegiem zrobiliśmy pętlę i po godzinie zapadliśmy w nadbrzeżnych szuwarach. No, gdyby tu nas wytropili, to czarna mogiła. Ale to chyba pies prowadził ich naszym tropem, bo gdy go nie stało, pociągnęli na południe. Nocą przeprawiono nas łodziami przez Jezioro Nidzkie i już bez przeszkód doczłapaliśmy do swoich kwater. Nie bardzo wiem, jak to możliwe, że mimo tylu starć i takiej masy wystrzelonych pocisków nikt z nas porządnie nie oberwał. Było kilka draśnięć, stłuczeń i zadrapań. Ale to pestka.

To w zasadzie była ostatnia akcja oddziału por. „Leszka". Co dzień odchodziło po kilku ludzi z pozamiejscowych, a tutejsi rozeszli się po prostu do domów. Jeszcze ponad dwa tygodnie byliśmy na Kurpiach u tych serdecznych ludzi, którzy w każdej potrzebie nie żałowali krwi dla sprawy.

W pierwszych dniach po zakwaterowaniu w Łączkach u Bastka, którego gospodarstwo z dwóch stron otaczał las, wracając na kwaterę, zauważyliśmy rosnące we wrzosie prawdziwki. Obaj z Józkiem przynieśliśmy po kilkanaście dorodnych, zdrowych sztuk, z dumą wręczając je gospodyni. Nie zrobiło to jednak na niej żadnego wrażenia. Zapytała tylko:

— To lubita panowie grzyby?

— Oczywiście! — odpowiedzieliśmy twierdząco. Jeszcze tego samego dnia na obiad były grzyby w śmietanie, na kolacje też. Zjedliśmy z apetytem, ale gdy w następne dni prawie jednakowo przyrządzane były na śniadanie, obiad i kolację, staraliśmy się gospodyni wytłumaczyć, że owszem grzyby bardzo lubimy, ale nie tak często. Ale ona tak jakby tego nie słyszała. Kiedyś przyszedł na naszą kwaterę „Leszek", trafił na obiad i oczywiście — grzyby w śmietanie!

— O jakie wspaniałe żarcie! — zakrzyknął.

— Cholera by je wzięła, te wspaniałości. Jemy to na okrągło chyba od dziesięciu dni!

Dopiero interwencja „Leszka" doprowadziła do zmiany jadłospisu.

Z całego oddziału zostało nas tylko pięciu: „Leszek", „Zawieja", „Burza", „Józek", który zmienił pseudonim na „Dzielny" i ja, bo „Kota" też już komendant gdzieś wysłał.

Wreszcie któregoś popołudnia zupełnie niespodziewanie zjawił się na naszej kwaterze porucznik „Leszek".

— No, chłopcy, musimy się dzisiaj pożegnać. Dostałem rozkaz, by przekazać was do dyspozycji podinspektora „Olgierda". Do Nidy przeprowadzi was przewodnik, a tam dostaniecie dalsze dyspozycje.

Trochę nas zdziwiło, że raptem robią sobie z nami takie nabożeństwo

i wysyłają z przewodnikiem podczas gdy pierwszy raz w tych stronach wędrowaliśmy sami. Okazało się, że w związku z pojawieniem się olsztyńskich oddziałów[7] (V Wileńskiej Brygady mjr. „Łupaszki"[8], którym przypisują lanie, które dostali pod Kowalikiem, Puszcza Piska przeczesywana jest przez oddziały KBW[9]. Przyznam się, że trochę szkoda było nam opuszczać Kurpie, nikt nas o zdanie nie pytał. Taki był rozkaz i kropka!

Całe mienie powsadzaliśmy do chlebaków, pistolety wetknęliśmy za paski i byliśmy gotowi.

W MATNI

Na punkcie kontaktowym w Nidzie, u Orbika czekał na nas przydział. Mieliśmy dotrzeć do wsi Siomki w gminie Sorkwity, tam się zakwaterować i czekać na dalsze rozkazy. Do Mrągowa dojechaliśmy okazją, a dalej to już na własnych nogach. Bez pudła trafiliśmy do dużego gospodarstwa położonego na skraju wsi, którego właścicielem był były komendant placówki AK ze wsi Dudy na Kurpiach. Nazywał się Zapert. Zostaliśmy serdecznie powitani, nakarmieni, przydzielono nam wygodny pokoik na poddaszu. Czekała też karteczka z poleceniem od prezesa Obwodu „Wira", bym nazajutrz zameldował się u niego w Mrągowie. Czekały na mnie tam aż dwie nominacje: jedna podpisana przez mjr. „Wira" na jego zastępcę, a druga parafowana przez podinspektora mjr. „Juna" z nominacją na szefa Kedywu na Podinspektorat Olsztyński z prawem samodzielnych decyzji. Zwłaszcza to ostatnie było dla mnie — muszę przyznać, przyjemnym, chociaż nie w pełni zrozumiałym zaskoczeniem. Oficjalnie WiN był organizacją polityczną, a nie bojową, a co znaczył Kedyw, to tłumaczyć mi nie było potrzeby. Przyznam, że imponowało mi, że zostałem chyba najmłodszym, zarówno stopniem jak i wiekiem, szefem Kedywu o tak szerokich uprawnieniach i na obszarze tak rozległym jak województwo olsztyńskie. Tyle, że okazało się, iż wszystko trzeba robić od początku samemu. Na terenie istniał uzbrojony oddział Kedywu około 25–30 ludzi, na który miałem dostać kontakt oraz dosyć sprawnie działająca sieć łączności organizacyjnej, która równocześnie wykorzystywana była do kolportażu prasy podziemnej napływającej na nasz teren w minimalnej ilości i do tego nieregularnie. Na razie jako pierwszoplanowe zadanie dostałem polecenie zalegalizowania się na miejscu i podjęcia pracy, a następnie zorganizowanie niewielkiego patrolu bojowego. Dostałem sporo kontaktów na ludzi, którzy mieli mi pomagać, oraz łącznika do kontaktu z Prezesem Obwodu — „Cytryną" — Dominikiem Puławskim. Na początek najciekawszym kontaktem był wójt gminy Sorkwity z siedzibą w Pustniku, Paweł Warfas. Był to autochton, który jak mogłem się domyślać po bliższym poznaniu tego wspaniałego, starszego już człowieka, przed wojną współpracował z polskim wywiadem,

[7] Oddziały partyzanckie wchodzące w skład V Brygady Wileńskiej zwane były „szwadronnymi".

[8] Mjr „Łupaszka" — Zygmunt Szyndzielarz zamordowany w 1949 roku w więzieniu mokotowskim w Warszawie.

[9] KBW — Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, odpowiednik sowieckich wojsk NKWD.

a w okresie wojny oddał duże usługi Armii Krajowej. Po skontaktowaniu się z nim zaproponował mi pracę w urzędzie gminnym, ale za dwa tygodnie. Uprzedzał, że w pracy trzeba będzie uważać, bo jako sekretarz gminy pracuje tam facet o nazwisku Kompicki, jawnie współpracujący z bezpieką, a jego szwagier jest w gminie referentem bezpieczeństwa.

Trzeba było zatym czekać, bo kręcenie się po okolicy przed zalegalizowaniem pobytu mogło okazać się niezdrowe. Zresztą, jak wynikało z rozmów z ludźmi, z którymi nawiązywaliśmy kontakty na podstawie informacji z Kom. Obwodu, teren był nasycony konfidentami, szpiclami, a więc wykonanie zleconych mi zadań nie należało do prostych. Jeszcze dostałem kontakt na komórkę łączności Podinspektoratu, którą prowadził „Eter" — Tadeusz Targoński. Pojechałem do Olsztyna: „Eter" zrobił na mnie niezbyt sympatyczne wrażenie — taki jakiś śliski, mydełkowaty. Poszedłem już prywatnie do zaprzyjaźnionego z ojcem kolejarza, o którym wiedziałem, że w okresie wojny był w dywersji kolejowej AK razem z moim staruszkiem. Poprosiłem go, by linią telefonicznej łączności kolejowej skontaktował się z mym ojcem i poprosił go by w określonym dniu przyjechał do Piły na znany mu adres i przywiózł to, co dostał na przechowanie w woreczku. Wiedziałem, że ojciec od razu się zorientuje, że to ja proszę, by przywiózł zostawioną w domu amunicję do parabellum.

Z Olsztyna pojechałem do Piły. Mogłem oczywiście spotkać się gdzie indziej, chociażby nawet w Olsztynie, ale do Piły ciągnęła mnie chęć spotkania swej pierwszej miłości — Aldy. Już wtedy doskonale wiedziałem, że na konflikt zbrojny sowiecko-aliancki w najbliższym czasie liczyć nie należy, więc szanse przeżycia mam niewielkie, bo albo utłuką mnie w jakimś zadaniu, albo po prostu wpadnę w łapy bezpieki, co na jedno wychodziło. Chciałem ją jeszcze zobaczyć. Zdawałem sobie sprawę, że z tego spotkania nic wynikać nie będzie, bo przecież o swym uczuciu do niej nawet miauknąć nie mogłem, nie miałem prawa. Bo jeśli coś się szybko zmieni, to wtedy będzie na to czas, a jeśli nie, to czarna mogiła i po co jej zawracać głowę? Spotkałem ją jeszcze milszą dla mych oczu niż pozostawała we wspomnieniach z lat brzeskich. Myślałem, że nikt tu nie będzie wiedział, że jestem „na chodzie"[10], ale okazało się, że zarówno ona jak i jej rodzina doskonale orientowali się w położeniu, ponieważ w czasie procesu przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Szczecinie, gdy sądzeni byli moi koledzy, w sprawozdaniach prasowych wielokrotnie wymieniano moje nazwisko. Ojciec zjawił się punktualnie, przywiózł mi woreczek amunicji i jeszcze kilka potrzebnych drobiazgów a po kilku godzinach odjechał do domu. Ja pojechałem w swoją stronę następnego dnia o świcie. Mimo że potem po przeszło dziesięciu latach rozmawiałem z Aldą, nie wiem, czy nasze spojrzenia mówiły to, czego powiedzieć sobie nie mogliśmy. Może tylko mi się to wydawało?

W kilka dni po powrocie na Mazury podjęliśmy pracę w urzędzie gminy Sorkwity. Ja zostałem referentem wojskowym, a Józek referentem aprowizacji, dostaliśmy przydział na dom we wsi Warpuny. Domek piękny i chociaż po

[10] Tak określano kogoś ściganego przez władzę.

przeciwnej stronie ulicy był cmentarz, to po drugiej stronie za niewielkim ogrodem rozciągało się prześliczne jezioro.

Patrol dywersyjny składał się z „Dzielnego" jako dowódcy oraz trzech chłopców, którzy byli przed naszym przyjściem w oddziale „Leszka": Edek Zapert, Józek Bastek „Kat" i Stasiek Wiącek. Byli to wzorowi chłopcy, odważni i zdyscyplinowani.

Niemal od samego początku naszej pracy w urzędzie gminnym można było zaobserwować ciągle wzrastające zainteresowanie nami ludzi związanych z bezpieką, o czym informowałem zarówno prezesa obwodu, jak i mjra Jura. W odpowiedzi zapewniono, że sytuacja jest kontrolowana i na razie żadnego bezpośredniego zagrożenia nie ma, że mamy na tym miejscu zostać co najmniej do wyborów. Jeżeli będzie nam zagrażało istotne niebezpieczeństwo, to z całą pewnością zostaniemy w porę ostrzeżeni, a samowolne opuszczenie posterunku zostanie potraktowane jako dezercja.

Dostałem polecenie prowadzenia aktywnej antykomunistycznej propagandy poprzez malowanie antypepeerowskich haseł, rozklejanie plakatów, rozprowadzanie ulotek i bibuły. Gdy zwróciłem uwagę, że bibuły otrzymuję tak przeraźliwie mało, iż nawet brakuje jej dla członków WiN, dostałem rozkaz uruchomienia własnego wydawnictwa o nazwie „Polska Walczy".

— Nie mam nic — mówię prezesowi obwodu — nie tylko powielacza, ale nawet maszyny do pisania, papieru, farby i innych dupereli!

— Trudno! O maszynę musicie się postarać sami, a co do reszty, to postaram się wam pomóc — i na pociechę wręcza mi opasłą instrukcję prowadzenia „Akcji O"[11].

Chcąc nie chcąc, pierwszy numer gazetki wykręciliśmy na Święto Niepodległości, czyli 11 listopada 1946 roku. Właściwie nie było tam oryginalnych materiałów poza informacjami dotyczącymi spraw lokalnych Podinspektoratu Olsztyn. Reszta to teksty zaczerpnięte ze wspomnianej instrukcji „O" i przedruki z bibuły centralnej i białostockiej. Chodziliśmy niewyspani, przemęczeni, a nade wszystko denerwowała nas ta akcja propagandowa, w której sens i skuteczność ani trochę nie wierzyliśmy. Jeszcze w październiku zdarzył się nam zabawny incydent. Wyszedłem z wieczora z patrolem, by na terenie sąsiedniego powiatu reszelskiego trochę przygłuszyć dwoje konfidentów UB odmierzając po stosownej ilości pasów na gołą pupę jako pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Po wyjściu z naszego domu szybko przeszliśmy drogą, chcąc wyjść z wioski przez cmentarz. Byliśmy tuż przy głównej alejce, gdy z kościoła, który przylegał do cmentarza wyszli ludzie z wieczornego nabożeństwa. Było ciemno, więc by przeczekać przejście wychodzących z kościoła, posiadaliśmy spokojnie na mogiłkach. Ale któryś oparł się o krzyż z wiszącym na nim blaszanym wieńcem, a ten w wieczornej, cmentarnej ciszy zazgrzytał przeraźliwie. Chłopak widocznie sam się przestraszył i wstał, co zauważyli przechodzący ludzie i widocznie wzięli za wyłażącego z grobu trupielca. Co się zrobiło na alejce! Aż dziw, że zmiatający na powrót do kościoła nóg nie pogubili. Myśmy też czym prędzej wynieśli się z cmentarza. Ile było potem opowiadań o nieboszczykach wychodzących z grobów. Ponoć nawet ksiądz święcił groby i odprawiał egzorcyzmy.

[11] „Akcja O" — jak opluskwianie. Prowadzona przez WiN późną jesienią 1946 roku. Polegająca na propagandzie antykomunistycznej, ujawniającej antynarodowy i zbrodniczy charakter władzy narzuconej Polsce przez Sowietów.

Jak wspomniałem, mieszkaliśmy na skraju Warpun, zajmując ładny piętrowy domek. Początkowo razem z nami mieszkali Wiącek i Bastek, ale potem ze względu na bezpieczeństwo jeden zamieszkał w Sionkach, a drugi chyba w Surmówce. Staraliśmy się nie zmniejszając tempa pracy konspiracyjnej, w maksymalny sposób maskować swoje działania. Na jakiś czas to przyniosło skutek, nawet Kompicki przestał nam wmawiać, że byliśmy za okupacji w jego wsi pod Łukowem gdy wysadzano w pobliżu niemiecki transport kolejowy. Już zaczęła nam świtać nadzieja, że doczekamy wyborów i będziemy mogli stąd odejść. Ale znów w pierwszych dniach grudnia zauważyliśmy obserwujących nasz dom typów zaczajonych naprzeciwko za młodymi świerczakami. Z tyłu domu nie było nikogo. Zostawiliśmy w pokoju na górze palącą się lampę, przeszliśmy nie zauważeni nad jeziorem, pogoniliśmy zdrowego kota znanemu szpiclowi Optacemu w oddalonej o 5 kilometrów wiosce i po cichu wróciliśmy do domu. A obserwatorzy tkwili na mrozie do rana. Musiałem w niedzielę pojechać do Olsztyna, by spotkać się u „Etera" z przedstawicielami Okręgu WiN z Białegostoku. W trakcie rozmowy powiedziałem, że jesteśmy inwigilowani przez bezpiekę, szpiclowani przez miejscowego konfidenta Bruderka, który nawet starał się wypytywać naszą gospodynię Ernę Groszańską, co my wieczorami robimy, że tak długo widać u nas światło. Ale ona była zbyt mądra, by coś szkodzącego nam powiedzieć, więc wymyśliła historyjkę o naszej rozwiązłości i że sprowadzamy sobie dziewuchy, by zabawić się przy świetle.

Przedstawiciele okręgu uznali, że sprawa jest istotnie poważna i zaraz po Bożym Narodzeniu zostaniemy przeniesieni, bodaj do Ciechanowa. Wracać z Olsztyna musiałem inną trasą, bo na Czerwonkę, Biskupiec pociągi tego dnia nie kursowały. Pojechałem więc przez Szczytno, gdzie miałem przesiadkę. Wchodzę do budynku na stacji i widzę krzątającą się matkę moich serdecznych przyjaciół, panią Lebensztain. Ona mnie też poznała. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozmowę. Opowiedziała, że po śmierci Józka musiała opuścić Terespol i przeniosła się właśnie tutaj. Jasiek studiuje na Akademii Sztuk Pięknych. Dopytywała się, gdzie mieszkam, powiedziałem, że nie mam jeszcze stałego adresu, ale w nagłym wypadku można się ze mną skontaktować przez pracującego w urzędzie gminy Sorkwity Jana Skurę. Coś jeszcze zjadłem w bufecie i odjazd do Mrągowa.

Z Olsztyna przywiozłem większą niż zwykle ilość gazetek „Puszcza Szumi" oraz innej bibuły nakierowanej na zbliżające się wybory. Wzięliśmy się ostro do roboty i już około 15 grudnia wydaliśmy podwójny numer gazetki „Polska Walczy". Niestety, był to nie tylko najlepiej wydany, ale i ostatni numer tego pisma. Trzeba go było jeszcze odwieźć na punkt kolportażowy, a nikogo wolnego pod ręką nie miałem, bo obaj moi Kurpiacy Więcek i Bastek już

wyjechali na święta w swoje strony, Józek był mocno przeziębiony, a ponadto miałem tam kilka spraw do załatwienia.

Od pewnego czasu ciągle byliśmy bardzo czujni, a może nawet przeczuleni. Sądzę, że powodowało to ciągłe niebezpieczeństwo. Nie takie jak w partyzantce, tam mimo wszystko zawsze czułem się bezpieczniej. Miałem obok siebie kolegów, na których zawsze mogłem liczyć, a tu byłem sam. I bardzo często nie można było rozróżnić, kto wróg, a kto przyjaciel. Od kilku miesięcy nigdy, w dzień i w nocy, nie rozstawałem się z pistoletem z pociskiem w lufie. Nie byłem „narwańcem", ale gdyby ktoś chciałby mnie, o tak dla żartu, przestraszyć, najprawdopodobniej skończyłoby się to tragicznie.

17 grudnia byłem w Olsztynie i w drodze powrotnej przed samą stacją w Czerwconce nasz pociąg osobowy zderzył się czołowo z rosyjską „wiertuszką", która mimo zamkniętego semaforu nie zatrzymała się przed stacją. W sowieckim transporcie zginęli maszynista i pomocnik, a w naszym pociągu zabity był kolejarz z wagonu bagażowego. Znów była przerwa w ruchu i po dojściu do stacji zatrzymałem się na noc u Władka Bielawskiego.

Następnego dnia zaopatrzony w odpowiednie zaświadczenie, że z powodu katastrofy kolejowej musiałem zatrzymać się na stacji Czerwonka, ruszyłem do Sorkwit.

Dochodząc do urzędu gminnego, zauważyłem kręcących się żołnierzy. Wchodzę do środka, patrzę Józek jakiś zdenerwowany.

— Skąd tu tyle sołdatów? — pytam.

— Od wczoraj kwateruje grupa operacyjno-propagandowa w szkole.

Obejrzał się, czy nikogo nie ma i cicho mówi:

— Chyba zwinęli „Cytrynę", bo od wczoraj go nie ma w chacie.

— No to zwijajmy żagle, bo ten ślimak dostanie raz po ryju i pęknie.

W tej chwili do pokoju, gdzie rozmawialiśmy, wchodzi wójt z jakimś oficerem i zwraca się do mnie:

— Panie Janku, niech pan porucznikowi napisze ogłoszenie o jutrzejszym zebraniu. Proszono mnie, bym na pisanie tych ogłoszeń odstąpił gabinet.

Nie wiem, czemu nawet mi przez myśl nie przeszło, że chcą mnie zwinąć. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wyczułem ubowców i po zdjęciu płaszcza, do którego kieszeni zza pasa wsadziłem parabellum, wszedłem jak baran do gabinetu. Było tam już dwóch czy trzech umundurowanych facetów. Podchodzimy do biurka, na którym leżą jakieś papiery i w tej chwili wykręcają mi ręce do tyłu, a z przodu podpiera mnie pistoletem. Drę się najgłośniej jak mogę w nadziei, że Józef piszący coś w trzecim pokoju usłyszy i bryknie. Któryś grzmoci mnie czymś twardym między uszy i na kilka chwil tracę świadomość. Nie wiem, ile to trwało, otwieram oczy, widzę, jak wpychają Józka do gabinetu wójta, a on sam stoi pod oknem blady jak kreda. Podnoszę się z podłogi i w tej chwili ten rzekomy oficer od zebrań, który chciał bym mu pisał ogłoszenie, bije mnie w gębę pięścią. Nie wiem sam, jak to się stało i na pewno zupełnie odruchowo z całej siły i całej złości rąbię ubeka w żołąd, aż leży jak ja przed chwilą przy biurku. No i zaczęło się! Bili, czym i gdzie popadnie. Ile tych bijących było, nie wiem. Za jedno mogłem tym ćwiekom być wdzięczny — ile razy potem w śledztwie dostawałem srogie omłoty, zawsze

myślałem — jednak to pestka w porównaniu z tym w gabinecie! W tej chwili wpada jakiś ubek i trzyma w ręku mój pistolet.

— To tego bandziora! — wskazuje na mnie.

Coś niecoś jeszcze mi przyłożyli i jeden z nich, który jak zauważyłem nie brał udziału w bijatyce, zaczyna mnie dokładnie rewidować. Reszta ubieków obtłukuje Józka. Ten rewidujący pyta szeptem:

— Co masz trefnego?

Myślę sobie: czym ryzykuję? Przecież i tak znajdzie. Pokazuję oczyma trzymaną przez niego portmonetkę. Wyciąga z bocznej przegrody zaszyfrowaną karteczkę i bez rozwijania chowa w rękaw, potem jeszcze tak samo zwinął wymacany w bocznej kieszeni zapasowy magazynek. Około godziny stoimy, czekając na organizowany przez nich transport, a ręce bardzo ciasno skrępowane w nadgarstkach sznurem sinieją. Potem na wozie jak świniaków do rzeźni odwożą nas do szosy Biskupiec–Mrągowo, pakują na skrzynię czekającego samochodu i ruszamy. Na samochodzie związali nas jeszcze dodatkowo razem tak, że udało nam się ustalić role w czasie przesłuchań.

Mrągowo, Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Wprowadzają nas na piętro, a tu już pełna gala! Za biurkiem siedział rozparty major o gębie koszernego rzeźnika[12], a naokoło jeszcze kilku w oficerskich mundurach bez dystynkcji. Siedzący za biurkiem, uśmiechając się obleśnie, zupełnie czysto po polsku mówi:

— Witamy serdecznie, panie „Żbik". Jest mi naprawdę przyjemnie widzieć pana w naszych progach.

— O kulawa maryna! — myślę sobie. To już nawet pseudonim znają! Potem bez uśmiechu, ale zupełnie spokojnie pyta, czy dużo broni mamy w domu. Odpowiadam, iż miałem tylko pistolet.

— No, no... Chyba coś tam znajdziemy. — Odpowiada facet z wyraźnie wileńskim akcentem i dosyć przyzwoitą mordą.

Proszę, by wyprowadzili mnie do ubikacji. Wtedy dopiero zauważyli, że dłonie mam zupełnie sine. Rozcięto sznur nożem i założono samozaciskowe kajdanki. Ale skute do przodu. Ten z wileńskim akcentem wyprowadził mnie na podwórze, bym się odlał. Byliśmy niemal sam na sam, bo wartownik i chyba szoferzy stali od nas kilka kroków. Więc mu mówię:

— Przecież jest pan kresowiakiem, musi mi pan pomóc! Nie proszę, by mnie pan puścił, bo to niemożliwe, ale niech mnie nie trzyma za płaszcz. Będę uciekać, a pan niech strzela celnie, bym się długo nie męczył.

On się tylko roześmiał: — Oj, oj, kochanieńki. Czy ty aby przypadkiem nie chciałby pójść za lekko tam gdzie i tak już na ciebie czekają! A?

— Kanalia! — powiedziałem patrząc mu w oczy.

Ale on tylko znów się roześmiał. Odprowadził mnie do budynku i tam głośno i z humorem opowiadał, jak to prosiłem go, by mnie zastrzelił.

---

[12] Żydowski rzeźnik rytualny. Był to Józef Światło, wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W końcu 1946 roku nadzorował działania WUBP w Olsztynie. W grudniu 1953 roku uciekł na Zachód, a w roku następnym jego zeznania o zbrodniach bezpieki na falach eteru ujawniło Radio Wolna Europa.

Zapakowano nas do samochodów i ruszyliśmy do Warpun. Po wejściu do domu od razu zauważyłem, że mieszkanie zostało opróżnione z trefnych przedmiotów i materiałów. Znaleźli tylko dwa karabiny na poddaszu, o których my nie mieliśmy pojęcia. Skrytka koło pieca była dodatkowo osłonięta naręczem drewna. Mam wrażenie, iż zrobiła to nasza poczciwa gospodyni zawiadomiona o naszym aresztowaniu przez wójta Pawła Wariasa. W tym miejscu chcę powiedzieć, że autochtoni, chociaż nie angażowali się w konspirację, jednak byli zdecydowanymi przeciwnikami czerwonych. Na ich pomoc w potrzebie można było liczyć. Znam tylko jeden, bezwzględnie odosobniony przypadek, gdy młoda Mazurka, zmuszona szantażem, podpisała zobowiązanie współpracy z UB, zresztą po kilku dniach znajomości przyznała się i powiedziała, że referent gminny UB kazał jej obserwować mnie.

W czasie rewizji major Światło był bardzo zdziwiony spartańskim wyposażeniem naszego mieszkania i skromnym dobytkiem, który poza szczoteczkami do zębów i ręcznikami stanowił po parze bielizny na zmianę i to już mocno sfatygowanej.

— Myślałem, że taka ważna figura jak szef kedywu podinspektoratu żyje trochę lepiej. Gdybyś był z nami, miałbyś wszystko a tak... i machnął z lekceważeniem ręką.

Znów wsadzono mnie do samochodu pomiędzy dwóch ubowców, ze skutymi z tyłu rękoma. Za nami jechały dwa samochody ciężarowe z ubowcami. W połowie drogi do Pustnika, w światłach reflektorów zauważyłem po obu stronach drogi uzbrojonych ludzi i odczułem, jak jeden z siedzących przy mnie oficerów zaczął się trząść. Na moment nadzieja wstąpiła mi w serce. Wiedziałem, że porucznik „Leszek" miał do mnie ściągnąć na zimowe leże, by rozlokować resztę nie zdemobilizowanych partyzantów. Ale to była tylko krótka chwila. Rozpoznałem łamagowatą postać referenta UB. Samochód tylko przyhamował i już ruszył dalej. Po kilku minutach siedzący obok mówi:

— Co myślałeś, że to bandyci zastawiają nam drogę?

— A myślałem!

— Gdyby tak było, pierwszego ciebie bym kropnął!

— Musiałbyś, bohaterze, najpierw przestać się trząść. Bo jeszcze dygoczesz!

Widocznie to co powiedziałem podobało się siedzącemu z lewa, bo roześmiał się głośno, za to ten drugi w odwecie zacisnął mi z całej siły kajdanki.

Była już późna noc, gdy wjechaliśmy do Olsztyna. Jeszcze kilka skrętów i rozwarła się przed nami żelazna brama wojewódzkiego UB. Wjechaliśmy na podwórze.

Czesław Hołub

Czesław Hołub, podczas okupacji żołnierz ZWZ-AK, następnie członek ROAK i WiN. Autor licznych publikacji poświęconych dziejom konspiracji.

Folklor

MAZURSKA WIEŚ KRZYŻE W DAWNYCH BAJKACH I SAGACH LUDOWYCH

Uwagi wstępne

We wsi Krzyże, położonej ustronnie wśród lasów Puszczy Piskiej nad Jeziorem Nidzkim, gdzie tylko wilk z lisem się spotykał, bardzo istotną rolę odgrywały zawsze babcie, przede wszystkim tam, gdzie chodziło o historie i sagi ludowe naszej miejscowości. Wiedziały one wiele o sprawach mistycznych i tajemnych, często opowiadały też o sprawach budzących zgrozę. Ich wiara w te zdarzenia oraz w to, o czym opowiadały, była niezaprzeczalna. I biada temu z młodszej generacji, kto poddawałby ich opowieści pod wątpliwość, a cóż dopiero sprawdzaniu. Ktoś taki musiałby opuścić swoją wieś. Przeszłość była dla nich święta!

Osądzając dziś owe staroświeckie sagi ludowe, nie wolno zapomnieć, że babcie nasze, obdarzane licznymi wnuczętami, opowiadały wielokrotnie niezliczone bajki, do tego stopnia, że stały się ich częścią. Potrafiły je opowiadać przez sen. Ponadto żyły one w ograniczonej przestrzeni wraz z siłami przyrody. A że przy okazji wynikało z nich coś upiornego i przesadnego, trzeba się było z tym pogodzić. Przecież wierzeń ludowych, sag oraz bajek nie można było od siebie oddzielić. Ostatecznie powstawały z sił nadprzyrodzonych i kształtowały się w jedną całość. Dlatego też diabeł i czarownica odgrywały w opowieściach naszej wsi dominującą rolę. Każde z nich miało swoją specjalność w zakresie zła, rozpusty i grzechu, gdyż ciągle występowali przeciwko dziesięciu przykazaniom. Szczególnie mówiący po mazursku gromadkarze potrzebowali owych postaci.

Jeszcze jako dziecko i najstarszy syn miałem szczególną więź z moją babcią ze strony matki, mieszkającą w Krzyżach, zwaną Zajckową. Nazywała się ona Henriette Sayk i kierowała się dawną zasadą: wiedza jest ograniczona, natomiast fantazja obejmowała i uskrzydlała cały świat. Co za mądra kobieta!

Zimą cała nasza piątka dzieci usadowiała się wokół kaflowego pieca w izbie na drewnianej podłodze, która wyłożona była mazurskimi chodnikami — szmaciakami. Gdy długie bierwiona w piecu kaflowym już się wypaliły, babcia otwierała drzwiczki pieca, tak, że czerwony żar węgli roztaczał osobliwy czerwony blask na przeciwległej ścianie izby. W blasku tym rozróżnialiśmy postacie i ornamenty najróżniejszego rodzaju. Dziecięca godzina zaczynała się! Szamotowe cegły, którymi wymurowane było wnętrze paleniska, wydzielały w naszym kierunku przytulne ciepło, podczas gdy na dworzu gwizdał zimny wiatr wokół węgłów naszego drewnianego domu. Babcia siadała naprzeciw otwartego paleniska na małej ławeczce, zaś naftową lampę gaszono. Wówczas babcia zaczynała opowiadać swoje mazurskie bajki i inne opowieści,

podczas gdy na dworzu nastawał mrok, a dzień przemieniał się w noc. Z czerwonymi twarzami i głowami siedzieliśmy lub leżeliśmy na podłodze i wsłuchiwaliśmy się w pełne napięcia i niesamowite opowieści. Babcia Zajckowa potrafiła swoje bajki opowiadać bardzo obrazowo, uzupełniając je często ruchami rąk, gestami i mimiką twarzy, tak iż my, dzieci, przeżywaliśmy owo przedstawienie z wewnętrznym napięciem. Jej występy oddziaływały na nas zawsze zajmująco, gdyż po każdym swoim opowiadaniu tłumaczyła nam sens bajki. Przy tym nie pouczała nas nigdy. Natomiast zmuszała nas do podejmowania z nią dyskusji. Świadomie i w sposób zamierzony wprowadzała nas w dziecięcą dyskusję nad tym, co słyszeliśmy.

Latem siadaliśmy wraz z babcią podczas letnich i ciepłych wieczorów na werandzie na drewnianych ławkach, by wysłuchiwać jej opowieści. Błagaliśmy wówczas i prosiliśmy: „Babciu, opowiedz nam bajkę, nie musi być o Krzyżach!" Gdy się babci coś przypomniało, wówczas wplatała w swoje historie sceny staropruskie, prusackie i religijne. Naturalnie nie mogło zabraknąć tu grozy.

Wobec mojej babci Zajckowej, urodzonej w 1869 r., czuję się zobowiązany, by przedstawić ją Czytelnikom. W końcu to jej zawdzięczamy owe opowieści. Opowiadała mi je w latach trzydziestych obecnego stulecia. Jestem tylko jej wnukiem, który dziś czerpie z jej „bajkowej wiedzy". Podczas czytania bajek będziecie mogli stwierdzić, że babcine opowieści przedstawiają historię przodków, mianowicie to, jak ludzie wówczas żyli i co odczuwali. We wszystkich zawarta jest przytulna zaściankowość życia wiejskiego, w których podkreślona została rozległość mazurskiego krajobrazu oraz nieba. Świadczą o silnym życiu duchowym i bujnej fantazji wymieszanej z pewną dozą chłopskiej mądrości. Toteż tysiąckrotne dzięki naszym mazurskim babciom, które wówczas rozumiały by nam, wnukom, poglądowo i intuicyjnie opowiadać swoje bajki, że dziś po ponad sześćdziesięciu latach jesteśmy w stanie przypomnieć je sobie i przekazać następnym pokoleniom.

Dla dóbr kultury nie istnieją żadne granice i nigdy nie były elementem dzielącym narody. Przenikają ponad wszelkimi granicami i podziałami. Owe bajki mazurskie są z pewnością znane w Polsce, zwłaszcza iż wielu Mazowszan osiedlało się na Mazurach przez setki lat. Kto pochodzi z Mazur, tak jak ja, i wzrastał wśród mitów, przesądów, zabobonów, obyczajów, pieśni, bajek, obrzędów ludowych i czuje się silnie związany z naturą, ten żyje wśród tych zjawisk w ciągu całego życia. Nie jest w stanie ich nigdy zapomnieć. Jest to wspomnienie, które owo dobro kultury w sobie zachowuje i podtrzymuje.

Niech wolno mi będzie po tych słowach wstępu przedstawić Czytelnikom wybór dwunastu bajek i sag ludowych z Krzyży, zasłyszanych od mojej babci. Być może i Wy w dzieciństwie je zasłyszeliście. Życzę Wam tego z całego serca!

Krzyżacy z Krzyży i dziewczyna

Nad Jeziorem Nidzkim, tam, gdzie obecnie znajduje się stary cmentarz w Krzyżach, stał przed wiekami drewniany gród na jednej z wysp pośrodku jeziora. Jezioro sięgało aż do drogi nie opodal szkoły. Wyspa otoczona była błotem i trzęsawiskiem. Jeszcze dziś wokół cmentarza można rozpoznać dolinę, którą obecnie zajmują pola i łąki. To obniżenie rozciąga się od południowej części Jeziora Nidzkiego, poprzez Biel na wschodnim skraju wsi, aż do przystani łodzi koło Jaśkowa. Rybacy utrzymywali, że podczas nocnych połowów o północy słychać z pobliskiego cmentarza słodki śpiew dziewczyny, a w czasie pełni księżyca widywano ją tańczącą. Wydarzenia te można było obserwować wyłącznie z jeziora. Ponadto nie każdemu rybakowi było to dane widzieć, gdyż mogło się zdarzyć, że mógł on być potomkiem któregoś z niegdyś mieszkających tu Krzyżaków. Niektórym rybakom ukazywali się też rycerze w pełnej zbroi, walczący swoimi długimi mieczami. Słyszano szczęk mieczów oraz widziano sypiące się iskry. Stare babcie opowiadały, że jeden z rycerzy krzyżackich zamieszkujących w grodzie miał romans z pewną piękną dziewczyną ze wsi. Złożył on zapewnienie o zawarciu z nią małżeństwa. Kiedy jednak urodziła dziecko, nie chciał o niej słyszeć. Wybrała się więc jej matka do zamku, aby rozmówić się z tym rycerzem. Gdy ukazała się na moście i poprosiła o wpuszczenie jej do środka, podniesiono most. Matka wpadła do wody, wykrzykując wobec Krzyżaków: „Niech was, Krzyżaków, diabli porwą!" O północy tegoż dnia rozpętała się nad Krzyżami niespotykana burza. Uderzał piorun za piorunem, a błyskawice rozświetlały całe niebo nad wsią i Jeziorem Nidzkim. Wówczas nastąpił jasny błysk ognia z nieba, który uderzył w gród. Wielka błyskawica rozdarła wyspę na pół i zamek wraz z Krzyżakami zatonął w otchłani jeziora. Pan Bóg pogrążył Krzyżaków wraz z ich skarbami w piekle, zaś ich gród zatopił w jeziorze, gdyż jako mężowie Boży nie przestrzegali jego przykazań. Dowodem tej tragedii jest połowa piaszczystej góry na starym cmentarzu, opadająca stromo do jeziora. Druga część krzyżackiej góry znajduje się w Jeziorze Nidzkim. Obydwie połowy góry usiłują się połączyć, jednak wody jeziora są tu zbyt głębokie.

Po zniknięciu grodu piękna dziewczyna poszukiwała ojca jej syna na wzgórzu koło jeziora, na którym później mieszkańcy Krzyży założyli cmentarz. Dziewczyna ta i jej syn są tu też pochowani, jak twierdziła moja babcia.

Jednak niekiedy nocą również współcześnie walczą tu rycerze o względy pięknej dziewczyny, gdy jej powabny głos odbiera im zmysły. Od tej pory mieszkańców Krzyży nazywa się Krzyżakami.

Krzyżacy i wpływ księżyca w pełni

Przed wielu, wielu laty mieszkali nad Jeziorem Nidzkim w małej wsi Krzyże specyficzni ludzie, Krzyżacy. Nosili białe płaszcze z czarnym krzyżem, mieli wielkie miecze, długie brody oraz Biblię. Najstarszy, przełożony grodu, tzw. komtur, nosił w niedzielę czerwony płaszcz z czarnym krzyżem. Stąd też rycerze oraz poddani we wsi wiedzieli, że jest niedziela i muszą się zgromadzić w zamku na nabożeństwie, by oddać Bogu swoją cześć. Jednak pewnego niedzielnego wieczora komtur wypił więcej miodu niż zazwyczaj i w poniedziałek nosił w dalszym ciągu czerwony płaszcz. Skutkiem tego mieszkańcy wsi porzucili pracę i przybyli na nabożeństwo. Jednak komtur posłał ich z powrotem do roboty. Wówczas mieszkańcy Krzyży przysięgli zemstę. Pewnego niedzielnego przedpołudnia, gdy komtur ponownie założył swój czerwony płaszcz, zebrali się ludzie wokół studni i opowiadali rycerzom, że w studni leży beczułka wódki, którą trzeba koniecznie wydobyć, gdyż wódka może wyciec i zanieczyścić wodę. Wczesnym rankiem widziało kilku Krzyżaków, jak młodszy brat duchowny spuszczał się do studni, by nabrać święconej wody na niedzielne nabożeństwo. Ponieważ jednak nie miał na sobie białego płaszcza, pomyśleli ludzie, że jest to diabeł, który chce im zatruć wodę w studni. Toteż spuścili na łańcuchu pewnego młodego Krzyżaka, by wydobył beczułkę. Księżyc na niebie odbijał się w lustrze studziennej wody tak, jakby na dnie leżała beczułka. Młody Krzyżak męczył się na dole studni i nie był w stanie zaczepić beczułki do łańcucha. Kiedy księżyc zniknął za chmurami, beczułki nie było widać. Rycerze pomyśleli, że młody Krzyżak wypił jej zawartość, więc rzucili łańcuch do głębokiej studni i młodzieniec utonął. Odtąd słyszeli Krzyżacy o północy krzyki w pobliskim lesie. Byli przekonani, że był to głos owego młodego Krzyżaka. Toteż udali się do lasu, by go poszukać. A głosy pochodziły od młodych sów, które siedziały w listowiu dębu. Jakby tu wejść na ów wysoki dąb? Stawał więc jeden drugiemu na ramionach. Najwyżej stojący rycerz zaczął wołać swojego kolegę i sięgnął w głąb liści. „Och! Co ja tu mam?" — krzyknął zdziwiony. Stojący na dole Krzyżak chciał też zobaczyć, co kolega tam na górze schwycił i uczynił krok do tyłu, tak, że wszyscy rycerze pospadali. Leżąc na trawie jęczeli z powodu bolesnego upadku i poobijanych kości. Najzdrowszemu dali mieszek ze złotem, by ten sprowadził doktora. Krzyżak, idąc przez Puszczę Piską, napotkał pewnego mężczyznę ubranego w biały kitel. Sądził więc, że ma przed sobą doktora. Był to jednak diabeł, który poprosił rycerza, by ten dał mu trzosik ze złotem, on sam chwilowo spieszy się do porodu w sąsiedniej Karwicy. Dał jednak dobrą maść, którą Krzyżacy mieli się natrzeć. Miały im od tego ustąpić bóle. Powiedział, że po odbiorze porodu natychmiast przybędzie do grodu w Krzyżach, by opatrzyć rycerzy.

Krzyżak wrócił do grodu i opowiedział, co mu się w lesie przytrafiło. Zaś jego kompani nasmarowali się ową leczniczą maścią. Nie była to jednak maść, lecz smoła, której Krzyżacy nie byli w stanie zmyć.

Tak niezwykle i osobliwe historie opowiadały nasze babcie swoim wnukom o Krzyżakach, ich przodkach.

Jezioro Topielec koło Jeziora Nidzkiego

W pobliżu bindugi koło Krzyży, na przeciwległym wschodnim brzegu Jeziora Nidzkiego, w leśnictwie Dębowo, w odległości około 1,2 km znajduje się niewielkie śródleśne jeziorko o powierzchni 9,5 ha — zwane niegdyś przez Mazurów i obecnie przez Polaków Oko Topielca. Leśne jeziorko łączy z Jeziorem Nidzkim strumyk o długości około 200 m, który można było przepłynąć łodzią. Jeziorko dzierżawił rybak Mattern. Jest ono nieduże i płytkie, zarośnięte wokół drzewami. Stanowi doskonałą kryjówkę dla Wodnika, zwanego w gwarze mazurskiej Topielcem lub Topnikiem. Mógł on stąd doskonale sprawować władzę w całym Jeziorze Nidzkim, któremu dzięki stromym, zalesionym brzegom nadano miano „perły jezior mazurskich". Małe wysepki i półwyspy zarośnięte krzewami zapewniały Wodnikowi doskonałe kryjówki, skąd nawołuje on ludzi do zguby.

Babcia moja opowiadała, że przed wielu laty koło owego leśnego jeziorka mieszkał stary pustelnik w starej drewnianej chatce z bali, które własnoręcznie wyciosał. Żył on z tego, czym go las i jezioro obdarowały. W chatce mieszkała z nim sarna, której uratował życie przed wilkiem. Od tej pory sarna go nie opuszczała. Pustelnik był już tak stary, że sam już nie wiedział, ile ma lat. Siwe, długie włosy opadały na ramiona, zaś broda sięgała do pasa. Żył w dobrej zgodzie ze swoimi sąsiadami z Krzyży i Karwicy. Do dobrych ludzi odnosił się z uznaniem, samotnych pocieszał, zaś złych karał. Pustelnik ów znał się dobrze na chorobach. Przeciw każdej znajdował w lesie odpowiednie kwiaty, nasiona, liście i jagody, które przechowywał w swojej chatce na strychu. Ludzie z okolicznych wsi opowiadali, że człowiek ten był nieco osobliwy i zdziczały. Znał się na czarach, a urodził się nocą z soboty na niedzielę. Poza tym pozostawał z diabłem i śmiercią w kontaktach. Potrafił przepowiedzieć, kto w następnej kolejności umrze.

Jesienią pewnego roku rybacy z Krzyży wpłynęli na jeziorko Topielec, aby tu dokonać połowu. W pewnej chwili zauważyli w trzcinach dużą skrzynię leżącą w wodzie. Gdy rybacy poruszyli ją wiosłem, błysnęło coś w jej wnętrzu. Wszystkich to bardzo zdziwiło. Niektórzy z rybaków utrzymywali, że w skrzyni siedzi diabeł i dlatego nie należy jej dotykać. Inni znowu byli zdania, że skrzynia zawiera zaginiony przed laty skarb, który wynurza się z wody co 100 lat i tylko człowiek, który urodził się z soboty na niedzielę, może dotknąć owej skrzyni. Kilku rybaków chwyciło jednak za skrzynię, ale zlękli się i popłynęli do brzegu. Jeden z nich pobiegł do pustelnika, podczas gdy pozostali udali się do domów, by tam opowiedzieć o osobliwym zdarzeniu. Pustelnik był gotów przynieść skrzynię na brzeg pod warunkiem, że zachowa dla siebie jej zawartość. Rybacy przystali na to. Wówczas starzec popłynął do skrzyni, tam wzniósł oczy i ręce do góry i wymamrotał czarodziejskie zaklęcie. O dziwo, skrzynia poruszyła się i popłynęła do brzegu. Rybacy krzyknęli: „Otwieraj skrzynię, chcemy zobaczyć, co się w niej znajduje". „Ale jak mam ją otworzyć — zawołał pustelnik — mam tylko gołe ręce!". Raptem pojawił się kowal wiejski, który przyniósł z kuźni łom. Uderzył nim z całej siły w róg skrzyni raz,

drugi, trzeci. Wówczas rozleciała się część pokrywy. Ukazało się połyskujące złoto. Rybacy wrzeszczeli z radości! Nikt z rybaków nie zważał już na głos pustelnika. Kowal walił ciągle łomem w skrzynię, aż rybacy musieli go powstrzymać. W skrzyni było bardzo dużo złota, które według obietnicy rybaków powinno należeć do pustelnika. Raptem pytają rybacy: „Jak to? Złoto dla pustelnika? Nigdy!" „Zanieśmy skrzynię do wsi — wrzasnął jeden z rybaków — złoto należy do nas!" Rybacy jęli nieść skrzynię do łodzi. Wówczas z nieba spadł ciężki kamień i uderzył w skrzynię. Rozpadła się na wiele kawałków, a z jej wnętrza wyskoczył straszny potwór — ni to człowiek, ni to zwierz. Na czole miał tylko jedno oko. Był to bez wątpienia Topielec, który rzucił się na pewnego młodego rybaka i zniknął z nim w głębi jeziora. Pozostali rybacy na widok tego zdarzenia byli przerażeni i sparaliżowani, nie mogąc nic uczynić. Zaś skrzynia, Wodnik i młody rybak zniknęli w toni jeziora i nigdy więcej ich nie zobaczono. Strach i przerażenie ogarnęły teraz rybaków. Przenieśli swoje łodzie lądem wzdłuż brzegu jeziorka i strumienia, aż do brzegu Jeziora Nidzkiego, by stąd powiosłować na drugą stronę, gdzie położone były Krzyże. Tylko stary pustelnik pozostał nad jeziorkiem Topielec i krzyczał do rybaków donośnym głosem: „Gniewam się na was! A ten młody rybak nie jest ostatnim, który w tym jeziorze zaginie. Co roku wezmę sobie nową ofiarę z waszej wsi. Nie mogę wam pozwolić, byście zabrali tę skrzynię ze złotem do waszej wsi. Należy ona do Wodnika z tego jeziora. Ja, stary pustelnik, jestem jego pomocnikiem i wiernym sługą!"

Odtąd nazywano to jezioro Oko Topielca. Co roku, gdy dzieci kąpały się w Jeziorze Nidzkim, bądź też bawiły się nad jego brzegiem, Wodnik wciągał jedno z nich w głębiny jeziora, by nie być osamotnionym. Pustelnik i jego sarna zakończyli swe życie. Wodnik nie okazuje żadnej łaski. Porywa chłopców i dziewczynki, młodych i starych ludzi, biednych i bogatych. Dlatego też dzieci bądźcie ostrożne! Jezioro jest bardzo głębokie, zaś Wodnik jest wszędzie i wygląda was ciągle, zimą i latem!

Wodnik z Jeziora Wesołek

Każdemu dziecku z Krzyży opowiadali dziadkowie, że Wodnik zamieszkuje we wszystkich jeziorach, zarówno w Topielcu, Nidzkim, jak i Wesołku, gdzie zwabia szczególnie małe dzieci. Starzy ludzie opisywali go jako potwora, który był ni to rybą, ni też człowiekiem. Swoim niskim głosem wabił szczególnie dzieci do swojego wodnego królestwa, w którym śpiewał im wspaniałe pieśni. Zwabiał je na brzeg i następnie do jeziora, by tam je dopaść.

Pewnego letniego wieczoru, tuż przed deszczem, szło dwóch chłopców z wygonu z leszczynowymi wędziskami i blaszaną puszką pełną dżdżownic do Przystanku, aby wędkować w jeziorze Wesołek. Zarzucili swoje wędki w tym bagnistym śródleśnym jeziorku i patrzyli z uwagą na spławiki. Nagle przy

jednej z wędek zobaczyli dużą rybę. Obaj chwycili za wędzisko, by rybę trzepoczącą ogonem wydostać na brzeg. Zapadali się przy tym obydwoma nogami w błocie — po kolana i coraz głębiej. Naraz jeden z chłopców, nieco starszy, usłyszał czarujący głos nad jeziorem, zaś za rybą zobaczył Wodnika we własnej postaci. Miał on tylko jedno oko, za to piękny długi ogon. Był to półczłowiek, półryba. Wtem nad jeziorem zaczęło grzmieć i błyskać. Chłopcy porzucili wędkę, brodząc dobrnęli przez trzęsawisko do twardego brzegu i pobiegli do domu. Tu opowiedzieli rodzicom o swojej wędkarskiej przygodzie. Gdy ojcowie następnego dnia poszli na to miejsce nad jeziorem Wesołek, znaleźli przy brzegu na powierzchni błota odcisk płetwy rybiej, który pochodzić mógł tylko od Wodnika. Odtąd rodzice zabraniali swoim dzieciom wędkowania w jeziorze Wesołek.

Kłobuk z Wesołka i ognista drapaka

W dawnych czasach, także w Krzyżach, uprawiał Kłobuk swój niecny proceder. Moja babcia widziała jednego nad bagiennym brzegiem jeziora Wesołek, jak też kiedyś we wsi. Nosił na głowie wysoki kapelusz, wyglądający jak kłąb wełny, a dosiadał brzozowej miotły na długim kiju. Ponieważ było to wieczorem, z miotły sypały się iskry, niczym ognista kula.

Stara Zackowa, czyli moja babcia, zbierała jesienią grzyby nad jeziorem Wesołek. Była tym zajęciem bardzo pochłonięta. Raptem przeleciał obok niej na ognistej miotle człowieczek o podłym wyglądzie. Babcia wystraszyła się i pobiegła drogą za stodołami do wsi. Kłobuk poleciał w stronę jeziora. Nie była to żadna czarownica, lecz mężczyzna w wysokim kapeluszu, a więc z pewnością Kłobuk. Gdy babcia dotarła do swojej stodoły, zobaczyła Kłobuka wlatującego przez okno dachowe na strych domu sąsiadów, a byli to bogaci gospodarze. Ludzie ze wsi opowiadali, że rodzina ta przechowywała Kłobuka na strychu w beczce z pierzem. Przybywał on zawsze wieczorem, by na strychu najeść się, po czym przespać się w beczce. Gospodyni musiała mu przynosić co wieczór jajecznicę na słoninie na złoconym talerzu.

W domu tym były na służbie dwie przepiękne dziewki. Pewnego wieczora poszły one na strych, by pozdejmować suszącą się bieliznę. Na stoliku stał tam talerz z jajecznicą, a zobaczywszy go, poczuły głód i zjadły ją. Zaś na talerzu pozłacanym zrobiła... kupę! Po niedługim czasie przyleciał Kłobuk na swojej ognistej miotle. Zobaczywszy, że na talerzu zamiast jajecznicy leży ludzka kupa, rozłościł się strasznie! Sąsiedzi usłyszeli rozeźlony głos na strychu, wołający: „Ognia, ognia, ognia!" Następnie Kłobuk wyleciał ze strychu, kierując się na swej skrzącej miotle w kierunku Wesołka.

Tejże nocy całe gospodarskie obejście spłonęło aż do fundamentów. Gospodarze znaleźli się znowu w nędzy. Jednak od tej pory Kłobuka w Krzyżach już nikt nie widział!

Diabeł, stara baba i skradzione prosięta

U nas w Krzyżach nad Jeziorem Nidzkim żyła pewna stara kobieta, która posiadała siódmą Księgę Mojżesza. Pozostawała więc z diabłem w konszachtach, gdyż potrafiła dobrze posługiwać się ową czarodziejską księgą. Pewnej nocy diabeł zaproponował, aby razem ukradli prosiaki z jednego z większych gospodarstw we wsi. O północy poszli oboje w ciemną noc do wsi, do chlewa pewnego gospodarza. Diabeł otworzył okno, chwytał prosiaki i wyrzucał je na zewnątrz. Stara kobieta miała na dworze wsadzać te prosiaki do dwóch worków. Miała jednak stracha i trzęsąc się ciągle jęczała. Gdy uznali, że mają już dosyć prosiąt, zapytała baba diabła: „Czy oznakowałeś swoje prosięta?" Diabeł odrzekł: „Nie!" Baba rzekła więc do niego: To nie dobrze dla ciebie! Ja swoim prosiakom pozakręcałam ogony. Moje świnie mają ogonki w kształcie obwarzanka". Na to diabeł zamilkł i zaczął się martwić. Oboje wzięli swoje worki i poszli do chlewa starej kobiety, gdzie wypuścili prosiaki. Wszystkie miały zakręcone ogony. Wobec tego należały do baby. Diabłu nie pozostał żaden świniak. W tej spółce nie miał szans diabeł wobec przebiegłości kobiety, która go oszukała. Za karę, że dał się tak oszukać, musiał diabeł codziennie karmić prosięta i wyrzucać obornik z chlewa.

Odtąd diabły nie zadają się z kobietami z Krzyży, gdyż są przekonane, że nie dorośli do babskiej chytrości i podstępności.

Węglarze i smolarze ze Smolaka

Wśród węglarzy z Krzyży był także biedny chłop mający siedmioro dzieci, który mieszkał w swojej chałupie na końcu wsi, na Smolaku. Jego dzieci pędziły smutne życie, głodowały i otrzymywały często cięgi od matki. Musiały często pomagać ojcu w pracy przy mielerzu oraz w domu. Z racji swojego ubóstwa ów węglarz, o nazwisku Chuchollek, stał się człowiekiem małomównym. Starał się jednak, aby być dobrym ojcem dla dzieci. Brakowało jednak wszystkiego. Bieda uczyniła go zatwardziałym. Jego węgiel nie był tak dobry jak u innych węglarzy. Także pak i smoła nie były najlepszej jakości, mimo że zadawał sobie wiele trudu. Inni mieli lepsze rezultaty.

Pewnego wieczoru przy szklance piwa w gospodzie Przygoddy słyszał przypadkowo, jak inni węglarze opowiadali, że można trochę szczęściu pomóc. W przypadku urodzenia się dziewczynki, należy ją zakopać pod progiem siódmego dnia po urodzeniu. Od tego dnia duch domowy zaczyna gospodarzom przynosić szczęście. Węglarz Chuchollek wrócił wieczorem do domu i opowiedział żonie o zasłyszanych wieściach. Bardzo jej się ten pomysł podobał i uznała, że należy spróbować. Po niedługim czasie urodziła się im córka. Siódmego dnia zakopał ją Chuchollek pod progiem swojego domu. Minęło siedem dni. Wówczas usłyszano dobywający się spod progu głos:

„Chcę być ochrzczony!" Chuchollek odrzekł: „Chcę cię, duchu, ochrzcić, chcę tego!" Po czym się uciszyło. Nocą ukazał się duch ubrany w białe szaty i krzyknął: „Węglarzu, przynieś mi, proszę, beczułkę z gęsim pierzem na strych i nakarm mnie. W podzięce będę tobie przynosił wszelkie bogactwa." Toteż biedak jął karmić ducha na strychu gęsim pierzem. Ten zaś znosił wszelkie bogactwa do domu. Zapłata była więc szczodra. Po upływie roku węglarz miał już dosyć bogactwa. Chciał tylko, żeby go duch opuścił, aby go w innym domu ktoś karmił. Współpraca z duchem zaczęła powoli wzbudzać grozę. Duch powiedział: „Węglarzu, muszę u ciebie pozostać jeszcze do końca miesiąca. My zaś siądziemy sobie za stołem i podczas długich wieczorów będziemy grać w karty. Gdybyś ty przegrał, pozostanę na zawsze w twoim domu. Gdybym jednak ja przegrał, opuszczę cię, jakkolwiek z ciężkim sercem. Bogatego obecnie Chuchollka dręczyły w następnych nocach myśli. Nie mógł spać. Próbował wymyśleć sposób na to, by pozbyć się ducha. Niczego jednak nie mógł wymyślić. Pewnego dnia zapukała do drzwi żebraczka Dybowska i prosiła, aby ją wpuścić. Starucha zapytała węglarza: „Gospodarzu, widzę, że cię coś gnębi. Masz zmartwienie. Mów, co to jest, może mógłabym ci pomóc." Chuchollek zastanawiał się. W końcu rzekł: „Muszę z duchem zagrać w karty. Jeśli ja przegram, pozostanie u mnie na zawsze, a tego nie chciałbym." „Nie martw się, człowieku — odrzekła Dybowska — w tym przypadku mogę ci pomóc. Weź te karty i połóż je na noc do łóżka pod tyłek twojej żony a potem zagraj z duchem. Przedtem jednak musisz każdą z kart dokładnie oblizać."

Nadeszła pełnia księżyca. Duch ukazał się w pokoju. Węglarz położył karty na stół. Zaczęli grać. I jakby ktoś zaczarował, Chuchollek wygrywał za każdym razem. W końcu duch poddał się. Nie pozostało mu nic innego, jak dotrzymać obietnicy. Musiał opuścić dom węglarza i zamieszkać u żebraczki Dybowskiej. Nigdy już nie wrócił do domu Chuchollka!

W Puszczy Piskiej w Krzyżach nad jeziorem Wesołek mieszkali niegdyś węglarze i smolarze. Mieli zwykle drewniane chałupy. W pobliżu chat wypalali z drewna i korzeni węgiel drzewny. Produktami ubocznymi były: smoła drzewna, pak, potaż i mydło płynne.

Sierota i wiejski sknera

Koło lasu, tam, gdzie znajdował się Smolak nad jeziorem Wesołek, gdzie stały chaty węglarzy i smolarzy, stała samotna drewniana chata, w której mieszkał smolarz Czerlinski z żoną Minną (zdrobnienie imienia Wilhelmina — przyp. tłum.) oraz dziesięcioletnim synem Willim. Chłopiec pomagał chętnie w pracy swojemu ojcu. Naraz ojciec zmarł. Po niedługim czasie zmarła ze zmartwienia też i matka. Mały Willi stał się raptem zupełnym sierotą. Ponieważ nie miał dziadków ani i innych krewnych w Krzyżach, sołtys Blasey zaczął rozmyślać, jakby tu chłopcu można było pomóc.

We wsi na Jeziorem Nidzkim żył pewien zamożny gospodarz, któremu przydałby się parobek, gdyż pracy było u niego ponad miarę. Nazywał się Sknera i w rzeczywistości był też wielkim chciwcem. Ów Sknera prosił Blaseya, aby mu chłopca przekazać, a on będzie dla niego dobrym ojcem zastępczym. Z początku szło chłopcu dobrze. Sknera przydzielał chłopcu coraz więcej cięższych prac na roli, które były ponad jego siły. Ponadto opuszczał się w nauce szkolnej. Ponieważ nie był w stanie wykonać tych robót w stopniu zadowalającym gospodarza, nie wolno mu było siadać z nim do stołu, a posiłki spożywał w przydzielonej komórce. Jedzenie jego było gorszej jakości niż Sknery. Ponadto chłopiec otrzymywał coraz częściej cięgi od gospodarza.

Pewnego jesiennego dnia Willi pasł na bosaka 20 gęsi na rżysku nad jeziorem. Ale pod jednym z jałowców siedział lis na czatach. Gdy jedna z gęsi oddaliła się od stada, złapał ją lis i pobiegł unosząc w pysku na półwysep Rożek. Pozostałe gęsi wpadły w panikę, podniosły wrzask i pobiegły na brzeg jeziora. Stąd pofrunęły w śmiertelnym strachu na jezioro, skąd trzeba je było łodzią wyławiać. Gospodarz wychodził z siebie z powodu straty gęsi. Wziął kij pasterski należący do chłopca i sprał go bez litości, tak że chłopiec leżał przez 7 dni w łóżku, nie mogąc pójść do szkoły. Gdy Willi wyzdrowiał, gospodarz nakazał mu wypasać pozostałe 19 gęsi na rżysku, gdyż byłoby szkoda nie spożytkować wyrastającej trawy. Miał jednak tym razem baczniej uważać, gdyż dostanie znowu w skórę. Chłopiec pasł je więc bardzo czujnie. Tym razem jednak podkradł się wilk i zabił dwie gęsi, zaś pozostałe w popłochu uciekły znowu nad brzeg jeziora. Wzniosły się w powietrze, niczym łabędzie i pofrunęły nie wiadomo dokąd. Ludzie z całej okolicy poszukiwali ich przez kilka dni.

Po około 14 dniach, pewnego wieczoru chłopiec usłyszał rozmowę gospodarzy. Mianowicie zamierzali udać się na jarmark do Rozóg, by kupić 10 gęsi. Gdy małżeństwo wyjechało, Willi poszedł na stary cmentarz nad jeziorem, by tam uskarżyć się rodzicom nad swoim losem, podzielić się z nimi swoimi kłopotami i zmartwieniami. Naraz otworzył się grób i stanęła przed nim piękna wróżka. Położyła ręce na jego ramieniu i pięknym głosem powiedziała, że ma spakować swój węzełek i jeszcze dziś udać się do Faryn, do gospodarzy nazywających się Wielkoduszni. Byli bezdzietni i chcieliby mieć spadkobiercę swojego dużego gospodarstwa. Chętnie go przyjmą i będą traktować jak własnego syna. Tam będzie mu dobrze!

Chłopiec zabrał swoje rzeczy w węzełkach i poszedł śpiewając przez las do Faryn, do gospodarzy, gdzie go serdecznie przyjęto. Przejął on później to gospodarstwo, wziął sobie żonę z Krzyży i żył szczęśliwie ze swoją rodziną. Stał się uznanym gospodarzem w Farynach i ciągle powiększał swoje gospodarstwo, rozbudowując zabudowania i dokupując ziemi.

Gdy Sknerowie wrócili z jarmarku z gęsiami, zaczęli szukać chłopca. Wszystko wiedzący sąsiedzi poinformowali, że młody Czerlinski szedł drogą leśną do Karwicy. Na to żona Sknery rzekła, że chłopiec słusznie uczynił, gdyż mało dostawał jedzenia, musiał ciężko pracować i do tego jeszcze był bity. Nie było to prawdziwe dzieciństwo. Zaczęła mężowi robić wyrzuty, płacząc przy tym i krzycząc. W tym momencie uderzyła z nieba błyskawica i zapaliła obejście, które spłonęło doszczętnie.

O dziadku i mądrym wnuku

Przez wielu laty żył w Krzyżach bogaty gospodarz Borutta, któremu zmarła żona. Ponieważ oboje w swoim życiu ciężko pracowali, skromnie żyli i oszczędzali, postanowił Borutta w 80. roku życia przekazać gospodarstwo najstarszemu synowi, zaś samemu osiąść na dożywociu. Dodać należy, że syn ożenił się z kobietą z pobliskiej Nidy, a była ona bardzo chciwa.

Gdy już stary Borutta przepisał synowi swoje gospodarstwo, był bardzo źle traktowany przez syna i synową. Nie wolno mu było jadać przy wspólnym stole, a synowa podawała mu posiłki w części domu, którą on na dożywociu zajmował. Były to dwa pokoje i kuchnia. Nie pozwolono mu wspólnie jeść, gdyż po udarze mózgu pozostał mu tik nerwowy, wskutek którego część jedzenia wypadała mu podczas posiłku z ust. Młodzi czuli więc obrzydzenie do starego człowieka i pozostawili go samego w jego mieszkaniu. Ponieważ drżały mu ręce, co i raz wypadało mu jakieś gliniane naczynie na podłogę. Naczynia się przy tym tłukły, co złościło synową niezmiernie. Dlatego też zamówiła u bednarza Blossa drewnianą łyżkę, drewniany talerz i dwie drewniane miski. Młodzi Boruttowie mieli 10-letniego syna Janka. Wnuk i dziadek lubili się bardzo. Janek przesiadywał często u dziadka w mieszkaniu. Zimą, gdy na dworze świszczał zimny wiatr wokół domu, siedzieli na ławeczce przy ciepłym piecu kaflowym. Stary Borutta kochał wnuka niezmiernie. Uzupełniali się wzajemnie. Dziadek opowiadał często Jankowi o minionych czasach, jak też i bajki zasłyszane w dzieciństwie. Czytywał mu też Biblię, bądź też obaj śpiewali pieśni ludowe. Tak spędzali wolny czas.

Młody Janek dzięki intensywnej opiece ze strony dziadka stał się bardzo mądrym i rozwiniętym umysłowo chłopcem. Dziadek był z niego bardzo dumny.

Pewnego dnia Janek zrobił w szopie małe drewniane korytko, którego używał do zabawy w izbie. Z takich koryt jedzą w zasadzie świnie. Zobaczył to ojciec i zapytał syna: „Jasiu, po co zrobiłeś sobie korytko? Szybka odpowiedź syna brzmiała: „Gdy moi rodzice zestarzeją się jak mój dziadek, dam im jeść z takiego korytka i osadzę ich w części budynku, gdzie musi obecnie przebywać mój dziadek." Ojciec przestraszył się makabrycznej wypowiedzi syna. Zrozumiał sens dziecięcej aluzji. Syn udzielił mu niezłej lekcji. Toteż zmienił się. Od tego momentu dziadkowi było wolno jadać ze wszystkimi przy wspólnym stole, wolno mu było także spędzać wspólnie wieczory. Stał się ponownie pełnoprawnym członkiem rodziny, dzięki pomysłowi mądrego wnuka. Co za błogosławieństwo!

Mądra matka

Naprzeciwko naszego gospodarstwa mieszkał robotnik leśny Gustaw Kostrzewa. Miał ładny drewniany dom z bogato zdobioną werandą. Przejeżdżający podróżni często ją podziwiali. Wieczorem po skończonej pracy siadali tu gospodarze i rozprawiali o swoich pracach w polu i lesie. Przy tym wymieniali się swoimi doświadczeniami.

Kostrzewowie mieli dwie córki. Starsza o imieniu Fryderyka wyszła za mąż w Ukcie. Jest to wieś położona nad najpiękniejszą mazurską rzeką — Krutynią. W Ukcie był kościół, apteka, kilka większych sklepów oraz lekarze. Wieś położona była w powiecie mrągowskim, w odległości około 18 km od Krzyży. Młodsza córka Marta wyszła za mąż za gospodarza z Turośli, położonej w głębi Puszczy Piskiej. We wsi było nadleśnictwo i kościół. Wieś była położona w pobliżu granicy polsko-niemieckiej w odległości około 12 km od Krzyży. Mimo że obydwie siostry mieszkały od siebie w odległości 40 km, widywały się bardzo rzadko, toteż wymieniały często korespondencję między sobą. Pisywały też do matki w Krzyżach. Odpowiadając na listy, matka stawiała często pytania: „Kiedy widziałaś swoją siostrę ostatnim razem?" Obie odpowiadały jej zgodnie, że ostatnie ich spotkanie miało miejsce przed 6 miesiącami u matki w Krzyżach. Toteż zaczęła kombinować. Od tej pory córki otrzymywały od matki listy bardzo rzadko. Pewnego razu napisała 4-stronicowy list. Strony 1 i 3 wysłała do starszej córki z Ukty, zaś strony 2 i 4 do młodszej z Turośli. Jednak w nagłówku strony pierwszej wymieniła imiona obydwu córek. Wiedziała więc starsza córka, że brakujące strony 2 i 4 znajdują się u młodszej siostry. Obie otrzymywały więc co miesiąc po pół listu od matki z Krzyży. Wskutek mądrego pomysłu matki, były zmuszone co miesiąc do wymiany matczynej korespondencji i wzajemnie musiały się odwiedzać. Przy okazji mogły zawsze spędzać wspólnie wieczór na rozmowie.

O siwku z Kujca

Mój dziadek Sayk, który obok swojej kuźni prowadził jeszcze sklep kolonialny, jeździł niemal każdego miesiąca na jarmark do Rozóg. Polacy oferowali tam różnorodne towary, które można było kupić taniej niż w Prusach. Kupowało się więc np. fasolę, groch, kaszę, owies, jęczmień, żyto, pszenicę, mąkę, jak też wiele przedmiotów użytku domowego. Pewnego dnia, jak opowiadała moja babcia, stara Zajckowa, spóźniał się dziadek z racji rozlicznych sprawunków. Zaczęła się martwić, gdyż zapadła już noc, a dziadka wbrew jego zwyczajom jeszcze nie było z powrotem. Wypatrywała go więc na skraju wsi. Tymczasem dziadek, który się spóźniał, zapalił lampę naftową, by wśród ciemności znaleźć drogę do domu. Noc była ciemna, choć oko wykol.

Las, przez który jechał, dodawał jeszcze niesamowitości. Ale konie znały drogę i szły równo obok dyszla ku domowi.

O północy dojechał do zabudowań mojego dziadka Schiwego w Karwicy. Był to ostatni dom pod lasem. Obudził dziadka i pożyczył od niego lampę, bowiem jego własna zgasła z braku nafty, po czym pojechał spokojnie dalej. Musiał przejeżdżać obok bagna zwanego Kujec, miejsca, które wzbudzało u wielu trwogę, bowiem o północy ponoć tam straszyło. Było wiadome, że mieszkańcy Karwicy i Krzyży unikali tej leśnej drogi, gdyż zdarzały się tu rzeczy niesamowite. W pobliżu Kujca konie zaczęły się niepokoić. Lampa, którą dziadek zawiesił obok swojego siedzenia, nagle raptem zgasła. Konie stanęły, zaczęły rżeć, nie ruszały do przodu ani kroku. Dziadek zszedł z wozu i próbował je uspokoić. Nie można ich było jednak ruszyć z miejsca. Nie potrafił zobaczyć w swoim pobliżu niczego nadzwyczajnego. Jednak konie nastawiały uszu, rozdymały nozdrza i parskały. Piana szła im z pysków, a grzbiety stały się mokre od potu. Wówczas usłyszał mój dziadek wycie psa, trucht konia i końskie rżenie. Naraz kilka metrów przed końmi stanął siwek. Mimo ciemności, zarys jego konturów można było dobrze rozpoznać. Przebiegł przed furmanką dziadka, konie zaś ruszyły za nim. Dziadek Sayk zdążył jeszcze złapać lejce, tak szybko wszystko się działo! Siwek biegł dosyć szybko, tak, iż konie ciągnące obładowany wóz ledwo za nim nadążały. Gdy przybyli do wsi na krzyżówkę koło Friedriszika siwek zniknął. Rozpłynął się w nicość. Konie ciągnęły furę wozu spokojnie aż do obejścia sąsiada Doppnera. Dziadek spojrzał na zegarek kieszonkowy. Była dokładnie godzina pierwsza. Godzina duchów skończyła się!

W domu w blasku lampy czekała babcia i wujek Walter. Konie były całkowicie mokre od potu, zaś dziadek też spocony i blady na twarzy. Wczesnym rankiem poszedł szukać na piaszczystej drodze śladów kopyt siwka. Nie mógł ich znaleźć. Twierdził jednak zawsze, że owo nocne spotkanie z siwkiem koło uroczyska Kujec miało naprawdę miejsce.

O diable i sprowadzaniu tytoniu

Już przed wielu laty uprawiano w Krzyżach len, groch, seradelę, łubin i ziemniaki. Wszystko to, co potrzebne jest do życia. Pewnego dnia przybył do wsi pewien pan o ujmującej powierzchności, w czarnym ubraniu i zapytał karczmarza Cwalinnę, czy nie chciałby kupić pewnego ziela do dymienia. Cwalinna, który nie znał tego ziela, zapytał, co to takiego. Ów pan odpowiedział mu, że chodzi tu o liście pewnej rośliny, które wkłada się do fajeczki po to, by wypędzić z chaty robactwo, którego pełno w zabagnionej okolicy.

Miły pan, a był to diabeł, rzekł do szynkarza: „Założmy się! Zasieję u ciebie to ziele i jeżeli rozpoznasz, co to za roślina i jeszcze nazwiesz ją, będzie wówczas twoją własnością i zarobisz na tym dużo pieniędzy. Ponadto otrzy-

masz mieszek dukatów. Jeżeli jednak przegrasz zakład, twoja dusza będzie należeć do mnie." „Zgoda!" — odrzekł szynkarz, jakkolwiek był nieco sceptyczny. Założył się jednak, potwierdzając zakład przybiciem ręki. Diabeł zasiał ziele, które wyrosło wspaniale. Cwalinna zaś przeglądał co wieczór wszystkie księgi, by ustalić, co to za ziele i jak się nazywa. Dzień spotkania z diabłem był coraz bliższy. Karczmarz był coraz bardziej niespokojny. Pokazywał roślinę swoim gościom, nikt jej jednak nie znał. Pewnego dnia jeszcze przed wyznaczonym terminem zakwaterował się diabeł u karczmarza. Przypomniał mu jeszcze raz treść zakładu. Wieczorem siedział Cwalinna przy stole i studiował swoje książki. Był zrozpaczony. Wtem przyszła przypadkowo stara Zdrenkowa, ta która posiadała siódmą Księgę Mojżesza. Zapytał ją także o to ziele. Poradziła, aby zachował spokój i nie martwił się. Ma tylko dzisiejszej nocy postawić koło drzwi worek z pierzem i wiadro ze smołą. Starucha następnego dnia oblała się smołą i poprzyklejała sobie pierze. Wyglądała teraz jak jakiś ptak. Następnie weszła w uprawę i zdeptała ją od południa na północ oraz od wschodu na zachód. Nagle przybiegł diabeł i jął krzyczeć: „Hej, ty, ptaku wynoś się z mojej tabaki. Przez ciebie utracę jeszcze duszę karczmarza." Stara Zdrenkowa pobiegła szybko do Cwalinny i rzekła: „Twoje ziele nazywa się tabaka. Musisz mnie teraz tylko szybko oczyścić z pierza i smoły, w końcu nie jestem ptakiem."

Gdy nadeszła godzina prawdy, karczmarz nazwał ziele tabaką, a więc tytoniem. Dzięki chytrości staruchy diabeł przegrał zakład. Cwalinna zaś otrzymał uprawę rośliny na polu oraz pokaźny mieszek dukatów. Kilka z nich dał też starej Zdrenkowej.

Jednak ziele owo zrujnowało w owym czasie zdrowie ludzi z Krzyży. Przed tym wydarzeniem byli oni szczęśliwi, gdyż nie znali podniecającego i szkodliwego „ziela diabelskiego". Tak oto z powodu rozpoznania rośliny utracił diabeł jedną duszę z Krzyży, jednakże wskutek palenia tytoniu zyskał wiele dusz spośród mieszkańców wsi. W sumie to on był zwycięzcą w zakładzie.

Günter Schiwy
Tłumaczenie z języka niemieckiego: **Dietmar Serafin**

Günter Schiwy urodził się 26 września 1928 r. w Krzyżach nad Jeziorem Nidzkim. Obecnie mieszka w Hanowerze (Niemcy) i prowadzi badania nad dziejami Krzyży i okolic. Spisał m.in. ponad 70 dawnych bajek i sag ludowych, zasłyszanych w dzieciństwie w rodzinnej wsi.

Przyroda

PUSZCZAŃSKIE NOTATKI

Puszcza mnie przytłacza. Polowałem dotąd w lasach polskich, w okolicy Jastrowia i Płytnicy. A tam las uporządkowany, regularne, prostokątne oddziały, podzielone równoległymi i prostopadłymi drogami, jak ulice w Nowym Jorku. Prawie zawsze po wysokim lesie występuje drągowina, potem młodnik, uprawa zrąb. W tamtych lasach nie ma tajemniczych zakątków, uroczysk, starych dębów i bagien. Lasy pilskie można bez obawy porównać ze współczesnymi fabrykami, wytwórniami drewna. Poluje się tam łatwo na zrębach i uprawach, gdzie zwierza widać jak na dłoni.

Tu, w Puszczy, w łowisku „Zielonego Kręgu" przytłacza pierwotny charakter lasu. Rozległe, latami nie koszone, wypłowiałe w słońcu łąki, z wysokimi trawami, sprawiają wrażenie pustyni. Dopiero, gdy się zanurzyć w te siwe trawy, widać zioła i bujną roślinność, znakomitą karmę jeleni. Olbrzymie, stare dęby i buki, sosny imponującej wysokości i grubości są świadectwem odległych czasów i być może pamiętają ryk turów i niedźwiedzi. Te strzeliste sosny zainteresowały nawet naukowców, o czym świadczą poprzyczepiane do nich zielone tabliczki. Obok na równie dorodnych drzewach lekko ścięta kora i wymalowane numery. To wzbudza zaniepokojenie pani Krystyny, żony prezesa „Zielonego Kręgu" Zygmunta Golańskiego, dziennikarki. Swoim artykułem przed laty uratowała życie wielu drzew w puszczy, które administracja leśna zamierzała przekształcić w kubiki drewna. Teraz prosi męża, by pojechał z nią do nowego nadleśniczego. Podziwiając wiekowe drzewa rosnące na cyplu jeziora Jagodzin, zastanawiamy się, czy nowy nadleśniczy zobaczy w nich coś więcej niż kubiki drewna.

* *
*

Puszcza mnie fascynuje. Poznaję ją stopniowo i systematycznie. Dzień po dniu, leśnictwo po leśnictwie. Każdego dnia nowe przeżycia. Po wielu zabiegach udało mi się zdobyć dość dokładną mapę. Daje mi ona pewność, że nie zagubię się w mrocznych partiach lasu.

Dzięki panu Borkowskiemu, leśniczemu na Browarniku, dotarłem do Karwika, gdzie ma swoje siedliszcze autor *Kolumbów*, Roman Bratny. Dom zastałem pusty. W pobliżu domu pisarza powstała nowiusieńka kolonia domków letniskowych i kościół.

Letnie rezydencje wchodzą, wciskają się w Puszczę. Świeżo ogrodzone parcele zapowiadają dalszy boom budowlany. Nie wiem, czy się z tego cieszyć. Puszcza będzie się kurczyć, jeśli nie postawi się tamy inwazji mieszczuchów.

* * *

Leśnictwo Orle graniczy od północnej strony z jeziorami Seksty i Kaczerajno. Tu znalazłem miejsca niedostępne, dzikie, pierwotne, takie, do których z trudem docierają promienie słoneczne, gdzie w biały dzień panuje wieczny cień, półmrok niemal. Zawsze, ilekroć przyjeżdżam z Warszawy, muszę choć na pół godziny zajrzeć w te zakamarki, gdzie orzeł ma swoje gniazda a ludzka stopa staje rzadko. W tym roku doznałem wstrząsu. W ulubionych moich zakątkach, do których z trudem docierają promienie słońca, dotarli turyści. Pod olbrzymimi dębami, nad brzegiem jeziora, na polanie walały się plastikowe butelki, plastikowe szklanki, plastikowe torby. Widok ten wywarł na mnie przygnębiające wrażenie. Oto do serca Puszczy dotarła dzicz ludzka, która potrafi już posługiwać się wytworami współczesnej cywilizacji, ale zachowuje się, jakby żyła w epoce jaskiniowej. Pozbierałem te cholerne torby i naczynia z plastiku. Zastanawiam się, co począć, by uchronić puszczę od zaśmiecenia. Zakazać wstępu? Zabieg to najprostszy i najmniej skuteczny. Co zatem czynić? Uczyć, uczyć szacunku do przyrody już od przedszkola, jak religii!

* * *

Druga połowa września. Przyjechałem do puszczy na rykowisko. Najlepiej znam Borek. W lipcu na skoszonych łąkach, tuż przy brzegu jeziora Warnołty, widziałem chmarę pasących się jeleni. Łudzę się, że wyjdą tu także teraz. Łąka pyszni się świeżą zielenią kontrastującą z wypłowiałymi kolorami nie skoszonych partii. Mogą tu wyjść łanie, za którymi pociągną niewątpliwie byki. Wszak to rykowisko. Dochodzą mnie pluski z jeziora przerywające przedwieczorną ciszę. Gdzieś daleko, na pograniczu Maskulińskiego z Popielnem pada strzał. Pewno jakiś dewizowiec upolował byka. Na moją zieloną łąkę nie wyszła nawet sarna.

Następnego popołudnia zasiadam na ambonie przy Końcewskim Bagnie. Ambonę leśniczy Julek Cumach postawił na ścianie lasu. Oddziela ją od bagna pasmo łąk. Samo bagno porośnięte olchą i brzozą jest ostoją zwierzyny. W czerwcu, gdy czatuję tu na rogacza, z głębi dochodzą krzyki żurawi. O zmierzchu wychodzą z bagna dziki i jelenie. Ciągną do lasu i na pola Niedźwiedziego Rogu i Głodowa. Teraz we wrześniowe popołudnie panuje cisza przerywana szczekaniem psa w Końcewie. Czekam, wiem, że za chwilę zaczną ryczeć byki. Zamiast głosu jelenia słyszę warkot samochodu. Kogo tu złe licho niesie? Samochód zatrzymuje się, najpierw dochodzi moich uszu skrzypienie otwieranych drzwi a potem głośne, metaliczne zamknięcie odczuwane w tej ciszy jak wymierzony policzek. Po chwili pojazd odjeżdża. Z pewnością nie był to myśliwy, a jakiś zbłąkany turysta bądź grzybiarz. Łowca nie zachowywałby się tak głośno w Puszczy. Ledwo ucichł warkot silnika oddalającego się wehikułu, z głębi bagna doszedł moich uszu pomruk,

albo lepiej, stęknięcie byka. Potem już wyraźne ryknięcie jedno, drugie, trzecie. Aż wreszcie odezwał się chyba sam władca bagna, ryk zatrząsł gałęziami krzewów i drzew, a echo odbiło głos o ścianę lasu. Odpowiedział mu równie głośno rywal. Wsłuchany w zew miłosny jeleni nie zauważyłem, kiedy na łące pojawiło się pięć łań. Najspokojniej w świecie, jakby ostoja nie trzęsła się od miłosnych wezwań, żerowały przy ścianie osłaniającej bagno. Nie ulegało wątpliwości, że były to łańki młode nie biorące udziału w miłosnym misterium. Byk wyszedł jednak z bagna. W lornetce zobaczyłem ogromny, symetryczny wieniec. Szybko policzyłem odnogi. Na pograniczu bagna i łąki stał, przyglądając się łaniom, potężny osiemnastak. Po chwili ruszył wolnym krokiem i pochrząkując pogonił stadko. Znowu stał nieruchomy, wspaniały pan i władca. Położył wieniec na grzbiecie i zaryczał ochrypłym głosem. Echo poniosło wezwanie i ostrzeżenie zarazem. Dla intruzów i przeciwników. Boże — pomyślałem — jak coś tak pięknego może strywializować makatka. Ale oto z prawej strony pojawił się rywal, równie potężny szesnastak. Byki powoli zbliżały się do siebie krokiem czujnym i nieufnym. Ten z prawej ryknął zaczepnie. I właśnie w tym momencie osiemnastak natarł z impetem. Trzask uderzenia tyk, krótkie zwarcie wieńców i jeden odskoczył w bok. Małe kółko i znowu trzask. Przyglądałem się walce urzeczony siłą i odwagą zwierząt. I właśnie w tym momencie przypomniałem sobie łeb byka wiszący w muzeum w Piszu, otoczony cierniową koroną kolczastego drutu. A pod łbem autentyczne zdjęcie dwóch walczących byków na wejsuńskich polach, które w wirze walki wplątały się w drut złowieszczy. Ten łeb wplątany w drut kolczasty kojarzy się zwiedzającym z cierpieniem. Jest on także wymownym przykładem ceny, jaką natura płaci za cywilizację kolczastego drutu.

Spojrzałem w stronę bagna. Pusta łąka, cisza, zapadający szybko zmrok. Może nie było tu łań ani walczących byków, może to tylko zwidy, gra wyobraźni? Kiedy zadawałem sobie to pytanie, na łące obok rowu z tatarakiem wyrosła nagle nie wiadomo skąd sarna. Może to jeszcze jedna zjawa? Nie zastanawiałem się ani chwili. Strzeliłem. Zwierzę padło w ogniu. Gdy schodziłem z ambony, doleciał mnie warkot samochodu. Wśród drzew zamigotały światła. Nie poszedłem na łąkę, czekałem. Zbliżał się do mnie wysoki mężczyzna w stroju myśliwskim.

— Sajto! — usłyszałem na powitanie. Strzelił pan byka?

— Nie, sarnę.

— Sarnę pan strzelił. W głosie nieznajomego brzmiała nuta nie tyle zdziwienia, co przygany. Poczułem się nieswojo. I w tym momencie przypomniałem sobie, że gdzieś już tego człowieka widziałem. Rozmawiałem właśnie z prawdziwym ambasadorem III Rzeczypospolitej.

— Czy to pan podjeżdżał tu po południu samochodem? — zapytałem.

— Nie chciałem przeszkadzać i odjechałem, dwieście metrów stąd jest druga ambona. Marne w tym roku rykowisko. Widziałem pięć łań, ale nie ciągnęły za nimi byki.

— Dlaczego nie strzelił pan łani?

— Strzelam tylko byki — odpowiedział z wyższością. Takim tonem, że nie mogłem mieć już żadnych wątpliwości, iż prawdziwy myśliwy poluje tylko na samce.

* * *

Leśnicy. Iluż ich poznałem. Paweł Magda ze Smolar, człowiek skromny i życzliwy myśliwym. Odchorowywał skrycie każdego dorodnego byka zabitego na rykowisku. Józef Jankowski z Jasnopola, leśniczy pełen fantazji, znakomity hodowca i towarzysz biesiad łowieckich. A tu w Puszczy Ryszard Jarząbek, myśliwy, przed którym Puszcza nie ma żadnych tajemnic. Zaprosił mnie w lipcową noc czasu pełni na dzika. Czatowaliśmy na wyżce przy pszenicy, ale „czarnuchy" nie wyszły. Poszliśmy tedy sprawdzić ziemniaki. Właśnie księżyc wychylił się z za chmury. Przytrzymałem Ryszarda za rękaw, bo na środku pola wyraźnie rysowała się czarna sylwetka dzika.

— Nie strzelaj — szepnął Ryszard. — Podejdziemy go bliżej.

Pochyleni, najciszej jak tylko można, podkradaliśmy się do szkodnika. Od czarnej bryły dzieliło nas już nie więcej niż sto metrów. Leśniczy dał mi jednak znak, bym nie strzelał. Długo przyglądał się za pomocą lornetki dzikowi. Zacząłem się niecierpliwić. Rozstawiłem pastorał i usiłowałem złapać dzika w lunetę. Ryszard kategorycznym ruchem zabronił strzału. Zniechęcony, zawiesiłem sztucer na ramieniu i ponownie spojrzałem przez lornetkę. W tym momencie rzekomy dzik wyprostował się i jak w bajce zamienił w człowieka. — Stój! — krzyknął leśniczy. Człowiek skrył się w krzakach tarniny. Ryszard ruszył w jego kierunku. A ja nie mogłem zrobić kroku. Stałem jak skamieniały. Miałem wrażenie, że serce rozwali mi klatkę piersiową. Gdy po pewnym czasie zbliżyłem się do pasma krzaków, usłyszałem, jak złodziej, starszy mężczyzna, błaga leśniczego o przebaczenie.

— Widzi pan leśniczy, ja nie złodziej, tylko wczoraj zmarło się sąsiadowi, to ja przyszedł ukopać sobie kartofelków, bo nieboszczykowi już niepotrzebne. Ryszard wysłuchał lamentu wystraszonego chłopa i wyjaśnił nieszczęśnikowi, że niewiele brakowało, a sam podążyłby za sąsiadem. Stary człowiek obiecał, że już nigdy w życiu nie wejdzie w cudze ziemniaki. W każdym razie w czasie pełni.

Przez cały okrągły rok przez leśniczówkę w Wejsunach w Nadleśnictwie Maskulińskim przewija się mnóstwo ludzi. Latem przyjeżdżają tu wczasowicze, jesienią i zimą myśliwi zagraniczni i ważni myśliwi z Warszawy, zwani dawniej prominentami. Ale najwięcej ludzi ścigają tu dziki hodowane przez leśniczego w zagrodzie nie opodal leśniczówki. Wycieczki piesze i rowerowe są tu niemal codziennym zjawiskiem. W roku ubiegłym pewnego lipcowego popołudnia stanął przed leśniczówką pana Jarząbka szwadron niemiecko-szwajcarskich amazonek przyprowadzony przez kruczowłosego młodego mężczyznę, jak się później okazało studenta filozofii, udającego Kozaka. Przy ognisku otoczony wianuszkiem dziewcząt z prawdziwej Europy, przy akompaniamencie gitary śpiewał pieśni znad Donu, a panny zasłuchane omdlewały z miłości do prawdziwego Kozaka, który na dodatek mówił po niemiecku. Tego Kozaka wymyślił właściciel stadniny pochodzący aż z Bieszczad.

Najwięcej turystów przyciąga zagroda z dzikami. Spotkałem kiedyś przy niej znanego fotoreportera, jak trudził się robieniem zdjęć Maćka, głowy

dziczej rodziny, lochy zwanej Małą i pięciu warchlaków. Dzicza zagroda to po prostu las ogrodzony drucianą siatką, więc czytelnicy kolorowych tygodników nie poznają, że to dziki na wpół oswojone. We wrześniu przed jesiennymi konkursami psów myśliwskich ściągają tu tabuny kanapowców w eleganckich samochodach z lepszego świata, aby psy hodowane w mieście mogły na własne oczy zobaczyć prawdziwe dziki. Pewna wytworna dama w luksusowym samochodzie o mało nie dostała zawału, gdy odyniec Maciek natarł z furią na jej ufnego jamnika szorstkowłosego, który ośmielił się zaszczekać. Na szczęście od publiczności oddziela dziki druciana siatka, więc kanapowiec uszedł cało.

Maciek nie przestrzega konwenansów. Na kilka dni przed konkursem wydostał się z zagrody i polami udał się w kierunku Wejsun. Zawiadomiły o tym Jarząbka dzieci z sąsiadującej z leśniczówką osady. Leśniczy nie namyślając się, wskoczył do „Nivy" i już go nie było. Zdziwiłem się, że bez sztucera. Prawda, Maciek codziennie widuje ludzi, chętnie zjada najprzeróżniejsze smakołyki, ale trudno przewidzieć, jak się zachowa na wolności, w Wejsunach, gdy stanie oko w oko z dwunożnymi stworzeniami. W leśniczówce zapanowało zdenerwowanie. Po pół godziny wrócił Ryszard, wrócił bez Maćka.

— Zaraz tu będą — skwitował krótko nasze pełne niepokoju pytania.

To „zaraz" trwało ponad godzinę. Po pełnym napięcia oczekiwaniu na leśnej drodze pojawił się robotnik leśny pan Gotfryd Fogel, a za nim ogromny odyniec Maciek. Fogel zbliżał się do leśniczówki tyłem, w ręce trzymał kawałek chleba i wabił w ten sposób dzika. Gdy te podchody przedłużały się zbytnio, urażony Maciek stawał i nie robił kroku dalej. Wtedy Fogel dawał mu kawałek i dzik ruszał. Tym sposobem na drodze z Wejsun do leśniczówki odyniec spałaszował dwa dwukilogramowe bochenki chleba naszego powszedniego.

Kryzys nastąpił przed leśniczówką. Najzwyczajniej w świecie zabrakło karmy. Jak na złość nie było chleba także w leśniczówce. Wszelkie czułe słówka pana Gotfryda dzik ignorował. Nie pomagało drapanie za uchem a nawet w pośpiechu pozbierane w ogródku jabłka. Maciek stanął, jakby go zamurowało. Napięcie rozładowała pani Lidka Jarząbkowa, podarowała Maćkowi świeżutki, jeszcze ciepły, pachnący sernik wiedeński. Dzięki temu pan Fogel doprowadził głupiego Maćka do rezerwatu. Napisałem głupiego, bo Maciek mnie rozczarował łatwą rezygnacją z wolności. Wystarczyły dwa bochenki chleba i pachnący sernik. Pocieszyłem się tym, że Maciek nie wierzył w obietnice Fogla. Przekonywał go konkret. Przeciwnie niż ludzi, którzy wierzą w obietnice. Na szczęście nie wszyscy.

* * *

W leśnictwie Leszczyna po zabudowaniach majątku nie ma już ani śladu. Bujna roślinność Puszczy wyrosła na resztkach fundamentów i jedynie poletko założone na dawnych gruntach przez „Zielony Krąg" przypomina, że

jeszcze kilkanaście lat temu ktoś tu uprawiał ziemię. W pobliżu majątku nad łąkami wybudowano dwie nowe ambony. Jest jeszcze wcześnie, więc siedząc na ambonie, skracam sobie czas przypominaniem zasłyszanych opowieści o leśnikach, ściślej o leśnikach zamienionych w administratorów, czyli urzędników administracji leśnej. Oto pewien wysoki przedstawiciel tej administracji dowiedziawszy się, że koło wpuściło w jego nadleśnictwie bobry, nakazał wszcząć śledztwo.

Inny przedstawiciel administracji leśnej obciążony nieufnością minionej epoki wydał w tym roku zarządzenie zobowiązujące myśliwych do dostarczania do godziny dziewiątej rano do nadleśnictwa łby strzelonych byków, w skórze i zakrwawione, choć rozporządzenie ministra mówi o trofeach.

Siedzę na tej ambonie i wiem, że nie strzelę byka, bo inny jeszcze wyższy rangą urzędnik szczebla regionalnego wydał nowe zarządzenie oznaczone numerem jedenastym „w sprawie wdrożenia kryteriów odstrzału oraz zasad oceny trofeów samców zwierzyny płowej" tak idiotyczne i grożące tak surowymi sankcjami za nieprawidłowy odstrzał, że wolę nie ryzykować. W czasie mojego pobytu w puszczy widziałem osiemnaście byków, ani jeden nie nadawał się do mojego zezwolenia.

Dziwne, że ci sami urzędnicy narzucają kołom tak wysokie „plany pozyskania zwierzyny", że od niepamiętnych czasów trwa nieujawniony publicznie spór między leśną administracją a zarządami kół łowieckich. Doprawdy trudno dociec, o co tu chodzi. Siedzę na tej ambonie i zadaję sobie pytanie, skąd się bierze u leśnych urzędników ten pęd do tworzenia prawa, choć od zamierzchłych czasów wiadomo, że Bóg stworzył urzędników leśnych nie po to, by tworzyli prawo, lecz po to, by prawa przestrzegali i w miarę ich sił umysłowych prawidłowo prawo interpretowali.

Zastanawiam się też nad tym czy po zmianie ekipy rządzącej lasy zostaną sprywatyzowane. Pytanie to nie zrodziło się w mojej głowie ad hoc. Zaraz po wrześniowych wyborach leśniczówki w Puszczy obiegła wieść, że „lasy idą do prywatyzacji".

— Powiedz, ty tam jesteś bliżej władzy — pytają mnie leśnicy — czy to prawda?

— Nie wiem, przyjaciele, nie wiem. W naszej Ojczyźnie nie ma rzeczy niemożliwych.

* * *

Historię i współczesność puszczy poznaję także w muzeum piskim, gdzie grupka zapaleńców za marne grosze dokonuje rzeczy godnych uwagi. Podczas wakacji otworzono nową, przepiękną i pouczającą wystawę poświęconą łowiectwu. To już druga albo trzecia ekspozycja o tej problematyce. I co najważniejsze, wystawy owe zrobione są ze smakiem i dowcipem. I o tym właśnie pragnę wspomnieć. Na obecnej wystawie przyprawiono zającowi kitę lisa. Nie wszyscy zwiedzający to wyłapują. Niemcy są bezbłędni, nie dają się nabrać. My, Polacy

jako ludzie bardziej roztargnieni i powierzchowni przechodzimy często obok, nie dostrzegając żartu.

Na poprzedniej wystawie przyprawiono lisowi małe różki kozła. Podpis pod eksponatem nie pozostawiał wątpliwości, że to żart. Jednak pewien myśliwy z Warszawy długo molestował łowczego, aby pokazał mu ambonę, z której strzelono lisa, bo on też „pragnie pozyskać kozłolisa".

Trudno mi uwierzyć, choć osoba, która mi to opowiadała klnie się na wszystkie świętości, że słyszała na własne uszy rozmowę dwóch uczonych profesorów zwiedzających wystawę.

— Popatrz — powiedział uczony do kolegi — na to dziwactwo. To są skutki Czarnobyla.

— Czerwoni nas wykończą — odpowiedział drugi profesor.

* * *

Zapada zmrok. Przed amboną, na którą z trudem się wdrapałem, rozciąga się wypłowiała łąka, okolona z trzech stron gęstym lasem. Na przeciwległej ścianie lasu przeciągają jakieś zjawy. Próżno usiłuję zobaczyć je w lornetce. Może to zjawy przeszłości? Cienie turów, żubrów, niedźwiedzi? Przyszły na łąki, na których żerowały, zanim wytępił je człowiek. A może to potępione duchy prześladowców? Dusze potępione, skazane na wieczne tropienie zwierząt, które już nie istnieją?

Co pozostanie po nas? Czy wilkom niedobitkom pozwolimy żyć? Czy jeleń najliczniejszy mieszkaniec Puszczy, pozostanie niezagrożony? Czy przetrwa łoś, rzadko w Puszczy widywany? Czy nasze dusze będą tropić wspomnienia?

Mirosław Chrzanowski

Mirosław Chrzanowski był kierownikiem zespołu Polskiej Kroniki Filmowej przez 14 lat, natomiast w latach 80. redaktorem naczelnym pisma „Fikcje i Fakty".

MARCIN GLOSSA

Marcin Glossa urodził się około 1515 r. w rodzinie mieszczańskiej w Wąchocku. Wąchock posiadał wówczas prawa miejskie, ale była to raczej niezbyt duża mieścina.

W wieku kilkunastu lat Marcina posłano na studia do Akademii Krakowskiej, które ukończył w 1541 r. Był już wtedy znany jako zwolennik reformacji, sporą popularnością cieszyły się w Krakowie jego wykłady teologiczne poświęcone głównie luteranizmowi. Być może z tego właśnie powodu Glossa został zaproszony przez księcia Albrechta Hohenzollerna do Prus Książęcych. Władca pruski — przed niespełna dwudziestu laty Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego — był świeżo nawróconym luteraninem i starał się w Królewcu otaczać myślącymi podobnie indywidualnościami, aby przy ich pomocy oddziaływać na poddanych.

Podczas pobytu w Królewcu Marcin Glossa zaangażował się w liczne inicjatywy wydawnicze. Związany był z publikacją tzw. małego katechizmu luterańskiego opracowanego przez J. Maleckiego. Nie dysponujemy bliższymi informacjami o innych, podobno licznych pismach opracowanych i wydanych przez Glossę. Książę popierał te starania, gdyż był to jedyny sposób dotarcia z nowymi ideami do mówiących po polsku mieszkańców państwa. Stąd tak liczne grono Polaków sprowadzonych przez Albrechta do Królewca. Wielu spośród nich zajmowało się tłumaczeniem i opracowywaniem ksiąg, które rozprowadzano w Prusach i w Polsce.

Na początku 1545 r. Marcin Glossa wrócił do Krakowa i objął funkcję rektora szkoły przy kolegiacie Wszystkich Świętych, lecz nie zagrzał tam długo miejsca. Ze względu na niechęć środowisk katolickich — chyba nawet uzasadnioną, w grę wchodziły bowiem zamieszki religijne — Glossa powrócił do Królewca i rozpoczął działalność na tamtejszym uniwersytecie Albertina. Była to nowo założona uczelnia, której zadanie polegało na propagowaniu protestantyzmu.

Od samego początku istnienia Albertiny toczyły się tam liczne spory teologiczne między protestantami różnych wyznań. Prawdopodobnie zaangażował się w te konflikty również Glossa. Pojawiły się oskarżenia, że potajemnie sprzyja kalwinizmowi, co nie odpowiadało jego dotychczasowym protektorom z otoczenia księcia Albrechta. Być może właśnie dlatego został przeniesiony z Królewca na prowincję, do odległej od stolicy, peryferyjnie położonej parafii w Piszu. Nieco inaczej przedstawia tamte wydarzenia XIX-wieczny historyk niemiecki Max Toeppen, który w swej „Historii Mazur" pisał, że „w 1546 roku książę Albrecht sprowadził do Królewca niejakiego Marcina Glossę (...) wygłaszającego w Krakowie z wielkim powodzeniem teologiczne wykłady

o podłożu luterańskim. Dostał on polecenie oczyszczenia z papieskich zabobonów (czyli katolicyzmu! — WB) polskich parafii leżących na terenach przygranicznych w Prusach. W 1550 roku został proboszczem w Piszu".

Według polskich historyków przybycie Glossy do Pisza nastąpiło wcześniej niż podaje Toeppen, w 1547 lub 1549 r. Nie dysponujemy informacjami, które pozwoliłyby dokładne określić stan ilościowy zwolenników i przeciwników protestantyzmu w tym regionie Mazur. Wprawdzie na ogół uważa się, że ludność bez większych oporów przyjmowała wyznanie popierane przez swych duchownych, czyli najczęściej luteranizm, ale jeszcze przez długi czas spore grupy wiernych pozostawały przy katolicyźmie.

Trudno powiedzieć, czy Marcin Glossa walcząc w Piszu z „papieskim zabobonem" musiał pokonywać opór swych parafian oraz jakie metody były stosowane w krzewieniu nowej wiary. W każdym razie nazwisko Glossy wiązane jest z założeniem w Piszu szkoły.

Marcin Glossa przebywał na parafii w Piszu przez kilkanaście lat. W 1564 r. przeszedł na emeryturę. Czy opuścił wówczas Pisz, czy pozostał w nim do śmierci? Niewiele możemy tu powiedzieć, podobnie jak o dacie śmierci Marcina Glossy — wybitnego szesnastowiecznego duchownego i reformatora religijnego.

Waldemar Brenda

Literatura

1. T. Oracki, *Słownik biograficzny Warmii, Prus Książęcych i Ziemi Malborskiej od połowy XV do końca XVIII wieku*, t. I, Olsztyn 1984.
2. *Pisz. Z dziejów miasta i powiatu*, Red. W. Korycka, Olsztyn 1970.
3. K.J. Rej, *Parafia ewangelicko-augsburska w Piszu na tle dziejów Kościoła na Mazurach*, „Znad Pisy", nr 4, 1996, s. 32–46.
4. M. Toeppen, *Historia Mazur*, Olsztyn 1995.

Materiały

MATERIAŁY DO BIBLIOGRAFII ZIEMI PISKIEJ CZĘŚĆ TRZECIA

Geografia i geologia

Gliwicz Z.M. i inni: *Ocena stopnia eutrofizacji Wielkich Jezior Mazurskich.* Wyd. IKŚ, Warszawa 1980, ss. 102.

Głąbski E. i inni: *Opracowanie prognozy stopnia zagrożenia wód wybranych jezior na obszarze Wielkich Jezior Mazurskich.* IKŚ, Warszawa 1978 (maszynopis).

Hoffmann B.: *Masuren Grundzüge einer Morphologie der Masurischer Landschaft.* Der Nord L. Veröffenth. d. geograph. Seminars. der Techn. Hochschule. Danzing 1931.

Jeziora Mazurskiego Parku Krajobrazowego. Stan eutrofizacji, kierunki ochrony. Red. Anny Hillbricht-Ilkowskiej. Komitet Naukowy przy Prezydium PAN „Człowiek i Środowisko", Zeszyty Naukowe 1, Ossolineum, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańk– Łódź 1989, ss. 167.

Karte von Masuren. Maßtab 1:200 000. Lith. von H. Schwarz. Königsberg Pr., Verlag der Hartungsschen Buchdruckerei, ok. 1910.

Kawałkowska B.: *Charakterystyka fizyczno-geograficzna zlewni jeziora Łuknajno.* Wydz. Geogr. i Stud. Region. Uniw. Warsz., 1961 (maszynopis).

Leyding G.: *Warmia i Mazury w rozwoju dziejowym.* Mapy historyczne. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego. „Biblioteka Olsztyńska" nr 3, Olsztyn 1969.

Michalski T., Rolka A.M.: *Geografia województwa suwalskiego.* Wydawnictwo Marek Różak, Gdańsk 1994, ss. 62.

Mikulski Z.: *Bilans wodny Wielkich Jezior Mazurskich.* PIHM, Warszawa 1966.

Richling A.: *Struktura krajobrazowa Krainy Wielkich Jezior Mazurskich.* Prace i Studia Instytutu Geografii Uniw. Warsz., z. 10, Geogr. Fiz. 4, 1972.

Soszka H., Cydzik D., Kudelska D.: *Ocena stanu czystości Wielkich Jezior Mazurskich.* Wyd. IKŚ, Warszawa 1979, ss. 66.

Srokowski S.: *Prusy Wschodnie. Studium geograficzne, gospodarcze i społeczne.* Wyd. Instytutu Bałtyckiego, Gdańsk–Bydgoszcz–Toruń 1945.

Stopa-Boryczka M., Martyn S.: *Klimat województwa suwalskiego.* Wydz. Stud. Region. Uniw. Warsz., 1979 (maszynopis).

Ziemie dawnych Prus Wschodnich w kartografii. Red. P. Grabowski, J. Ostrowski, PAN, Instytut Historii Nauki. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie. Z dziejów kartografii, t. VIII, Olsztyn 1997.

Historia

Antoniewicz J.: *Wyniki badań powierzchniowych na stanowisku zwanym „Zameczkiem" w Tuchlinie, pow. Pisz.* Sprawozdania Państwowego Muzeum Archeologicznego, t. 2, 1949, s. 38–91.

Antoniewicz J.: *Nieznana „baba kamienna" z pruskiego terytorium plemiennego.* Sprawozdania Państwowego Muzeum Archeologicznego, t. III, 1950, ss. 155–160.

Białuński G.: *Osadnictwo regionu Wielkich Jezior Mazurskich od XIV do początku XVIII wieku — starostwo leckie (giżyckie) i ryńskie.* Rozprawy i Materiały Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, nr 159. Olsztyn 1996, ss. 252.

Białuński G.: *W sprawie lasów i leśnictwa w południowo-wschodnich Mazurach od XIV do początku XVIII wieku.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3, 1996, s. 433–447.

Białuński G.: *Czynniki oddziałujące na osadnictwo regionu Wielkich Jezior Mazurskich do XVIII wieku.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 4, 1996, s. 504–523.

Brenda W.: *„Warmiak", „Róg" i inni...* Nasz Los. Pismo polityczno-historyczne, nr 10, 1995, s. 8–9.

Brenda W.: *„Dzwon" w powiecie piskim,* [w:] *Powojenne losy konspiracji na Pomorzu.* Materiały sesji naukowej w Toruniu w dniu 19 listopada 1994, pod red. E. Zawadzkiej i R. Kozłowskiego. Fundacja „Archiwum Armii Krajowej". Toruń 1995, s. 189–193.

Chojnacki W.: *Wydawnictwo i drukarnia Antoniego Gąsiorowskiego na Mazurach.* Rocznik Olsztyński, t. 2, 1959, s. 47–80.

Engel C.: *Die alter Galinder. Zur der Ureinwohner Westmasuren.* Königsberg 1937.

Flis S.: *Dżuma na Warmii i Mazurach w latach 1708–1711.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 4, 1960, s. 473–523.

Friedrichs H.: *Arys, Kr. Johannisburg,* [w:] *Deutscher Städtebuch,* Bd. 1: *Norddeutschland,* hrsg. von E. Keyser. Stuttgart–Berlin 1939, s. 25.

Friedrichs H.: *Gehlenburg, Kr. Johannisburg,* [w:] *Deutsches Städtebuch,* Bd. 1: *Norddeutschland,* hrsg. von E. Keyser. Stuttgart–Berlin 1939, s. 54.

Friedrichs H.: *Johannisburg. Kr. Johannisburg,* [w:] *Deutsches Städtebuch,* Bd. 1: *Norddeutschland,* hrsg. von E. Keyser. Stuttgart–Berlin 1939, s. 67–68.

Głosik J.: *Komunikat o poszukiwaniach archeologicznych w okolicach jeziora Śniardwy w 1968 r.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 4, 1968, s. 67–672.

Grodzki W.: *Zagospodarowanie powiatu piskiego w latach 1945–1946.* Praca magisterska napisana pod kierunkiem prof. dr. hab. Anny Magierskiej. UW, Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, Uzupełniające Magisterskie Studium Nauk Politycznych, Warszawa 1997, ss. 60 (maszynopis).

Gzella G.: *„Prawdziwy Ewangelik Polski" — mazurskie „pismo dla ludzi" (1859–1860).* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1–4, 1980, s. 19–25.

Hoffmann-Bagienski H.L.: *Die Dienstgütter des Amtes Johannisburg.* Hamburg 1992.

Hołub C.: *Pod Uktą i Kowalikiem.* Orzeł Biały, nr 4–5, 1993, s. 11–13.

Iwaniec E.: *Z dziejów staroobrzędowców na ziemiach polskich XVII–XX w.* PWN, Warszawa 1977, s. 295.

Iwaniec E.: *Dzieje badań nad staroobrzędowcami w Polsce.* Studia Religioznawcze, t. 14, 1979.

Iwaniec E.: *Pamiętnik Antoniny Kondratjewej (1914–1916). Przyczynek do dziejów żeńskiego klasztoru w Wojnowie na Mazurach.* Zeszyty Naukowe KUL, R. 25, nr 2–4, 1982.

Janczik B.: *Die Protokolle über den Generalhufenschoss des Amtes Johannisburg 1718,* [w:] *Altpreussische Geischlechterkunde.* Neue Folge, Blätter des Vereinis für Familienforschung in Ost- und Westpreussen, 43 Jahrgang, Band 25, 1995 Hamburg. Im Selbstverlag den Vereinis, s. 1–128.

Jaroszewicz Z.: *Księgozbiór klasztoru staroobrzędowców w Wojnowie,* [w:] *Z badań nad polskimi księgozbiorami historycznymi.* Warszawa 1986, s. 161–180.

Jasiński J.: *Problematyka języków nieniemieckich w Prusach Wschodnich w I połowie XIX wieku*, [w:] *Zagadnienia narodowościowe w Prusach Wschodnich w XIX i XX wieku*. Praca zbiorowa pod red. J. Jasińskiego. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 1993.

Jasiński J.: *Superintendent Gottfried Schulz (1791–1867) i jego poglądy na sprawy mazurskie*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3, 1993, s. 414–429.

Jasiński G.: *Duchowieństwo mazurskie w II połowie XIX w.*, [w:] *Zagadnienia narodowościowe w Prusach Wschodnich w XIX i XX wieku*. Praca zbiorowa pod red. J. Jasińskiego, Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 1993.

Jähnig B.: *Die Stadtwerdung von Arys*, [w:] *Altpreussische Geschlechterkunde Neue Folge*, t. 23, 1993, s. 113–132.

Kasiske K.: *Die Siedlungstätigkeit des Deutschen Ordens in ostlichen Preussen bis zum Jahre 1410*. Königsberg 1934.

Koziełło-Poklewski B.: *Kształtowanie się postaw politycznych ludności Mazur w okresie międzywojennym*, [w:] *Zagadnienia narodowościowe w Prusach Wschodnich w XIX i XX wieku*. Praca zbiorowa pod red. J. Jasińskiego. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 1993.

Łach W.B.: *System obronny Prus Wschodnich (do 1935 roku)*. Rozprawy i Materiały Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego nr 161, Olsztyn 1997, ss. 151.

Misiński R.: *Pierwsze lata*, [w:] *Pisz 40 lat*. Pisz 1985.

Murawska-Koprowska H.: *Ruciane-Nida. Kształtowanie się społeczności uprzemysłowionego miasteczka*. Olsztyn 1984.

Nowakowski W.: *Monografia parafii ewangelicko-augsburskiej (ze szczególnym uwzględnieniem religijności wiernych)*. Praca magisterska napisana pod kierunkiem doc. dr. hab. Kazimierza Sopucha. WSP w Olsztynie, Instytut Nauk Filozoficznych, Olsztyn 1991, ss. 161.

Łukaszewicz B.: *Straty obozu lewicy rewolucyjnej w województwie olsztyńskim w latach 1945–1950. Materiały biograficzne*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1–2, 1982.

Pawlicki R.W.: *Huta żelaza w Wądołku na Mazurach*. Jantarowe Szlaki, R. 35, nr 4, 1992.

Pawlicki R.W.: *W poszukiwaniu Sowirogu*. Borussia, nr 6, 1993.

Pawlicki R.W.: *Huta w Wądołku*. Spotkania z Zabytkami, nr 1, 1984, s. 38–39.

Publikacje p. Gąsiorowskiego w Jansborku na Mazurach. Przegląd Poznański, 1859, t. 28, z. 5–6, s. 158.

Rokojzo E.: *Aus der Geschichte der Philipponen in Masuren und Wojnowo (Eckertsdorf)*. Wojnowo 1995, ss. 53.

Seeberg-Elverfeld R.: *Die Tartaren in das Amt Johannisburg in October 1656*. Königsberg 1934.

Seeberg-Elverfeld R.: *Der Verlauf der Besiedlung des ostpreussischen Amtes Johannisburg bis zum 1818*. Altpreussische Forschungen, Jg. 11, 1934, H 1, s. 39–62.

Schiwy G.: *Das masurische Dorf Kreuzofen*. Selbstverlag 1988.

Schiwy G.: *Kreuzofen in Wandel religiöser Ereignisse*. Selbstverlag 1990.

Schiwy G.: *Nachtrag zur Dorf-Chronik Kreuzofen*. Selbstverlag 1996.

Strzyżewska M.: *Prasa polska na Warmii i Mazurach 1718–1933*. Muzeum Warmii i Mazur, Olsztyn 1991.

Śliwiński J.: *Nieznany epizod walk o Ruciane w 1945 r.* Wojskowy Przegląd Historyczny, nr 1, 1982.

Sukertowa-Biedrawina E.: *Filiponi na ziemi mazurskiej*. Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1, 1961, s. 39–68.

Świątek J.: *Rola szkoły w przemianach społeczno-kulturalnych wsi mazurskiej w dawnym powiecie piskim*. Praca magisterska napisana pod kierunkiem prof. Antoniego Franciszka Marka. WSP w Częstochowie, Wydział Pedagogiczny, Częstochowa 1993, ss. 123 (maszynopis).

Wydra G.: *Geflohen überrollt heimgekehrt. Augenzeugenberichte aus dem Kreis Johannisburg*. Hamm/Sieg 1997, ss. 63.

Wydra G.: *Soldatengräber im Kreis Johannisburg im Masuren*. Hamm/Sieg 1997, ss. 31.

Literatura

Drawicz A.: *Gałczyński na Mazurach*. Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1971, ss. 170.

Grzymkowski J.: *Krople żywicy*. Książka i Wiedza. Warszawa 1987, ss. 272.

Mońko M.: *Smętek przepływa Łabę*. Kultura, nr 42, 1987.

Newerly I.: *Mazurska historia*, [w:] *Za Opiwardą, za siódmą rzeką...* Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 1991, s. 380–442.

Wiechert E.: *Wiersze*. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Biblioteka Olsztyńska nr 37, Olsztyn 1997, ss. 77.

Willan T.: *Droga przez morze*. Olsztyn 1979.

Przyroda

Giercuszkiewicz-Bajtlik M., Głąbski E.: *Prediction of pollution of Great Masurian Lakes from and nonpoint sources*. Ekol. Pol., 29, 1981, s. 361–374.

Gliwicz Z.M., Kowalczewski A.: *Epilimmnetic and hypolimnetic symptoms of eutrophication in Great Masurian Lakes, Poland*. Freshwater Biology, 11, 1981, s. 425–433.

Kajak Z. i inni: *Ecosystem of the Mikołajskie Lake. The fate of organic matter in the profundal zone*. Pol. Arch. Hydrobiol., nr 22, 1975, s. 89–99.

Klarowski R.: *Najciekawsze pomniki i rezerwaty przyrody w Olsztyńskiem*. Warszawa 1977.

Kruszelnicki J.: *Walory Mazurskiego Parku Krajobrazowego*. Jantarowe Szlaki, R. 32, nr 1, 1989.

Panfil J.: *Mazurski Park Krajobrazowy*. Olsztyn 1973.

Ozimek T., Kowalczewski A.: *Long-term changes of submerged macrophytes in eutrophic Mikołajskie Lake*. Aquatic Bot., 1984.

Polakowski B.: *Mazurski Park Krajobrazowy*. Wyd. Ligi Ochrony Przyrody, 1979, ss. 15.

Roślinność rzeczywista Mazurskiego Parku Krajobrazowego. Mapa przyrodniczo-turystyczna, 1:30 000. Akademia Rolniczo-Techniczna w Olsztynie, Katedra Botaniki i Ochrony Przyrody. Wydawnictwo ART, Olsztyn 1997.

Rybak I.J.: *Ecosystem of the Mikołajskie Lake. Physico-chemical characteristics*. Pol. Arch. Hydrobiol., nr 22, 1975, s. 9–16.

Spodniewska I.: *The structure and production of phytoplankton in Mikołajskie Lake*. Ekol. Pol., nr 22, 1974, s. 65–106.

Spodniewska I.: *Changes in the structure and production of phytoplankton in Mikołajskie Lake, 1963–1972.* Limnologica (Berlin), nr 10, 1976, s. 299–306.
Spodniewska I.: *Phytoplankton as the indicator of lakes eutrophication. Summer situation in 34 Masurian lakes in 1973.* Ekol. Pol. nr 26, 1978, s. 53–70.
Spodniewska I., Pieczyńska E., Kowalczewski A.: *Ekosystem of the Mikołajskie Lake. Primary production.* Pol. Arch. Hydrobiol., nr 22, s. 17–38.
Szczepański A.: *Limnology of the Krutynia drainage area.* Pol. Arch. Hydrobiol., nr 15, 1967, s. 191–209.
Wieczerzak J.: *Rośliny uprawne na Mazurach i Warmii w drugiej połowie XIX i pierwszej XX wieku.* Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 3, 1968, s. 467–493.

Turystyka i krajoznawstwo

Dolina Wielkich Jezior Mazurskich. Folder. Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej, Olsztyn 1971, ss. 36.
Mazury. Przewodnik dla aktywnych. Red. M. Michalski, J. Kaftan. GeoCenter, Warszawa 1997, ss. 114–116, 120–121, 133–136, 147–149, 161–164, 183–184, 187–188.
Pisz — plan miasta, Mazury — mapa turystyczna. Agencja Fotograficzno-Wydawnicza „WiT", Olsztyn 1997.
Szkolne Schroniska Młodzieżowe województwa suwalskiego. Kuratorium Oświaty w Suwałkach, 1994, ss. 64.
Szynkowski J.: *Masuren.* Kętrzyn 1996, ss. 239.

Oprac. **Waldemar Brenda**
Ryszard Wojciech Pawlicki

Listy do redakcji

OSTATNI STOS

Pan Mieczysław Kulęgowski w artykule pt. „Z pogranicza magii, religii i nauki" („Znad Pisy" nr 5/97) napisał:

„Na terenie Mazur Kościół ewangelicki był bardziej tolerancyjny niż katolicki w całej Polsce, stąd też pastorzy przymykali oczy na czary i obrzędy magiczne. Ja przynajmniej nie znam zdarzenia na Mazurach, żeby kogoś spalono na stosie za proceder czynienia czarów i uprawiania praktyk magicznych".

Ciśnie mi się na usta powiedzenie, które wyrzekł był pewien niedawny noblista: „Jestem za a nawet przeciw". Nie ma bowiem sprawdzonej i wiarygodnej metody na obliczenie, który z kościołów był bardziej tolerancyjny czy bardziej represyjny. Ofiar w obu wypadkach policzyć się nie da. Wymowniejsza natomiast może być długość ich historii. Bezsprzeczny jest fakt, że kościoły protestanckie były podatniejsze na racjonalne ruchy wewnętrzne, a stąd także na reformy.

Paweł Jasienica napisał kiedyś, że „wiara w czary to schorzenie umysłowe, które ogarnęło całą Europę w stuleciu XVI i XVII". Kiedy się przyjrzy uważniej temu zagadnieniu, to się okaże, że osiągnęło ono w tym czasie jedynie apogeum, trwało natomiast od dawna.

Wiara w demony istniała u Babilończyków. Od nich najprawdopodobniej przejęta została przez Żydów. Jeżeli ktoś czytał Nowy Testament, to mógł się przekonać, że Chrystus dość często wypędzał z ludzi demony. Wynika z powyższego, że ludzi tych uzdrawiał, funkcjonariusze natomiast Kościoła rozniecali stosy, na których spalano nawet podejrzanych o kontakty ze złymi duchami.

Według wczesnochrześcijańskich ojców Kościoła demony są owocem związków upadłych aniołów z dziewicami. Św. Augustyn twierdził, że wszelkie choroby wywoływane są przez złe duchy. Zresztą w średniowieczu całą przyrodę traktowano jako dzieło, które splugawione zostało przez siły nieczyste. Znany powszechnie św. Tomasz z Akwinu utwierdzał w wierze, że istnieją czarownice, a burze, ulewy itp. zjawiska wywołują demony.

W pewnym okresie historii do związków diabła z kobietami dodane zostało karcerstwo. To, rzecz jasna, musiało spowodować zaostrzenie kar, uczeni zaś mężowie musieli znaleźć uzasadnienie dla rozpalanych coraz częściej stosów. Dzisiaj mało kto wie, że najwięcej procesów o czary toczyło się w Niemczech za sprawą bulli przeciw czarownicom ogłoszonej w 1484 roku przez papieża Innocentego VIII. Pisał w niej:

„W ostatnim czasie doszły do nas wiadomości, które wielce nas zmartwiły, ponieważ wielu ludzi obu płci zgrzeszyło z diabelskimi inkubami, przez czary zostali pozbawieni sił, zaczęli popełniać przestępstwa oraz inne czyny karalne. Zabijali oni, dusili i pozwalali umierać noworodkom, płodom zwierząt, plonom ziemi, winorośli, sadom i łąkom, mężczyznom i kobietom, klaczom, owcom i innym zwierzętom oraz powodowali u nich straszliwe bóle wewnętrzne. Przeszkadzały one mężczyznom zapładniać, a kobietom poczynać, tak, że mężowie nie mogli wykonywać swych obowiązków małżeńskich wobec żon, a kobiety wobec swoich mężów".

Papież ów ustanowił inkwizytorami na terenie Niemiec dwóch dominikanów, tj. Jakuba Sprengera i Heinricha Krämera. Napisali oni „dzieło" pt. „Młot na czarownice"

(Malleus meleficarum), stanowiące, jak byśmy dziś powiedzieli, komentarz do bulli (1486).

Autorzy „Młota na czarownice" przyjęli zasadę, że czarownice sądzić należy na podstawie ich zeznań. Żeby otrzymać takie zeznania, stosowano tortury. Palce, nogi i głowę ściskano w imadłach, biczowano do utraty przytomności, rozciągano członki, przypalano ogniem itd.

Inkwizytorzy wspierali się w prowadzeniu swego dzieła opiniami uczonych mężów i autorytetami kościelnymi. Za takiego uchodzi św. Tomasz z Akwinu. Pisał on:

„Niewiasta jest tedy zła z natury, rychlej bowiem traci zaufanie do swej wiary i rychlej wyrzeka się jej, to zaś stanowi podstawę uprawiania czarów" (Summa Theologica).

Warto zauważyć, że uczeni teologowie skrupulatnie badali akty seksualne włącznie ze wszystkimi możliwymi sposobami i pozycjami, klasyfikując odpowiednio. To, co uważali za dopuszczalne, akceptowali. Inkwizytorzy w śledztwie również nad wyraz skrupulatnie i w detalach dopytywali szczegółów w stosunkach z biesami.

Położnym zarzucano stosowanie praktyk czarowniczych i zabijanie nie ochrzczonych dzieci, które są „wyłączone od wejścia do królestwa niebieskiego". W owych czasach śmiertelność niemowląt była bardzo duża przede wszystkim na skutek niskiego poziomu higienicznego. Nic więc dziwnego, że najczęściej oskarżano kobiety, w szczególności zaś akuszerki. Należy przypuszczać, że działo się tak na skutek ich umiejętności zapobiegania ciąży, a także likwidowania nie chcianej.

Warto też przypomnieć, że osądzonym za kacerstwo konfiskowano cały majątek. Były więc ośrodki władzy zainteresowane jak największą ilością wyroków skazujących. Dawały one ogromne zyski.

Szybkość zeznań w dużym stopniu zależała od kwalifikacji kata. Dobry kat, tzn. taki, który potrafił szybko wydobyć zeznania, był w cenie. Arcybiskup Kolonii, aby nie uszczuplać funduszy własnych, opracował taryfę tortur (cennik) zawierający aż 49 pozycji! Wlewanie płynnego ołowiu do ust ofiary czy obcięcie języka, kosztowało pięć razy więcej od biczowania. Wszystkie, oczywiście, związane z tym koszty ponieść musiała pozostała na wolności rodzina.

W 1585 roku biskup Trewiru rozkazał spalić na stosach tyle czarownic, że w dwóch miejscowościach jego diecezji pozostało tylko po dwie kobiety.

W 1659 r. biskup Würzburga spalić kazał 219 czarownic i magów, wśród których znajdowało się kilku wikarych i 18 chłopców. Jeszcze w 1678 r. arcybiskup Salzburga spalić kazał 97 kobiet, ponieważ bydło zostało dotknięte zarazą.

Wydaje się, że w owych czasach tolerancję uważano za grzech. Nie było wtedy praktycznie kraju, w którym nie lałaby się krew. I działo się to wszystko w imię wiary. W imię tego samego Boga.

Oto Henryk III we Francji (czyli nasz Henryk Walezy) tępić zaczął katolików. Wojna wewnętrzna trwała długie lata, a kaznodzieje nawoływali z ambon o pomszczenie zbrodni. Jakub Clément, dominikanin, upewniwszy się u teologów, że królobójstwo w obronie wiary nie narazi jego duszy na wieczne potępienie, w roku 1589 ugodził króla nożem.

Król Władysław IV w trakcie krótkiego pobytu we Lwowie w 1634 r. poznał Jadwigę Łuszkowską, młodą mieszczkę i najładniejszą zarazem dziewczynę w tym mieście. Rok później powiła mu syna, któremu nadał imię Władysław Konstanty i swoje nazwisko — Waza. Nuncjusz papieski Honoriusz Visconti rozsiewał pogłoski, że dziewczyna osaczyła króla czarami. Gdyby przypadek ten nie dotyczył majestatu królewskiego, skończyłaby zapewne swój żywot na stosie. A syn Władysław Konstanty przebywał całe życie w Rzymie i dostąpił godności szambelana papieskiego.

Luter w podobnym zapale jak inkwizytorzy kierował czarownice na stos. Pod koniec XVI wieku tylko w księstwie brunszwickim dziennie ginęło nieraz po dziesięć kobiet!

W 1649–1650 Oliver Cromwell wyrżnął prawie pięć tysięcy katolickich Irlandczyków. W Szwecji w 1659 roku skazano na banicję wszystkich nieluteranów, kto zaś udzielał schronienia jezuicie, był tracony. Czarownice palono na podstawie dziecięcych nawet donosów, wierzono bowiem, że dziecko nie kłamie. Ostatnią podobno czarownicę spalono w Szwecji w 1782 roku.

Chociaż w Polsce stosunkowo łagodniej traktowano kacerzy i wiedźmy, też nie obyło się bez stosów. Ostatni ogień pod stosem z wiedźmami rozpalono w 1775 roku w Doruchowie. Spłonęło wtedy 12 kobiet. Rok później Stanisław August zażądał zakazu tortur i skasowania kary śmierci za czary, co przyjęte zostało przez sejm jednomyślnie.

Warto jednak naszym Czytelnikom przypomnieć, że ostatni stos na terenach współczesnej Polski zapłonął 21 sierpnia 1811 roku w Reszlu, należącym wówczas do królestwa pruskiego. Barbara Zdunk spod Bartoszyc oskarżona została o podpalenie Reszla. Była ona osobą umysłowo niedorozwiniętą, proces zaś był typowo poszlakowy. Dochodzenie trwało cztery lata, winowajca zaś w takim wypadku był konieczny. Oskarżoną trzymano w lochach zamku pod strażą miejską. Świadczyła tam najstarsze usługi zacnym obywatelom miasta. Powiła dziecko. W końcu sąd miejski skazał na śmierć, zaś instancja nadrzędna w Królewcu zatwierdziła ten wyrok.

Barbarę, przykutą łańcuchami, wieziono na miejsce stracenia (w pobliżu drogi do Korsz) drabiniastym wozem wczesnym porankiem. Za nią szli sędziowie, dwaj duchowni i sporo ciekawskich mieszkańców.

Wypadałoby na koniec poczynić parę uwag natury ogólniejszej. Pierwsza to ta, że jakby z inspiracji i na kanwie tamtych zdarzeń powstało wiele dzieł. U nas znany jest film pt. „Matka Joanna od Aniołów" oraz opera „Diabły z Louden".

O Barbarze Zdunk wspominam dlatego, że spłonęła w Reszlu. I nie za czary, ale zupełnie z innego „paragrafu" — za rzekome podpalenie. Najistotniejszym motywem przypomnienia tego faktu jest to, że całe zdarzenie miało miejsce za panowania króla pruskiego, uznawanego powszechnie za najbardziej postępowego władcę tamtych czasów.

To, czego nie można było wyobrazić za panowania na Warmii książąt biskupów Stanisława Adama Grabowskiego i Ignacego Krasickiego, stało się niemal w czterdzieści lat po jej zaborze przez Prusy za panowania największego filozofa wśród królów Fryderyka Wilhelma III.

Gdyby to się stało w Polsce, cały zapewne świat wiedziałby o tym, trzeba bowiem pamiętać, że w XIX wieku stosowane były bardziej „postępowe" od stosów metody zabijania. W każdym razie wtedy to my byliśmy w Europie...

Tadeusz Pardej, Pisz

Pan
Dietmar Serafin
Redakcja „Znad Pisy"

Szanowny Panie,

w czasie urlopu spędzanego na Mazurach kupiłam w Muzeum Ziemi Piskiej kilka numerów czasopisma „Znad Pisy", w których zainteresowały mnie Pańskie artykuły o historii łowiectwa i zwierzyny grubej na terenie dawnych Prusów Wschodnich. W jednym z tych artykułów wspomina Pan, że planuje oddzielne opracowanie o wilkach. Jeśli taki artykuł się ukaże, byłabym Panu niezmiernie wdzięczna za przysłanie mi tego numeru „Znad Pisy" lub kserokopii samego artykuły.

Z góry dziękuję i łączę serdeczne pozdrowienia,

dr Bogumiła Jędrzejewska, Białowieża

M U Z E U M
Nr. inw. 475/98

Uwagi: